



Harlequin® *na życzenie*

2 POWIEŚCI  
TYTUŁO 14<sup>50</sup>

Ogrody szczęścia

LIZ FIELDING

Ogrody szczęścia

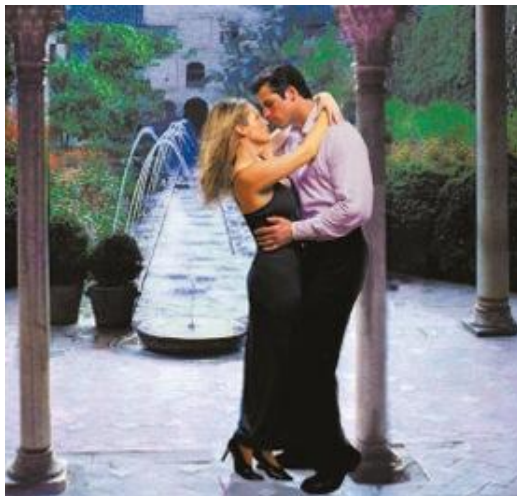
LIZ FIELDING





**Liz Fielding**

**Ogród szczęścia**



## PROLOG

Amy Hallam wyjęła dziecko z kołyski i pocałowała główkę pokrytą delikatnym meshkiem.

- Nie do pojęcia, że matka porzuciła takie śliczne maleństwo na progu cudzego domu. Chyba że biedaczka miała bardzo silną depresję...

- Być może. Ale mimo depresji dobrze wiedziała, że ciocia Lucy zaopiekuje się podrzutkiem. Dowodem jest to, co napisała.

Jake podał żonie zmięty skrawek papieru.

Gdy Amy wzięła kartkę, przeszył ją dreszcz. Miała wrażenie, że palcami wyczuwa wzburzenie kobiety, którą przerażenie skłoniło do porzucenia dziecka.

- Co ci jest? - zaniepokoił się Jake.

- Nic - odparła nieswoim głosem. - Naprawdę nic. Wygładziła kartkę i zaczęła czytać.

***Kochana „ Ciociu Lucy!”***

***Kiedys Ciocia zaopiekowała się mną, a teraz proszę o opiekę nad moją córeczką. Zwracam się z tym do Cioci, bo nie mam nikogo bliskiego.***

***Dziecko urodziło się dwudziestego szóstego września. Jest bezimienne, bo nie znając imienia, nie będę mogła go zdradzić. Nie zgłosiłam narodzin w żadnym urzędzie, więc jest całkowicie anonimowe. W tym jedyny ratunek.***

*Ufam Ci, Ciociu, i błagam, żebyś nie rozpowiadała o podrzutku i nie próbowała odszukać mnie za pośrednictwem gazet czy telewizji- To tylko zwróciłoby uwagę na moją córeczkę i naraziło ją na niebezpieczeństwo.*

*Zostawiam wszystkie pieniądze; niestety jest tego niewiele. Mam nadzieję, że Ciocia znajdzie dobrych ludzi którzy zapewnią dziecku znośne warunki. Kocham moją córeczką, ale przy mnie nie byłaby bezpieczna.*

**K.**

Amy zamrugła, by powstrzymać łzy, i spojrzała na swego synka. Miała ochotę porwać go w ramiona i mocno przytulić, aby poczuł, jak bardzo go kocha. Zamiast tego schwyciła męża za rękę.

- Ciekawe, co się za tym kryje - rzekł Jake. - Paranoja czy przemoc w domu?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że ta kobieta panicznie się czegoś boi. Spójrz na jej pismo... Z jakiegoś powodu biedaczka odchodzi od zmysłów. Chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że prosi o niemożliwe, że narusza przepisy. Widocznie myśli tylko o ukryciu dziecka.

- Prawda i tak wyjdzie na jaw.

- Oczywiście. Wolałabym nie wchodzić w konflikt z prawem, ale moim zdaniem tydzień lub dwa nie zrobią różnicy.

- A moim zdaniem opieka społeczna patrzy na takie sprawy inaczej.

- Gdybyśmy znaleźli matkę...

- Sądzę, że jej tu nie ma. Zostawiła dziecko w miejscu, które uznała za najbezpieczniejsze, i zaraz stąd wyjechała. Szukaj wiatru w polu.

- Założę się, że nie wyjechała i krąży w pobliżu. Na

pewno chce wiedzieć, czy dziecko jest bezpieczne. Więc teoretycznie możemy...

- Nic nie możemy, bo nie wiemy, jak ona wygląda.

- To nie szkodzi. - Amy zamyśliła się. - Pisze, że zostawia wszystkie pieniądze, więc nie będzie miała na jedzenie. Całkiem prawdopodobne, że któregoś dnia zasłabnie z głodu. Musimy przeszukiwać uliczki w pobliżu domu. Zaczniemy zaraz, od dziś.

RS

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zbliżał się koniec września, lecz słońce jasno świeciło na bezchmurnym błękitnie i wciąż mocno przygrzewało. Tylko dojrzałe jeżyny świadczyły o tym, że lato się kończy.

Zostało jeszcze dużo dorodnych owoców, ale znajdowały się poza zasięgiem rąk.

Kay Lovell otarła pot z czoła, powachlowała się zniszczonym słomkowym kapeluszem i zawróciła wzdłuż żywopłotu, wypatrując jeżyn, które przeoczyła. Na szczycie obrośniętego muru gałęzie były oblepione owocami, lecz nie dosięgłaby ich, nawet gdyby podskoczyła.

- Wracamy, Polly. Tyle musi wystarczyć - powiedziała zrezygnowana.

Dziewczynka zajrzała do koszyka.

- Naprawdę wystarczy?

- Zerwałam wszystko, co się dało. W tym roku tradycyjne babeczki jeżynowo-jabłkowe będą bardziej jabłkowe niż jeżynowe.

Polly palcem wskazała najwyższe gałęzie.

- Tam jest pełno.

- Ale ich nie dosięgnę.

- A z drugiej strony muru? Czemu nie wejdziemy do ogrodu? Przecież nikt tutaj nie mieszka. Wisi tabliczka, że dom jest na sprzedaż.

Wszystko jest bardzo proste, gdy się ma sześć lat!

Polly nigdy nie widziała nikogo w Linden Lodge, choć często patrzyła przez okno swego pokoju na pusty dom i zarośnięty ogród.

Na środku stała altana, której dach powoli zapadał się pod ciężarem rozrośniętego powojnika. W ogrodzie rosło dużo zdziczałych róż oraz drzewa, których owoce spadały na ziemię i gniły. Był to ogród jak z bajki, otoczony wysokim murem, ukryty przed ludzkim wzrokiem. Czy jest uśpiony i od lat czeka na czarodzieja, który zbudzi go do życia, przywróci mu dawne piękno?

Kay uważała, że ogród to nie królewna i nie wystarczy pocałunek królewicza...

- Nie będą dobre - powiedziała Polly z uporem.

- Co takiego?

- Babeczki. - Dziewczynka głośno westchnęła. -

A każdy ma dać coś najlepszego.

- Wiem.

Wszystkie gospodynie z Upper Haughton przygotowywały jedzenie na dożynkową biesiadę, w której brała udział cała wieś. Doroczna uroczystość była przypomnieniem dawnego zwyczaju i stanowiła jedyne ogniwo łączące mieszkańców z ich przodkami żyjącymi z roli.

Kay wahała się, chociaż wiedziała, że ma niepotrzebne skrupuły. Jeżyny niedługo zwiędną, a to wielkie marnotrawstwo.

- Potem podziękujemy - podpowiedziała Polly.

- W jaki sposób? Mam napisać list? - Kay uśmiechnęła się mimo woli. - A do kogo zaadresować?

- Do tych, co tam będą mieszkać. Narysuję kilka babeczek. Będą zadowoleni, że jeżyny się przydały.

Dziewczynka niecierpliwie pociągnęła matkę w stronę furtki z odpadającą farbą i zardzewiałym zamkiem.

- Sprawdzimy, czy jest zamknięta na klucz - powiedziała Kay.

Tłumaczyła sobie, że postępuje racjonalnie, lecz gdy ujęła klamkę, serce zaczęło bić niespokojnie. Czuła się jak złodziej. Przerdzewiały zamek nieprzyjemnie zazgrzytał. Nie mogła otworzyć furtki, więc zamierzała się wycofać. Westchnęła z uczuciem ulgi, ale i rozczarowania.

W tym momencie furtka ustąpiła, a z wysokiej trawy wyleciał kos, bardzo niezadowolony, że ktoś zakłóca jego spokój.

Kay zamarła. Wydało jej się, że słyszy gniewny głos domagający się od niej wyjaśnienia, co robi w cudzym ogrodzie.

Cóż, odezwało się wrażliwe sumienie. Kay uciszyła je i rozejrzała się z ciekawością.

Nad barwnymi kępami płożących się bylin uwijały się pszczoły. W wielu miejscach rosły rudbekie i marcinki. Te mocne i uparte rośliny nie wpuściły na swój teren chwastów, które wzięły ogród w posiadanie.

Kay zrobiło się przykro, gdy zobaczyła, do jakiego stopnia pracę człowieka zniweczyły siły przyrody. Zdecydowanym ruchem popchnęła furtkę i weszła, aby z bliska ocenić wielkość zniszczeń.

Dominic Ravenscar odwrócił się plecami do mebli, które w pokrowcach wyglądały upiornie, i spojrzął przez okno.

Tego momentu bał się najbardziej. Od sześciu lat unikał widoku umiłowanego ogrodu żony. Uciekał coraz dalej, lecz demony wszędzie go doganiały, i wreszcie zrozumiał, że nawet w najodleglejszym zakątku świata nie ukryje się przed bólem, a najgłębszy cień nie stanowi bariery zabezpieczającej przed wspomnieniami.



Ostatni raz widział ogród późną wiosną. W pamięci zachował bzy z nabrzmiałymi pąkami, drzewa owocowe obsypane kwiatami, trawę usianą żółtymi płatkami tulipanów. I rozkwitającą Sarę, szczęśliwą, że jest w ciąży. Tą radosną, ale zazdrośnie strzeżoną tajemnicą nie podzielili się nawet z rodzicami. Czekali, aby bezpiecznie minęły pierwsze miesiące.

Po śmierci Sary byłóża późno na dzielenie się radością. Dominic swą podwójną tragedię zachował w tajemnicy. Nie chciał pogłębiać cierpienia teściów, nie chciał większego współczucia dla siebie. Podwójna pustka została tylko w nim, wyłącznie w jego pamięci.

Sara posadziła koło domu pąsowe róże. Patrząc na krzewy, Dominic pomyślał, że nie tylko one zdziczały.

Pozbawiona troski i ludzkiej pracy, przyroda prędko upomniała się o swe prawa. Nieprzycinane krzewy wybujały i zagłuszyły byliny, które ostatkiem sił walczyły o odrobinę słońca i powietrza. Na głównej alejce, w szparach między kamieniami, rozpanoszyło się zielsko, trawa porosła ścieżkę od altany do ogrodu warzywnego. Wzdłuż muru królowały jeżyny wyższe od młodych drzew owocowych.

Dominic oparł czoło o szybę i zamknął oczy, aby nie widzieć zaniedbanego ogrodu, świadczącego o zmarnowanym życiu. Kupił dom w Upper Haughton, ponieważ Sara zachwyciła się ogrodem otoczonym murem z różowej cegły. Orzekła, że w tym ślicznym i bezpiecznym miejscu dzieci będą mogły spokojnie się bawić.

Niezwłocznie zajęła się urządzeniem staroświeckiego ogrodu pełnego roślin wabiących motyle i ptaki. Dominic oczyma wyobraźni widział żonę w słomkowym kapeluszu; przycinała róże, podwiązywała słabe gałęzie młodej

brzoskwini, z dumą chodziła pośród drzew w założonym przez siebie sadzie.

Nie było ucieczki przed bólem, więc otworzył oczy.

I oto na jawie ujrzał ogrodniczkę ciągnącą obcięte gałęzie jeżyn. Czyżby robiła mu wyrzuty, że zaniedbał ogród?

- Saro!

Poruszył ustami, ale ze ściśniętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Serce biło jak szalone. Dominic szarpnął klamkę, chciał wybiec do ogrodu, lecz drzwi ani drgnęły. Po kilku sekundach uświadomił sobie, że są zamknięte na klucz, a klucze zostawił na kuchennym stole. Nie miał odwagi ruszyć się, odejść choćby na moment. Ze strachu, że żona zniknie.

Pragnął, aby na niego spojrziała. Jeśli go zobaczy, wszystko będzie jak dawniej. Uderzył pięścią w szybę.

- Saro!

- Co ci jest? Źle się czujesz?

Automatycznie odwrócił głowę, a gdy ponownie spojrział, ogród był pusty. Dlaczego? Przecież tam stała...

Początkowo zdarzało się to bardzo często. Wszędzie widział Sarę. Wśród tłumu na ulicach migwały jej długie złociste włosy, w restauracjach rozlegał się jej radosny śmiech. Jej ulubiony kolor, widziany u innej kobiety, powodował ostry skurcz serca.

Teraz znowu się to zdarzyło. Już dawno wrażenie nie było tak silne, wyraźne...

- Dominicu! Pytałem, jak się czujesz.

- Dobrze.

Spojrzał na zatroskanego przyjaciela. Dobrze znał ów wyraz twarzy. Był to jeden z powodów, dla których po śmierci żony prędko wyjechał. Wolał przenosić się z miej-

sca na miejsce i żyć wśród ludzi, którzy go nie znali, nie wiedzieli, co go spotkało. Dzięki temu unikał niezręcznych sytuacji, gdy spotkani znajomi gorączkowo szukali słów, nie wiedząc, co powiedzieć. Wielu okazywało mu serdeczność, ale zmrozeni jego chłodem, odsuwali się urażeni.

- Niepotrzebnie się dręczysz. - Greg odstawił pudło, które przyniósł z samochodu. - Sam nie musisz nic robić. Powiedz tylko, co chcesz zatrzymać, a każę spakować i odłożyć do czasu... gdy będziesz potrzebował. Dom sprzedasz bez problemu. To była dobra inwestycja...

- Nie chodziło o inwestycję. Kupiłem, bo...

- Wiem - przerwał mu Greg. - Przepraszam.

Dominic wiedział, że przyjaciel celowo go zagaduje.

Każdy temat jest dobry, byle przerwać milczenie.

- Naprawdę lepiej, żebyś przeniósł się do nas.

- Nie - rzucił Dominic ostro, ale zreflektował się, że przyjaciel zasługuje na uprzejmość. - Przepraszam cię.

I dziękuję za troskę, ale są sprawy, które sam muszę załatwić. Już dawno powinienem był to zrobić.

Znowu spojrzął przez okno. Łudził się, że Sara wróciła, ale ogród był pusty.

- Jak sobie życzysz. Przydałaby ci się pomoc przy przeglądaniu rzeczy. Może zapytać w agencji, czy mogą kogoś polecić? Będzie ci łatwiej z kimś, kto nie jest... no wiesz...

Dominic wiedział, lecz nie potrzebował pomocy. Wolał być sam. Marzył o tym, żeby Greg przestał patrzeć na niego ze współczuciem, żeby odjechał. Greg był jego adwokatem. I przyjacielem, który stał przy nim, gdy przysięgał Sarze wierność do śmierci. W dniu ślubu Dominic uważał, że słowa przysięgi są pozbawione sensu. Przecież

byli młodzi, bardzo zakochani, mieli przed sobą całe długie życie...

Zrobiło mu się żal przyjaciela, który chciał pomóc, ale nie wiedział jak.

- Bardzo ci dziękuję. Będę informować cię na bieżąco, jak sprawy się mają.

- Jesteś pewien, że sobie poradzisz? - Greg rozejrzał się. - Gdybyś uprzedził mnie wcześniej, poszukałbym dobrej sprzątaczkii. Ci twoi ludzie poszli na łatwiznę.

Dominic powiedział im, by niczego nie dotykali.

- Bo za tyle im płaciłem. Tu jest woda, prąd, telefon. Niczego więcej nie potrzebuję.

- Czym będziesz jeździł?

- Nigdzie się nie wybieram.

- Aha. - Greg uważał, że nie powinien zostawiać przyjaciela, ale rzekł: - Wobec tego się pożegnaj. Będziesz głodować, bo tu nie ma prawie nic do jedzenia.

- Nie martw się. Przez sześć lat jakoś utrzymałem się przy życiu, więc i tu nie zginę z głodu.

Greg otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

- Nie musisz nic mówić. Widziałem twoje zaskoczenie, gdy zobaczyłeś mnie na lotnisku.

Dominic spojrzał na ogród i serce podskoczyło mu do gardła. Ona znowu tam jest! Szkoda, że kapelusz zasłania twarz. Rozgląda się, jakby czegoś szukała. Jest w spodniach i turkusowej bluzce. Turkus to jej ulubiony kolor!

- Zadzwoń jutro rano - powiedział Greg od drzwi.

- Pomówimy o pomocy domowej.

- Nie ma pośpiechu - obojętnie mruknął Dominic.

Kiedy ogrodniczka spojrzy w stronę domu?

Stała odwrócona, a tak bardzo pragnął zobaczyć jej twarz. Przybiegła dziewczynka z kwiatami. Ogrodniczka

ucałowała ją i wróciła do przerwane go zajęcia. Gdy obci-  
nała grubą gałąź jeżyn, zauważył, że nie ma rękawic.

Kupił żonie rękawice, lecz nie chciała ich nosić, ponie-  
waż irytowała się, że przeszkadzają w pracy.

Gałąź spadła na gołą rękę.

- Nie!

Kobieta ostrożnie zsunęła gałąź i possała kciuk. Histo-  
ria powtarzała się. Jak koszmar ny sen.

- Saro!

Imię uwięzło w gardle. Dominic zwiesił głowę i zamk-  
nął oczy.

Amy zajrzała do miski z jeżynami.

- Imponujący plon. Moje uznanie. Myślałam, że trochę  
dołożę, ale mam wyjątkowo mało owoców. Nasze kozy  
wszystko zjadają.

- Te żarłoki z tego słyną. - Kay oplukała owoce  
i wrzuciła do drugiej miski. - Dziękuję za dobre chęci.  
Niestety musiałam postąpić... karygodnie, żeby tradycyj-  
ne babeczki nie były z samymi jabłkami.

- Ty, karygodnie? Niemożliwe. - Amy roześmiała się.  
- Czyżbyś się zmieniła?

- To nie żarty. Mówię poważnie. Byłam w ogrodzie  
przy Linden Lodge. Namówiła mnie twoja chrześnica,  
a moja rodzona córka.

- Nie widzę w tym nic złego. Marnowanie boskich  
darów to grzech. Dobrze, że posłuchałaś rady swojej by-  
strej córki. W tym roku jeżyny są wyjątkowo dorodne.

- Wystraszyłam kosa, który wcale nie był zachwycony  
moją wizytą.

- On też miał niepohamowany apetyt na jeżyny?  
A może jest strażnikiem?

- Nie wiadomo... W dodatku za mocno pchnęłam furtkę i zniszczyłam zamek.

- Kradzież i wandalizm jednocześnie - powiedziała Amy ze śmiechem. - Przystępstwo na wielką skalę. Trzeba będzie zawiadomić odpowiednie organa ścigania.

Ale... przecież ty jesteś naszym „organem ścigania”. Kay przewodniczyła lokalnej straży obywatelskiej.

- Wolne żarty. - Kay nie wytrzymała i też się uśmiechnęła. - Napijesz się kawy?

- Bardzo chętnie. Czy mam wysłać fachowca, żeby naprawił zamek?

- Nie, sama to zrobię. Metal przerdzewiał i kawałek odpadł. W szopie znajdę coś w zamian.

- Jak tam jest?

Kay oczywiście wiedziała, co przyjaciółkę interesuje, lecz nie miała ochoty o tym mówić.

- Czemu pytasz? Chcesz przeprowadzić kontrolę? Należało uprzedzić, żebym zdążyła posprzątać.

- Chodzi mi o Linden Lodge. Wiem tylko, że za obrośniętym murem jest bardzo tajemniczo.

- Zwyczajny zarośnięty ogród, żadna tajemnica. Obcinałam gałęzie jeżyn, a Polly zrywała kwiaty. Nagle zniknęła mi z oczu i przez chwilę myślałam...

Sparaliżował ją strach, gdy przez kilkanaście sekund córka nie odpowiadała na wołanie. Patrzyła na otwartą furtkę i wyobrażała sobie przerażające rzeczy.

- Czemu obciąłś gałęzie?

- Bo oplotły brzoskwinię, która już ledwo zipała. Nie śmiej się.

- Nawet nie śmiem.

- Wiem, że jestem dziwna, ale serce mi się kraje, gdy widzę, jak coś ginie. - Nie musiała się tłumaczyć, bo Amy

zawsze wszystko rozumiała. - Jutro pójdę naprawić zamek i zostawię kartkę z wyjaśnieniem, co zrobiłam.

- Napiszesz, że przycięłaś gałęzie, żeby ocalić brzoskwinię?

- Nie. Przyznam się, w jakim celu ukradłam jeżyny.

- Tam nie ma nikogo żywego, a duchy nie żądają wyjaśnień.

Kay spojrzała zaskoczona.

- Duchy? O czym ty mówisz?

- Nic nie czułaś? Ja, ilekroć tamtędy przechodzę, mam wrażenie, że w Linden Lodge przebywają duchy.

- Według mnie tam po prostu jest bardzo smutno.

- Może to jedno i to samo.

Amy była znana z niezwyklej wrażliwości. Oglądając tajemniczy ogród, Kay czuła jedynie smutek, a mimo to teraz dostała gęsiej skórki na myśl, że musi naprawić zamek.

- Czy wiesz, że dom jest na sprzedaż? - zapytała, aby zmienić temat.

- Słyszałam jakieś plotki. Szkoda.

- Znałaś ludzi, którzy tam mieszkali?

- Słabo. Spotykaliśmy się przy różnych okazjach, głównie wtedy, gdy zbierano na coś pieniądze. Bardzo mnie absorbowały dzieci w tamtym czasie, bo tego roku urodził się Mark. Poza tym rozkręcałam interes. Ravenscarowie byli młodszy od nas, krótko po ślubie, bardziej interesowali się sobą niż sąsiadami. Przyszli jednak na dożynkową biesiadę. Pamiętam, bo Sara była zachwycona, że cała wieś bierze w niej udział. Ona chętnie dałaby ci jeżyny. Jej przedwczesna śmierć była tragedią.

- Słyszałam o tężcu. Czy to prawda?

- Tak. Wystąpiły jakieś komplikacje. Tęzec w naszych

czasach! Jej rodzice podobno nie wierzyli w szczepienia profilaktyczne, a ona była zapaloną ogrodniczką, lecz nie uznawała rękawic. - Amy umilkła na chwilę. - Po śmierci żony Dominic wyjechał w dalekie strony. Słyszałam, że angażował się w różne akcje charytatywne w najbiedniejszych krajach.

- Dziwne, że ani nie sprzedał domu, ani go nie wynajął. Nowego właściciela czeka sporo pracy w ogrodzie.

- Możliwe, że nie miał serca od razu pozbyć się domu, a z czasem powrót był coraz trudniejszy. Po sześciu latach biedak nadal jest w potrzasku.

Kay przeszył zimny dreszcz.

- A jednak zdobył się na to, żeby wystawić dom na sprzedaż. To już krok naprzód.

- Oby.

- Jutro naprawię zamek i sprzątnę obcięte gałęzie. Może przejdę się do agencji i zapytam, czy uporządkować ogród. Podczas wakacji Polly zaniedbałam interesy.

Amy otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zawahała się. Kay patrzyła na nią wyczekująco.

- Hm. - Amy chrząknęła. - Pamiętając o tym, co przytrafiło się Sarze, lepiej weź rękawice. Zdezynfekowałaś zadrapania?

- Zaraz po powrocie do domu. Zresztą szczepionka jeszcze działa.

Wbiegła Polly i Amy wzięła ją na kolana.

- Ciekawe, czy mamusia da ci jutro wolne.

- Jutro? - powtórzyła dziewczynka.

- Tak. Wybieramy się nad morze i Mark bardzo chce, żebyś też pojechała.

- Ale... Obiecałam przecież mamusi, że pomogę przy pieczeniu.



- Chyba jakoś sobie poradzę. - Kay starała się ukryć irytację, że przyjaciółka postawiła ją w sytuacji bez wyjścia. - Tylko pytanie, czy ciocia poradzi sobie z całą czeredą.

- Czwooro dzieci bawi się lepiej niż trójka. Jake wymyślił jakieś przygody dla George'a i Jamesa, a ja zajmę się młodszą dwójką.

W podtekście była uwaga, że należy czasem spuścić Polly z oka, bo nadmierna opiekuńczość źle wpływa, bywa wręcz niezdrowa dla matki i dziecka.

- W takim razie nie mogę się sprzeciwić. Mam nadzieję, że wycieczka się uda.

- Widziała ciocia, ile jeżyn przyniosłyśmy? - spytała Polly. - A mój purpurowy wianek?

- Purpurowy? Żartujesz.

- Wcale nie. Zaraz cioci pokażę.

Dziewczynka wzięła Amy za rękę.

- Przepraszam, za chwilę wrócę.

- Czekam z kawą. Nie daj namówić się na opowiadanie bajek. Chłopców też czas położyć spać.

- Dziś Jake ma dyzur. Zamierzam iść do domu, gdy już będzie czysto i cicho.

Dominic zmusił się, by zjeść ciepłą zupę i kromkę chleba. Nie czuł smaku, ale to normalne; tak było przez sześć lat. Po posiłku obszedł dom. W sypialni kolejno brał do ręki przedmioty leżące na toalecie, a potem otworzył szafę i wyjął suknię, w której najbardziej lubił żonę.

Poczuł znajomy zapach!

Pomyślał, że jest beznadziejnym głupcem; Sara nadal tu jest. Czekala na niego przez te wszystkie lata, gdy uciekał coraz dalej.

Wyszedł na taras, na którym siadywali wieczorami. W powietrzu unosił się zapach jesiennych róż. Dominic siedział spięty, wpatrzony w gąszcz krzewów. Bał się iść w głąb ogrodu, by nie przeoczyć obecności Sary. Chwilami ulegał złudzeniu, że ukochana zaraz wyłoni się z mroku. Pragnął jeszcze raz ujrzeć żonę, zanim zrobi się za ciemno.

Długo czekał z zapartym tchem, ale wreszcie wstał zrezygnowany, bo zapadły ciemności, w których już nic nie widział.

RS

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kay rzuciła narzędzia na taczkę i ruszyła do Linden Lodge. Było jej wstyd, że poprzedniego dnia postąpiła wbrew wyznawanym zasadom, pragnęła więc jak najszybciej uprzątnąć gałęzie i naprawić szkodę.

Przez lata częściowo się usamodzielniała. Mieszkała wprawdzie w cudzym domu, ale zarabiała na skromne utrzymanie siebie i dziecka. W wolnym czasie udzielała się społecznie. Nie przekraczała zakreślonej granicy, nie robiła nic, co zwróciłoby uwagę sąsiadów, zrodziło plotki. Przed laty oczywiście we wsi zawrzało jak w ulu, gdy Amy wzięła ją pod swe skrzydła i pozwoliła zamieszkać w dawnym domku ogrodnika.

Stała przed furtką z zepsutym zamkiem.

- Nie rozumiem, co mnie napadło - mruknęła pod nosem.

Nieprawda, oszukiwała się. Doskonale wiedziała, co nią powoduje.

Pociągała ją tajemnica ogrodu zasłoniętego przed ludzkim wzrokiem. Jak magnes działała chęć zobaczenia czegoś więcej, niż umożliwiał to widok z okna. Od dawna pragnęła obejrzeć cały ogród.

Zdawała sobie sprawę, że za żadne skarby nie dałaby się namówić na to, by wejść na cudzy teren, gdyby nie miała ochoty tam iść.

Gdy pchnęła furtkę, owionął ją zapach zgniecionej trawy, przetacznika, kozłka.

Kos, który siedział na czubku jabłoni i wywodził trele, przerwał swój popis. Po chwili podjął śpiew, a wtedy Kay uznała, że ptak ją zaakceptował.

Co za nonsens!

Prędko ścięła gęste zielisko, szerzej otworzyła furtkę i wciągnęła taczkę. Najpierw naprawiła zamek, ponieważ uznała to za ważniejsze od uprzątnięcia zieliska, którego i tak nikt nie zobaczy, natomiast naprawienie zamka było sąsiedzką przysługą i skromnym podziękowaniem za jeżyny.

Wiedziała, że taki drobiazg nie zwróci niczyjej uwagi. Prędko znajdzie się kupiec, którego nie zniechęci zaniedbany dom ani gąszcz zarośniętego ogrodu. W Upper Haughton rzadko wystawiano domy na sprzedaż, a wieś była pięknie położona.

Ciekawe, jacy ludzie się tu wprowadzą. Prawdopodobnie zburzą staroświecki dom i postawią nowoczesny. Szkoda, bo budynek wprawdzie jest podniszczony, ale ma specyficzny charakter i urok. W ogrodzie na pierwszy ogień chyba pójdzie rozpadająca się altana, a zamiast niej będzie basen.

Przyszli mieszkańcy Linden Lodge zapewne zlikwidują wymagający pracy ogród i założą nowomodny, w którym nie trzeba będzie wciąż walczyć z pomrowami, chorobami róż i rdzą na malwach.

Kay rzuciła puszkę z olejem na taczkę i rozejrzała się. Było bardzo cicho. Błoga cisza jest możliwa jedynie w niedzielę we wsi leżącej na uboczu, z dala od głównej drogi.

Świeciło słońce, na pajęczynach krople rosy mieniły się

jak tęcza, a owoce berberysu wyglądały jak krople krwi. Dojrzałe jabłka, ledwo trzymające się na gałęziach, niebawem opadną jako żer dla ptaków, jeży, os.

Naturalny łańcuch pokarmowy.

Chodząc po zarośniętych ścieżkach, Kay ze smutkiem patrzyła na znajdujące się w ogrodzie skarby, cenne, delikatne rośliny, walczące o przetrwanie wśród bardziej krzepkich gatunków. Chętnie oswobodziłaby je. Lecz czy to ma sens? Jeśli nie pielęgnię regularnie, przyroda szybko i ze zwiększoną siłą wdziera się na oczyszczony skrawek, co przynosi więcej szkody niż pożytku.

Kay wiedziała, że przycinanie jeżyn nie miało sensu, ponieważ na wiosnę urosną jeszcze silniejsze pędy. A teraz musiała za ten śmieszny gest zapłacić, poświęcając czas i wysiłek, które z pożytkiem wykorzystałaby we własnym ogrodzie.

Otrząsnęła się z marzeń na jawie o tym, jak wyglądałby ogród, gdyby ktoś o niego dbał. Pocięła gałęzie na kawałki mieszczące się na taczce. Starła się nie myśleć o wątłym krzewie *Hamamelis virginiana*, niemal zaduszonym przez powój.

Dominic zbudził się nieprzytomny i przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Po nocy spędzonej w fotelu był zziębnięty i zeszywniały. Nic nowego. Przez sześć lat zdarzało się to bardzo często. Trzeba zmusić się do przeżycia kolejnego dnia.

Potarł zarośnięte policzki, palcami przeczesał włosy i przeciągnął się. Zdumiony patrzył przez okno. Promienie słońca padały na krople rosy i ogród wyglądał jak obsypany brylantami.

Czy został zaczarowany?

Tak. Ponieważ znowu jest w nim ogrodniczka. Tym razem koło altany.

Dominic zerwał się z fotela i bosy wybiegł do ogrodu. Nie zastanawiał się nad tym, co robi. Ważne było jedynie to, że ukochana pracuje w ogrodzie, na klęczkach, ostrożnie, uwalnia krzew od bezwzględności zielska. Chciał natychmiast jej pomóc.

Kay była tak pochłonięta pracą, że nie zwracała uwagi na różne odgłosy. Dlatego nic jej nie ostrzegło, że już nie jest sama.

Wprawdzie słyszała szelest, ale sądziła, że to wiewiórka, która uznała, że nie ma kogo się bać, więc spokojnie żerowała wśród krzewów.

Gdy kątem oka dostrzegła, że tuż obok ktoś przykłęka, serce załomotało jej ze strachu.

- Saro!

Smutny głos sprawił, że zamarła.

„Saro”?

Imię zostało wypowiedziane cichym, melodyjnym tonem, jakim mówi się do nerwowego źrebięcia, aby nie spłoszyło się i nie uciekło.

Kay chciała wstać.

- Zostań.

Zabrzmiało to jak rozpaczliwe błaganie. Kay zorientowała się, że wychudzony mężczyzna o zapadłych oczach to Dominic Ravenscar. Widząc pochyloną postać i twarz zasłoniętą kapeluszem, uległ złudzeniu, że żona powróciła z zaświatów.

Intuicyjnie czuła, że każda reakcja będzie niewłaściwa. Wszystko zrani tego człowieka. Nim znalazła stosowne słowa, usłyszała:

- Zawsze będę przy tobie. Już nigdy cię nie opuszczę.

Kay zastygła w bezruchu. Nie była w stanie myśleć, nic z siebie wykrztusić. Nawet gdyby wiedziała, co powiedzieć. Gorączkowo zastanawiała się, jak postąpić.

Jakby to było zupełnie naturalne, Dominic zaczął usuwać ścięty powój. Niechcący musnął palce Kay, która poczuła się jak rażona silnym prądem. Drgnęła, więc Dominie ją schwycił. Czy bał się, że zniknie? Jego długie palce zacisnęły się wokół jej ręki.

- Znowu pracujesz bez rękawic - rzekł cicho. - Ile razy mówiłem, że masz je wkładać?

- Ja... nie...

Usiłowała mówić, lecz słowa uwięzły w ściśniętym gardle.

Dominic widocznie usłyszał jakiś dźwięk albo jedynie odczytał ruch warg. Może pomyślał, że żona coś mu obiecuje, gdy Kay rozpaczliwie starała się uświadomić mu, że nie jest Sarą. Nim wykrztusiła swe imię, poczuła jego usta na swoich.

Całował czule, ostrożnie, jakby była czymś cennym i delikatnym, co łąda moment rozprysnie się na drobne kawałki lub zniknie.

Jej spragnione czułości ciało odpowiedziało jak po długiej zimie pierwiosnki na promienie słońca. Nieświadoma tego, co robi, oddała pocałunek. Zawarła w nim namiętność i tęsknotę wielu pustych lat.

Dominic nabrał pewności, że zjawa nie zniknie i dlatego zaczął całować namiętnie. Mocno przytulił Kay, wsunął palce w jej włosy, stracił kapelusz. Kay poczuła na twarzy gorące łzy. Czyje: jego czy swoje?

Kos przeciągle zagwizdał. Czy to ostrzeżenie?

Pocałunek był jak spełnione marzenie, jak cudny sen.

Minęła wieczność, nim Dominic oderwał się od słodkich ust i wyprostował.

Kay z trudem łapała oddech.

Minęła druga wieczność, zanim Dominic spojrzął na Kay i zrozumiał rzeczywistość. Radość na jego twarzy ustąpiła miejsca zmieszaniu. Nieszczęśnik uświadomił sobie błąd. Światło zgasło w oczach, które pociemniały, stały się niezgłębione, nieprzeniknione, mroczne.

Kay czuła absolutną pustkę. Po chwilach uniesienia nic nie zostało, więc było tym bardziej przykro.

Z trudem się opanowała.

- Pan Ravenscar, prawda? - spytała drżącym głosem.

Dominic zachwiał się.

- Słabo panu?

Tak bardzo mu współczuła, że zapomniała o własnym rozczarowaniu.

- Kim pani jest? - Nie odpowiedziała, więc powtórzył gniewnie: - Do licha, kim pani jest? - Wstał i odsunął się, jakby chciał zachować dystans, jakąś zimną, nieprzekraczalną odległość. - Co pani tu robi?

- Nazywam się Kay Lovell.

Wstała i zmusiła się do normalnego zachowania, jakby nie zaszło nic krepującego dla obu stron. Pocałunek nie był zawstydzający, lecz skutki niestety tak. Już dawno przekonała się, że z rzeczywistością trudniej sobie radzić niż z ułudą.

Miała miękkie nogi, bała się, że upadnie. Pomyślała, że pocałunek upaja jak alkohol i po długiej przerwie efekt jest bardziej niebezpieczny, bo zwielokrotniony.

W ostatniej chwili opanowała chęć, by wyciągnąć rękę; za późno na powitalny uścisk dłoni. Trzeba możliwie rozsądnie wyjaśnić swą obecność w ogrodzie.



- Ja tylko chciałam...

Nie, to zły początek. W tej chwili nie mogła mówić o jeżynach i zepsutym zamku. Zresztą Dominica chyba nie interesowało, co robi w jego ogrodzie. Na pewno chciał jedynie wiedzieć, dlaczego nie jest jego żoną. A na takie pytanie nie było odpowiedzi.

- Mieszkam obok - powiedziała po prostu.

Dominic odsunął się jeszcze o krok, jakby z każdą sekundą coraz wyraźniej uświadamiał sobie ogrom swej pomyłki. Spojrzał na brzoskwinie i obcięte jeżyny.

- To pani zrobiła, prawda?

Kay dostrzegła w jego oczach zamierające resztki nadziei. Domyśliła się, że był w domu poprzedniego dnia i widział ją. Wiedziała, co o niej myśli.

- Tak - szepnęła.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że nieświadomie wyrządziła temu zmizerowanemu człowiekowi krzywdę. Jednego dnia niechcący rozbudziła nadzieję, zaś następnego zniszczyła ją.

- A dziecko?

Nie odpowiedziała. Jeśli widział ją z Polly, powinien zdawać sobie sprawę, że nie jest jego żoną.

- Kim jest dziewczynka?

- Moją córką. Zbierałyśmy jeżyny do babeczek. Dzisiaj pojechała nad morze z moimi znajomymi. Z Amy i Jakiem Hallamami. Ich najmłodszy syn jest niewiele starszy od niej i... - Urwała speszona, że za dużo mówi. - Przepraszam.

- Nie ma za co.

- Gdybym wiedziała, że pan przyjechał, to bym...

- Zapukała do drzwi i grzecznie poprosiła o pozwolenie? - dokończył Dominic ironicznym tonem. - Dlaczego

dziś znowu się pani zakradła? Żeby sprawdzić, czy przeczyła jakieś jeżyny? A może co innego wpadło w oko?

Zerknął na krzew, ponownie na Kay i znacząco uniósł brwi. Kay zrozumiała podtekst i oblała się szkarłatnym rumieńcem.

- Myli się pan. Ja tylko... - Nie warto tłumaczyć się przed człowiekiem, który uważa, że bez łopaty chciała wykopać duży krzew. - Zamek w furtce zardzewiał, więc przysłałam wstawić nowy. Wytrzyma parę lat...

- A powstrzyma panią przed wchodzeniem do cudzego ogrodu?

Teraz miał głos szorstki, lodowaty, harmonizujący z zimnymi oczami.

- Powstrzyma, jeśli zasunie pan zasuwę - powiedziała uprzejmie, chociaż drżała i serce jej waliło jak młot. - Nawet wyświadczy mi pan przysługę. Myślałam, że po zamknięciu furtki będę musiała wejść na mur i skakać z drugiej strony. A to dość wysoko.

Zdobyła się na lekki uśmiech, którego Dominic nie odwzajemnił. Miał prawo być na nią zły. Milczał, więc wskazała taczkę z gałęziami.

- Zrobiłam wszystko, co chciałam, już sobie idę. Dominic spojrzał na taczkę, jakby chciał się upewnić, że sąsiadka nie zabierze cennych roślin. Zrobił grymas, gdy zobaczył stos gałęzi.

- Czemu pani to zrobiła?

- Chodzi o zamek?

- Nie. Dlaczego przycięła pani jeżyny?

- Bo za mocno obrosły brzoskwinie i biedna cierpiała męki. - Pomyślała, że ma dobrą okazję zapytać o pracę. W najgorszym razie Dominic ją wyrzuci, a już i tak odpycha. - Jestem ogrodniczką. Zamierzałam jutro zadzwoni-

nić do agencji nieruchomości i zapytać, czy zechcą skorzystać z moich usług. Mogłabym zaprowadzić tu trochę porządku. Skoro dom jest na sprzedaż...

- Zbędna fatyga - rzucił Dominic sucho. - Mnie podoba się właśnie taki ogród.

- Słusznie. - Kay podniosła z ziemi kapelusz. - Lepiej, żeby nowi właściciele zrobili porządek po swoim. Dam głowę, że dużo zmienią.

- Może panią zatrudnią.

- Wątpię, bo uporządkowanie tego zajęłoby mi dobrych kilka miesięcy. Sądzę, że wezmą fachowca, który ma różne maszyny i migiem zrobi porządek. Teraz ludzie usuwają kłopotliwe rośliny i wsadzają takie, które nie wymagają pracy. I od razu duże. Przecież oglądają te wszystkie cuda w telewizji.

Dominic patrzył na nią pustym wzrokiem. Widocznie nie zrozumiał jej gniewnej aluzji. Długo przebywał poza krajem i nie oglądał krytykowanych programów. Nie wiedział, że w ciągu paru dni można zlikwidować normalny ogród i na jego miejscu mieć egzotyczny pejzaż ze strumykiem i oczkiem wodnym.

- No, czas na mnie. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę się nie krępować i przyjść. Mieszkam w Old Cottage.

- Czego mógłbym potrzebować?

- Nie wiem.

Uważała, że może zaoferować sąsiedzką życzliwość. Pomóc mu, jak Amy, która przed laty wsparła ją, gdy była pogrążona w rozpacz i dręczona wyrzutami sumienia. Przez długie tygodnie Amy nie dawała się odtrącić, ignorowała jej niewdzięczne zachowanie. Udawała, że wszystko jest w porządku.

Kay często ubolewała nad tym, że nie spłaci długu wdzięczności wobec przyjaciółki.

- Spłacisz, gdy będziesz komuś potrzebna. Nie obliczaj ceny, tylko przekaż miłość bliźniego dalej. To wszystko, co każdy może zrobić - powtarzała Amy.

Kay miała przeczucie, że właśnie nadszedł ów moment spłaty długu. A nie była gotowa, nie wiedziała, jak postąpić.

- Na przykład mogłabym poczęstować pana dobrą herbatą. - Zarumieniła się, bo wypadło to sztywno, typowo po angielsku. - Albo podać jajecznicę z wiejskich jaj. Hoduję kilka kur...

Dominic milczał z kamienną twarzą, jakby nic nie słyszał lub nie rozumiał.

- Może dałabym ręcznik do wytarcia nóg - podjęła Kay następną próbę.

Dominic spojrział w dół i skrzywił się. Widocznie dopiero teraz uświadomił sobie, że jest boso i zamoczył spodnie do kolan. Bez słowa odwrócił się i poszedł w stronę domu.

Kay patrzyła na niego ze smutkiem. Na pewno był wściekły, że pocałował obcą kobietę.

Szedł sztywno, urażony, zraniony w swej dumie. Był zły na siebie, że tak sromotnie się pomylił. Uległ złudzeniu, myślał, że w ogrodzie jest ukochana żona.

Kay lekko wzruszyła ramionami. Znała swe ograniczenia, brak doświadczenia, zdawała sobie sprawę, że sytuacja ją przerasta.

Amy wiedziałyby, jak postąpić, znalazłyby stosowne gesty i słowa. Na pewno nie odeszłyby i nie zostawiła biedaka. Lecz przyjaciółki tu nie było.

Kay musiała sama rozwiązać dylemat. Instykt podpo-

wiadał jej, że najmądrzej byłoby zrobić to, o co Dominic prosił, czyli odejść. Lecz zwykła ludzka życzliwość wymagała odważniejszej reakcji. Czyli współczucia.

Kay zebrała się na odwagę i ruszyła za nim.

Na progu salonu przystanęła i nieśmiało rozejrzała się. Tapeta była w delikatny kwiatowy wzór, zasłony z jasnoniebieskiego jedwabiu, ale powietrze zatęchłe. Atmosfera zaniedbania, jak w ogrodzie. Tam Kay miała ochotę wyrwać zielsko i dać roślinom słońce, żeby w pełni rozkwitły. Tutaj chętnie otworzyłaby okna, aby dom odetchnął świeżym powietrzem.

Powstrzymała się, gdyż uznała, że wyrządziła już dość szkód.

Jedynym znakiem obecności pana domu był wgnieciony fotel i leżący na podłodze pokrowiec. Czy wdowiec spał przy oszklonych drzwiach, bo miał nadzieję, że ponownie ujrzy ukochaną żonę?

Znakiem były też ślady stóp na zakurzonej podłodze. Wyrzuty sumienia - bardziej niż chęć spełnienia dobrego uczynku - kazały Kay iść tym tropem do przedpokoju. Tam ślady stóp widniały na dywanie.

Usłyszała szum wody i domyśliła się, że Dominic bierze prysznic. Ucieszyła się, ponieważ to oznaczało normalne zachowanie, a podświadomie bała się nieszczęścia. Poszła do kuchni, umyła ręce i naląła wody do elektrycznego czajnika. W stojącym na stole pudle znalazła puszkę herbaty, napoczęty bochenek chleba i karton mleka. Wyjęła z szafki talerz i kubek. Były zakurzone, więc naląła wody do miski i rozejrzała się w poszukiwaniu płynu do mycia naczyń. Pod suszarką stała butelka z bardzo starą etykietką. Kay ogarnęło niezbyt przyjemne uczucie, że Sara była ostatnią osobą, która miała tę butelkę w ręku.

Prędko odsunęła tę myśl jako melodramatyczną, naląła płynu do miski i zabrała się do zmywania.

Dominic analizował swe zachowanie. Jak to się stało? Jak mógł coś takiego zrobić? Co sobie wyobrażał? Dlaczego myślał, że Sara czeka na niego w ogrodzie? Poszedł i przemawiał do niej! Objął i pocałował obcą kobietę...

Zachował się jak wariat!

Całkiem możliwe, że zwariował.

Nie ulegało wątpliwości, że sąsiadka wiedziała, kim on jest i co myśli. Czy dlatego pozwoliła się objąć i nie wzywała pomocy?

Nie tylko nie wrywała się i nie krzyczała, ale całowała go. Jej pocałunki sprawiły, że przez moment, przez jedną ulotną chwilę wierzył, iż zbudził się z koszmarne snu. Gdy całował słodkie usta, zawrzała w nim krew i po latach znowu poczuł się mężczyzną.

- Głupcze! - Uderzył pięścią w kafelki. - Idioto! Czy nigdy nie otrzeźwiejesz?

Nie widział dla siebie ratunku. Oznaką nieuleczalnej choroby był fakt, że obcą kobietę wziął za Sarę. Za żonę, którą nadal kochał. A przecież nie były podobne. Wzrok spletał mu figla. Kay była trochę wyższa i cięższa od Sary. Oczy miała szare, a nie niebieskie, włosy ciemniejsze, bez złocistego połysku.

Na pewno tylko z litości pozwoliła się całować.

Dwukrotnie umył zęby, aby usunąć ślady pocałunku.

Serce nadal mocno mu biło, krew płynęła żywiej. Zaskoczył go i zawstydził fakt, że ciało odpowiedziało na bliskość zupełnie obcej kobiety.

To zdrada wobec Sary!

Umył się, okręcił biodra ręcznikiem i zszedł na dół po czystą bieliznę.

Gdy Kay usłyszała kroki, spojrzała w stronę drzwi. Dominic był prawie nagi. Uderzyło ją, jak bardzo jest chudy. W jego ciele, w oczach, nie było nic miękkiego.

Patrzył na nią niezgłębionym wzrokiem. Widocznie nauczył się doskonale kryć uczucia i myśli.

- Pani jeszcze tutaj?

- Jak pan widzi.

- Greg panią nasłał?

- Co za Greg?

Z trudem oderwała wzrok od klatki piersiowej z wystającymi żebrami.

- Kto kazał mnie pilnować?

- Nikt.

- Czyli jest pani paskudnie wścibska.

Kay pomyślała, że nie należy oczekiwać wdzięczności.

Czy była wdzięczna Amy, gdy ta znalazła ją, zabrała do domu i nakarmiła? I później, gdy wymyśliła sposób, jak nakłonić ją, żeby zajęła się dzieckiem i zaczęła życie od nowa?

Wręcz przeciwnie.

Była bardzo niewdzięczna. Chciała, aby zostawiono ją w spokoju, pragnęła umrzeć. Wspominając siebie sprzed lat, uznała, że mają z Dominikiem wiele wspólnego.

Oczywiście chciał, żeby go zostawiła, chciał zapomnieć, że ją widział i całował. Niewątpliwie uważał, że opryskliwość jest najlepszym sposobem, aby pozbyć się natrętów. To zagwarantuje, że sąsiadka będzie trzymała się z dala od niego.

Sama też tak postępowała. Obserwując zachowanie Do-

minica, ze wstydem przypomniała sobie własną niewdzięczność. Ona też była opryskliwa, niemal ordynarna. Lecz nie osiągnęła celu. Amy przejrzała ją na wylot i zrozumiała, co oznacza jej zachowanie.

Kay wyciągnęła rękę z kubkiem.

- Proszę. Nie ma cukru, więc herbata jest gorzka. Dżemu też nie znalazłam. Ma pan bardzo mało jedzenia.

- Wszystkiego mało oprócz pani - burknął Dominic, nie odbierając kubka. - Pani mam stanowczo za dużo.

- Taki już los dobrych dusz. - Kay postawiła kubek na stole. - Grzanki są z samym masłem. Przyniosę dżem własnej produkcji. Bardzo dobry. W ubiegłym roku przyznano mi pierwszą nagrodę.

- Niech się pani nie fatyguje. Nie lubię dżemu.

- Nawet truskawkowego? Zrobiłam z własnych, ekologicznych owoców. Pierwsza klasa.

- Kobieto, czego ty ode mnie chcesz?

- Nic nie chcę.

- To dobrze, bo tylko tyle dostaniesz.

Gdy wylał herbatę do zlewu, Kay zdziwiła się, jak bardzo ją to zabolalo. Oczywiście jemu o to chodziło. Znała takie posunięcia.

- Woli pan kawę? - zapytała spokojnie. - Postaram się pamiętać. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, to wie pan, gdzie mnie szukać.

Nie czekając na jego reakcję, odwróciła się na pięcie i prędko wyszła.

Rozsądek mówił, że powinna iść do domu, lecz nie lubiła zostawiać niedokończonych prac. Dlatego wróciła do przerwanej zajęcia. Ręce jej się trzęsły, więc niezdarnie usunęła mocno skreconą łodygę powoju.



Zgrzytając zębami, Dominic wyrzucił grzanekę do kosza i zaniósł torby do sypialni, którą dzielił z Sarą przez jeden cudownie szczęśliwy rok.

Poprzedniego wieczoru ucieszyło go, że czuje perfumy na sukni Sary. Teraz jednak poczuł nieprzyjemny zapach długo zamkniętego pomieszczenia, więc prędko otworzył okno.

RS

## ROZDZIAŁ TRZECI

Długo z przyjemnością wdychał zapach ziemi i jesien-  
nych roślin. Potem spojrział w dal, na malowniczo poło-  
żoną wioskę.

Nic się tutaj nie zmieniło.

To samo starannie utrzymane boisko do krykieta, to samo rozległe błonie z gęstą murawą i starymi drzewami. Wierzby płaczące nadal moczą gałęzie w stawie, w którym wiosną jest pełno kijanek. Dawniej na błoniach pasł się osiołek.

O, teraz też jest! Czy możliwe, że to ten sam?

Sara zachwyciła się okolicą i wioską. Uznała, że Upper Haughton jest idealnym miejscem dla młodej rodziny, a otoczony murem ogród najbezpieczniejszym zakątkiem dla dzieci.

Niestety nic na tym świecie nie jest idealne i w raju zawsze czeka na człowieka podstępny wąż, czyhają ukryte, zdradliwe niebezpieczeństwa. Dominic ze smutkiem patrzył na gąszcz krzewów i zielska. Po śmierci żony piękno ogrodu sprawiało udramę nie do zniesienia, więc uciekł za morza. Sara kochała wszystkie troskliwie pielęgnowane rośliny i dlatego widok jej zaniedbanego, zarośniętego królestwa był wyjątkowo bolesny.

Dominic kątem oka dostrzegł ruch na błoniach, więc spojrział w dal zadowolony, że coś odrywa go od smutnych

wspomnień. Zadowolenie ulotniło się, gdy ujrzał Kay idącą do sklepu.

Przystanąła, zamieniła kilka słów ze znajomą i uśmiechnęła się. Dominic nawet nie zgadywał, o czym znajome rozmawiają. Wiedział, że dla mieszkańców Upper Haughton najciekawszym tematem jest wystawienie Linden Lodge na sprzedaż. Za kilka godzin wszyscy będą wiedzieli, że wrócił, ale jest niespełna rozumu. Był przekonany, że wieść rozniesie się za sprawą ogrodniczki, która lubi cudze jeżyny.

Kay pożegnała się i poszła dalej. Obserwując jej sylwetkę i sprężysty krok, Dominic zastanawiał się, jak mógł pomylić ją z Sarą. Teraz nie widział podobieństwa.

Poprzedniego dnia był zmęczony i widocznie dlatego zwiódł go wzrok, poniosła wyobraźnia. A może zawinił fakt, że sąsiadka znalazła się na miejscu Sary, robiła to samo...

Oderwał wzrok od Kay i znowu popatrzył na ogród. Z góry miał dobry widok na brzoskwinie uwolnioną z jeżynowych kleszczy oraz czysty skrawek ziemi wokół jednego krzewu. Dominic zaklął, wybiegł i zasunął zasuwę. Oparł się o mur i przymknął oczy. Pragnął być sam. Nie życzył sobie, by sąsiadka lub jakaś inna osoba patrzyła na pozostający w opłakanym stanie ogród. Tak gwałtownym ruchem szarpnął tabliczkę z ofertą sprzedaży domu, że wyrwał słupek z ziemi.

Kay rzadko miała cały ranek dla siebie, więc zaplanowała błogie lenistwo. Chciała kupić gazetę, wyciągnąć się na kanapie i przejrzeć kolorowy dodatek poświęcony ogrodnictwu. Lecz wróciła do domu podminowana, nie mogła usiedzieć na miejscu.

Nie szkodzi. Najlepiej wyładować energię i uspokoić się, robiąc coś praktycznego. Na przykład można przygotować ciasto na babeczki, włożyć owoce i zamrozić.

Drżącymi rękoma wsypała mąkę na wagę.

Powtarzała sobie, że musi zapomnieć o pocałunkach niemilego sąsiada. Musi pamiętać, że nie była obiektem jego czułości. Wdowiec pomylił się i sądził, że widzi żonę. Czyli ducha.

Brr! To straszne!

- Niepotrzebnie zachciało mi się bawić w psychologa - mruknęła. - Właściciel Linden Lodge jasno dał do zrozumienia, że więcej nie chce mnie widzieć. Powinnam być mu wdzięczna.

Dorzuciła mąki i westchnęła.

Nie rozumiała, dlaczego przygotowała herbatę i grzanki. Co chciała dzięki temu osiągnąć? Nie była Amy, nie posiadała rzadko spotykanego daru widzenia sedna problemu. Amy umiała sprawić, że druga osoba przyjmowała jej punkt widzenia.

Kay nieprzytomnie patrzyła na mąkę i zastanawiała się, co chciała zrobić.

Aha. Zamierzała przygotować ciasto.

- Niewdzięcznik otwarcie powiedział, że nie życzy sobie widzieć mnie w pobliżu - rzekła głośniej.

Śpiący na bojlerze Mog nie słuchał jej, lecz wolała mówić do kota niż do siebie.

- Dobrze, że zmilczał, co mam zrobić z „herbatą i współczuciem” - ciągnęła mimo braku zainteresowania ze strony zwierzaka. - Po co gadać po próżnicy, gdy czyny są wymowniejsze od słów? Niedwuznacznie!

Kocur na moment otworzył oko, przeciągnął się i znowu zwinął w kłębek.

- Mógłbyś udawać, że pilnie słuchasz - rzuciła Kay z wyrzutem.

O co właściwie chodzi? O co ma pretensję? O to, że sąsiad wylał herbatę? Zachował się grubiańsko, ale przecież nie zamawiał nic do picia. O współczucie też nie prosił. Sama mu się narzuciła, lecz bez dyskusji i prędko została odepchnięta.

Powinna być zadowolona z takiego obrotu sprawy. Niepotrzebnie uległa szlachetnym pobudkom, których nie doceniono. To ona źle się spisala. Dobrze, że grubianin ułatwił jej wycofanie się z jakim takim honorem.

- Powinam być zadowolona - powiedziała jeszcze głośniej. - Jestem zadowolona! Bo nie brak mi pilnych zajęć. - Wyjęła z lodówki masło i smalec, które zaczęła energicznie siekać na drobne kawałki. - Mam małe dziecko na utrzymaniu i leniwego kota do karmienia. Nie potrzebuję żadnych komplikacji w postaci zbolełego sąsiada.

Ciach, ciach, ciach.

Polly jest źródłem radości. To prawda. Lecz nawet w pełnej rodzinie rodzicielstwo wymaga skupienia, całkowitego oddania, a dla samotnej matki jest...

Ciach, ciach, ciach. Stukanie ostrza o deskę na moment przerwało tok myśli.

Kay dziwiła się, że po niespodziewanych pocałunkach czuje się bardzo pokrzywdzona przez los. Niedobrze, bo nie miała czasu na rozczulanie się nad sobą.

- Jestem samotną matką, a praca ogrodniczki na wsi przynosi mało zysku - poinformowała kota. - Przyszłość rysuje się niezbyt różowo.

Mog ziewnął.

Ciach, ciach, ciach.

- Do tamtych obowiązków dochodzi pół etatu w skle-

pie i plantacja truskawek. Dość zajęć dla jednej osoby, prawda? Nie potrzebuję chudego wdowca z problemami. Po co gmatwać sobie życie?

Ciach, ciach, ciach.

- A ten jego ogród...

Kocur zrozumiał, że nie wyśpi się w spokoju. Zeskoczył z bojlera i wyszedł obrażony.

- Licz tu, człowieku, na wdzięczność! Ty samolubie! Za wszystkie smakołyki, jakie ci podtykam, mógłbyś przynajmniej wysłuchać mnie do końca. Pożegnaj się ze śmietanką.

Odpowiedzią było machnięcie ogonem. Mog poszedł w stronę kępy kocimiętki.

- Wykopię ją! Zobaczysz! - zawołała Kay.

Kocur nie zareagował na pogrózkę.

- Wyrzucę kocimiętkę i posadzę coś pożytecznego. Cebulę albo czosnek. Pożałujesz!

Wiedziała, że nie spełni groźby, ponieważ i tak jest dość pracy z roślinami, o które należy regularnie dbać. Osoba, która ma ambicję produkować zdobywający wyróżnienia dżem, musi poświęcać wiele czasu na pielęgnację truskawek.

Czy warto zaniedbywać własne rośliny na rzecz cudzych? Jeżeli otrzyma propozycję, by wypiekc ogród przy Linden Lodge - a bardzo tego chciała - nie będzie grała roli pocieszycielki pana domu. Nawet gdyby bardzo pragnął pocieszenia. Na szczęście dał do zrozumienia, że nie chce dobrosąsiedzkiej życzliwości.

Okazywanie bliźnim współczucia, pocieszanie ich, zabiera wiele czasu. Kay pamiętała, że Amy spędziła wiele godzin, po prostu dotrzymując jej towarzystwa. Przez wiele dni i tygodni. Nawet teraz wystarczyło tylko zadzwonić do niej...

Zresztą telefon nie był konieczny. Chrzestna matka Polly często znajdowała pretekst, by wstąpić. Kay chwilami miała nieprzyjemne wrażenie, że jest pod kontrolą.

- Wstydz się - szepnęła. - Jesteś niewdzięczna.

Była samotną matką, żyła w małej wiosce, której mieszkańcy lubili plotkować. Zdobyła ich szacunek i bardzo się pilnowała, żeby go nie utracić.

Wizyty wdowca, choćby niewinne, byłyby pożywką dla plotek.

Dlatego należy unikać Dominica Ravenscara.

Kay wzięła sito i mąkę i w ostatniej sekundzie zauważyła, że nie podstawiała makutry.

Co się dzieje? Była zorganizowaną osobą, ale pocałunki zburzyły jej spokój.

- Kobieto, zapomnij o tym panu!

Zabrakło zwierzęcych uszu, musiała więc mówić do siebie. Teoretycznie mogła zwierzyć się córce, ale dotychczas nie obciążała dziecka swymi problemami i nadal nie zamierzała tego robić. Trzeba zapomnieć o przebudzonych pragnieniach, o marzeniach.

Łatwiej coś radzić, niż przeprowadzić.

Wykonała jeden niezręczny ruch i makutra wysliznęła się z zatłuszczonych palców.

Dominic chętnie wykrzyczałby swój gniew i ból, ale wiedział, że to nie przyniesie ulgi.

Cisnął tabliczkę w kąt ogrodu i bezwiednie skierował kroki ku miejscu, w którym rano zobaczył Kay. Patrząc na roślinę uwolnioną z więzów powoju i otoczoną skrawkiem czystej ziemi, uzmysłowił sobie, że Kay została, by dokończyć pracę, którą przerwały jego pocałunki.

Czyli go nie posłuchała!

Coś błysnęło na ziemi. W przydeptanej trawie leżał scyzoryk.

Sąsiadka zabrała taczkę i narzędzia, a to zostawiła.  
Przeoczenie czy celowe działanie?

Zawstydził się swych podejrzeń. Po co sąsiadce pretekst, żeby wrócić?

- Postąpiłem okropnie.

Jego zachowanie można określić dosadniej.

Był grubiański. Nie pierwszy raz. Zawsze tak postępował, aby pozbyć się kogoś, kto chciał zbliżyć się do niego. Bezpośrednio po śmierci Sary było to poniekąd usprawiedliwione. Lecz teraz? Nawet głupiec wie, że obrażonej osobie należą się przeprosiny. Dominic zdawał sobie sprawę, że zachował się skandalicznie. Posądził Kay o kradzież cennych roślin, a ona mimo to oswobodziła z chwastów ulubiony krzew Sary.

Podłe oszczerstwo! W dodatku rzucone tuż po pocałunkach! A całowali się tak namiętnie, że drżał jak w febrze.

Zrobił z siebie piramidalnego głupca. Dobrze, że Kay nie przeraziła się. Nie zirytowała się, nawet gdy krzyczał na nią, jakby zawiniła, że nie jest Sarą. Zamiast rozgniewać się, współczuła mu. Potem przygotowała herbatę i grzanki, obiecała przynieść domowy dżem. Typowa serdeczna sąsiadka, jakie jeszcze bywają na wsi. Taka życzliwa osoba wprawdzie zbiera cudze owoce, lecz w zamian coś przytnie albo wypięli, żeby ogród lepiej wyglądał.

Kay postępuje nie jak młoda dziewczyna, a raczej jak starsza kobieta. Lecz emerytka nie oddałaby pocałunków z takim zapalem. Czy to tylko sąsiedzka życzliwość? Czy ogrodniczka byłaby skłonna zastąpić Sarę?

Długo uśpione ciało obudziło się na samą myśl o tym.



Kay postawiła makutę na stole i umyła ręce. Była zła, że jest rozgorączkowana z powodu paru pocałunków.

- Trzeba się ochłodzić - stwierdziła, wyjmując z lodówki dzbanek z wodą.

Sprawdziła, czy dobrze odważyła mąkę i cukier i energicznie pomasowała palce. Wiedziała, że jeśli nie odpręży się, ciasto będzie za twarde. W ostatniej chwili przypomniała sobie o soli. Wyciągając rękę po solniczkę, łokciem potrafiła wagę. Rozsądniej byłoby, gdyby waga się przewróciła, bo wtedy mąka zostałaby na stole.

Niestety Kay nerwowo złapała wagę, więc mąka rozsypała się białym obłokiem.

- Do stu dmuchawców! - zaklęła.

Rozpędzając chmurę, gwałtownie wymachiwała rękoma, co miało nieprzewidziany skutek. Zabrakło powietrza! Potykając się i krztusząc, wybiegła do ogrodu.

Przetarła oczy fartuchem i... zamarła, bo przy furtce ujrzała nowego sąsiada. Serce zaczęło bić coraz szybciej, bardzo niebezpiecznie dla spokoju ciała i ducha.

Dominic miał wypłowiałe spodnie, spraną koszulę i wyglądał zupełnie przeciętnie. Kay wpatrywała się w niego, nie rozumiejąc, dlaczego drży od stóp do głów.

Przez kilka sekund oboje milczeli zaskoczeni, po czym zaczęli mówić jednocześnie.

- Chciałem...

- Miałam...

Umilkli speszeni.

Kay z trudem przełknęła ślinę i wykrztusiła:

- Miałam... wypadek... z mąką.

- Nigdy bym nie zgadł.

No proszę! Sąsiad jest nie tylko opryskliwy, ale i złośliwy. Coraz gorzej.

- Ładnie się upudrowałam? - Wierchem dłoni otarła twarz, co jedynie pogorszyło sprawę. - Przychodzi pan bezinteresownie czy po dżem truskawkowy?

Zapytała ostro jak na siebie, ponieważ zapomniała, że chciała być serdeczną sąsiadką.

- Nie jestem wyrachowany. Przyszedłem przeprosić.

Normalnie powiedziałyby, że nic się nie stało. Potrafiła zrozumieć człowieka, który nie panuje nad sobą, bo doznał szoku. Lecz uważała, że Dominic zachował się grubiańsko, więc milczała.

- Poza tym pewnie zguba się przyda.

Wyciągnął dłoń, na której leżał scyzoryk.

Kay czuła, że pąsowieje. Miała nadzieję, że to nie jej ulubiony scyzoryk, lecz jakiś inny, bardzo podobny. Wsunęła rękę do kieszeni, w której zawsze go nosiła.

Kieszeń była pusta.

Oczywiście!

Prawdziwy pech! Jeszcze i to musiało się przytrafić!

Jako wzorowa matka oduczyła się wyrazów, które były na porządku dziennym podczas strasznych miesięcy ciąży. Zamiast pospolitych, ale zakazanych słów używała nazw roślin. Miała duży repertuar, ale w tej chwili najgorsze botaniczne przekleństwa okazały się za słabe.

Zrozumiała, że zostawienie scyzoryka wygląda jak celowe działanie, pretekst do powtórnej wizyty. Taki wybieg można różnie interpretować. Na przykład:

Samotna matka pragnie dalszego ciągu czułości, powtórkę niespodziewanych pocałunków.

Wścibski babsztyl, który wtyka nos w nie swoje sprawy, chce znowu przyjść do Linden Lodge.

Bezrobotna ogrodniczka rozpaczliwie szuka pracy i zarobku.

Złośliwy sąsiad nie uwierzy, że niechcący zostawiła scyzoryk. Sama na jego miejscu też by nie uwierzyła.

Czarcikęs i wężymord to odpowiednio mocne słowa w takiej sytuacji.

Kay podejrzewała, że Dominic uważają za spragnioną pieśczoć kobietkę, która zasmakowała w porannej pomyłce. Czyż nie dała na to dowodu swą entuzjastyczną reakcją?

Miała nikłą nadzieję, że podświadomie nie...  
Dominic przerwał jej rozmyślenia.

- Czy można?

Nie czekając na odpowiedź, otworzył furtkę, wszedł i zatrzymał się kilka kroków przed Kay.

- Ja...

- Przepraszam panią.

- Za co?

- Za moje zachowanie.

Kay spiekła raka.

- Nie powinienem insynuować, że pani podkrada rośliny z mojego ogrodu.

Aha, o to chodzi. Kay głośno przełknęła ślinę i chrząknęła zakłopotana.

- Rozumiem, dlaczego mnie pan podejrzewał. Ale nie słyszałam o zakradaniu się do cudzego ogrodu po to, żeby wrywać zielsko.

Liczyła, że sąsiad roześmieje się, a przynajmniej uśmiechnie półgębkiem. Tymczasem patrzył, jakby nie rozumiał po angielsku.

- Że co? Aha... Przepraszam również za to, że wylałem herbatę. To było...

- Śmieszne? - powiedziała Kay, aby wybawić go z kłopotu.

Dominic zacisnął usta.

Kay uznała, że poprzednia sugestia nie odpowiada mu, więc odpowiedziała:

- Dziecinne?

- Niewdzięczne - wycedził Dominic i nieznacznie wzruszył ramionami. - Wypada przyznać się do wszystkiego... więc wyznam jeszcze jeden grzech. Wyrzuciłem grzanki.

Pomyślała, że szukał po prostu jakiegoś pretekstu, aby przyjść do niej.

- Jestem zgorszona. Pan wyrzuca jedzenie, a miliony ludzi głodują. - Widząc jego kamienną twarz, zrozumiała, że nowy znajomy nie orientuje się, kiedy żartuje, a kiedy mówi poważnie. - Oczywiście wie pan o tym lepiej ode mnie. Organizował pan jakieś akcje charytatywne, prawda?

Dominic nie raczył odpowiedzieć.

- Niech będzie, tym razem przebaczam. Okolicznością łagodzącą jest fakt, że nie prosił pan o jedzenie i picie. Życzliwe sąsiadki czasem dostają po nosie. Nawet dobrze im to robi.

Dominic pokręcił głową i na jego ustach zaigrał cień uśmiechu. Nareszcie.

- Dam pastorowi datek na pomoc dla głodujących. Czy to godna rekompensata?

- Ja wcale nie chciałam... Pan już zrobił coś dla pokrzywdzonych przez los, więc nie musi... - Urwała, ponieważ zdała sobie sprawę, że Dominic też mówił z przekąsem. - Pastor na pewno się ucieszy.

- Wobec tego zaraz do niego idę. Ale jeszcze muszę pani powiedzieć...

Która kobieta chce usłyszeć od mężczyzny, że żałuje pocałunków?

- Proszę nie mówić. Dość przepraszania. Poranny incydent odłożymy do lamusa niepamięci. - Wyciągnęła rękę po scyzoryk. - Dziękuję za zwrot cennej zguby. Nie wiem, jak bym sobie radziła bez tego narzędzia.

- Trudno byłoby otwierać cudze furtki.

- To cios poniżej pasa! Zapewniam, złośliwy człowieku, że zamka, który ja wstawię, nie otworzy nikt niepowołany.

- Zatem i pani musiałaby przechodzić przez mur. Oczywiście pod moją nieobecność...

- Ta zniewaga krwi wymaga!

- Przy okazji wybawiłaby pani następny krzew od śmierci przez uduszenie.

- Zawsze najtrudniej oprzeć się pokusie.

Uśmiechnęła się i odwróciła. Pozostawiła sąsiadowi decyzję, czy wejdzie do domu. Gdy spojrzała przez ramię, stał w drzwiach, zasłaniając światło, więc nie widziała jego twarzy.

- Wracając do ogrodu... - rzekł.

Serce Kay mocno podskoczyło, co niezupełnie miało związek z możliwością otrzymania zlecenia.

- A wracamy?

- Tak. Przyznaję, że jest w opłakanym stanie. Chciałbym trochę go uporządkować, przywrócić jego wygląd sprzed...

Domyśliła się, że słowa uwięzły mu w gardle.

- Sprzed sześciu lat? - podpowiedziała.

Dominic popatrzył na ogród, w którym każdy skrawek ziemi był wykorzystany do maksimum.

- Widać, że pani wie, co robi.

Kay zacisnęła usta. Woląca nie zdradzić się z tym, że jest bardzo zainteresowana możliwością otrzymania pracy.

Schwyciła czajnik, żeby mieć zajęte ręce i nie objąć Dominica, co byłoby mocnym dowodem podwójnego zainteresowania.

Obejmowanie ewentualnego klienta to niewskazane posunięcie. Mało profesjonalne. Kuszące, ale niemądre.

Podobnie jak przyjęcie zlecenia od człowieka, który ją zanadto pociąga.

Szkoda rezygnować, bo praca blisko domu ma dużo plusów. I niewątpliwie stworzyłaby dobrą okazję do wykazania się umiejętnościami. Byłby to pierwszorzędny atut przetargowy dla początkującej firmy. Kay założyła swoją firmę przed kilkoma miesiącami. Była pełna entuzjazmu i wyobrażała sobie, że na jesieni kupi nowy samochód, a nawet zatrudni pomocnika. Tymczasem nadal ledwo wiązała koniec z końcem.

No trudno. Pieniądze nie są najważniejsze. Można pracować dla przyjemności, dla osobistej satysfakcji. Chciałyby kopać ziemię i przesadzać rośliny w błogiej ciszy otoczonego murem ogrodu. Chodziło o przywrócenie dawnego piękna, prawda?

Niezależnie jednak od tego, jak bardzo pragnęła mieć pracę, musiała odsunąć siebie na dalszy plan i pomyśleć o właścicielu ogrodu. Wiedziała, że pamięta o bolesnej stracie i dlatego widok młodej kobiety w ogrodzie pielęgnowanym przez żonę raczej nie pomoże mu zapomnieć.

Przypuszczała, że Dominic postanowił zaangażować ją nie dla jej wybitnych umiejętności, lecz z powodu podobieństwa do zmarłej. Aby podtrzymać złudzenie, że żona nadal z nim jest.

Kay nie była wytrawnym psychologiem, lecz sądziła, że przywrócenie ogrodu do dawnego stanu nie leży w interesie wdowca. Przynajmniej nie z tego powodu.

- Lubię być szczerą. Myślałam, że przez dwa, trzy dni przetrzebi się chwasty. Wystarczy zrobić tylko tyle, żeby ogród nie odstraszał potencjalnych kupców. Mam w tym doświadczenie. Pośrednicy czasem zlecają mi drobne prace, bo niedrogo biorę za usługi. Ale przywrócenie dawnego wyglądu to zupełnie inna para kaloszy. Jest to przedsięwzięcie, do którego potrzebni są specjaliści, duża firma zatrudniająca z dziesięć osób. Kierownik takiej firmy ma doświadczenie, więc od razu z grubsza wyliczy koszt i będzie pan wiedział, czego się trzymać. - Pomyślała, że to prawda, ale trochę trudno rezygnować z okazji. - Na pewno wyjdzie taniej i będzie szybciej. Ja potrzebowałabym dużo czasu.

- Jak to, taniej? Mówi pani, że niedrogo bierze.

- Dopiero rozkręcam interes i muszę zapracować na markę, żeby chętnie dawano mi zlecenia. Gdy już będę znana jako solidny fachowiec, zacznę się bardziej cenić.

Mało prawdopodobne, by do tego doszło. Podliczenie wydatków bardzo ją zniechęciło. Koszt transportu, pracy własnej oraz silnego pomocnika do najcięższych robót był zbyt wysoki.

- Kiedy będzie wiadomo, że jest pani tania, nikt nie zgodzi się na wyższą stawkę - logicznie zauważył Dominie. - Takie rzeczy szybko rozchodzą się po okolicy. Będzie pani zmuszona nadal brać minimum, a „życzliwi” agenci będą zdzierać z klientów najwyższą stawkę. Trzeba się cenić, jeśli człowiek chce, żeby inni traktowali go poważnie.

- A pan jest wyjątkiem?

- W tym wypadku ani czas, ani koszty nie są ważne.

Potrzebny mi ktoś z sercem ogrodnika.

- Kto mówi, że mam takie serce?

Dominic nie odpowiedział, ale jego milczenie było wymowne. Kay zrozumiała, że okazała „serce ogrodnika”, gdy zlitowała się nad umęczoną brzoskwinia.

- Przecież zamierza pan sprzedać dom - rzekła dość pewnym głosem, choć wewnątrz drżała.

- Nie pali się.

Oboje kierowali się niejednoznacznymi motywami. Kay nie była pewna, czy jest zupełnie szczerą, czy jedynie zawođa ją nerwy. Czyżby bała się pracy, odpowiedzialności i zleceniodawcy?

- Skończmy ten temat.

To zdanie było szczere.

- Obiecuję, że nie będzie powtórki dzisiejszego incydentu - rzekł Dominic oschle. - Jeśli to panią dręczy.

- Nie.

Jednak na wspomnienie pocałunków zrobiła się purpurowa. Oboje ze wstydem wspominali pierwsze spotkanie. Kay nie wątpiła w szczerść zapewnień sąsiada, bo przecież wiedziała, że nadal kocha zmarłą żonę.

Dla obu stron będzie lepiej, jeżeli ogród uporządkuje mężczyzna, którego zwalista sylwetka nie będzie przywođziła na myśl smukłej kobiety.

- Zapomnijmy o tym, co zaszło. Ja już nie pamiętam.

- Mimo to czuła zdradzieckie rumieńce wypełzające ponownie na policzki. - Żeby doprowadzić ogród do dawnej świetności, potrzebowałabym co najmniej kwartału, bo nie mam za dużo wolnego czasu, a roboty jest tam mnóstwo. Jestem zatrudniona na pół etatu w sklepie i u paru stałych klientów.

- Huk roboty - wycedził Dominic przez zaciśnięte zęby. - Czyli daje mi pani do zrozumienia, że nie chce pomóc?



- Ja tylko mówię, że chyba nie jestem najlepszą osobą do tej pracy.

- Dziwny sposób rozkręcania interesu.

- Może dziwny, ale uczciwy. Naprawdę uważam, że powinien pan dokładnie przemyśleć sprawę.

- Już przemyślałem. Sara spędziła mnóstwo czasu i wysiłku, planując, sadząc, pieląc... - Zamilkł, i przez moment zdawał się przebywać gdzieś bardzo daleko. - Nie chcę, żeby uniecałstwowano ogród. Jeśli będzie wyglądał jak dawniej, może nowi właściciele nie będą mieli pokusy, by go zniszczyć i posadzić inne rośliny.

Kay pomyślała, że widocznie chce on, aby ogród był pomnikiem ku czci zmarłej.

Dobrze to czy źle? Będą kłopoty czy nie? Nawet jeśli tak, to czy powinna się przejmować?

RS

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Dominic widocznie odczytał jej myśli.

- Nie mogę... nie pokażę nikomu tak zapuszczonego ogrodu - rzekł pośpiesznie.

- Będzie pan miał trudności ze sprzedaniem domu, jeżeli nie pozwoli ewentualnym nabywcom oglądać całej posesji.

- Jutro zadzwonię do pośrednika i wycofam się do czasu uporządkowania ogrodu. Jak długo to potrwa, zależy tylko od pani.

- Zaraz, zaraz! Nie...

- Ile godzin tygodniowo mogłaby pani dla mnie przeznaczyć?

Kay uświadomiła sobie, że sąsiad nie przyjmie odmowy. Dodało jej to otuchy, ale postanowiła wysunąć jeszcze jeden argument, aby uzmysłwić mu, że zadanie jest prawie niewykonalne.

- Góra dziesięć. Od rana już jestem zajęta, więc w grę wchodzi tylko popołudnia. Po dwie godziny, pięć razy w tygodniu.

- Tylko dwie godziny? I to się nazywa popołudnie pracy? Nie przemęcza się pani.

- A pan, jak na człowieka, który koniecznie chce mnie zatrudnić, nie wysiła się na uprzejmość. Kończę każdą pracę o wpoi do czwartej, bo Polly wraca ze szkoły. Godziny nie podlegają negocjacjom.

Bała się, że straci z trudem wypracowany spokój. Po-  
dejrzone gorąco rozeszło się w całym ciele, krew szumiała  
w uszach. Kay nie pojmowała, dlaczego jej puls jest inny  
niż zwykle. Niewskazane!

- Panie Ravenscar - zaczęła oficjalnie. - Tylko tyle  
mogę zaoferować jeszcze jednemu klientowi. Dziękuję, że  
chce pan dać mi zlecenie, które niewątpliwie sprawiłoby  
mi dużo satysfakcji, ale, jak już wspomniałam, jeśli robota  
ma być wykonana w szybkim tempie, trzeba poszukać  
kogoś pracującego całą parą.

- Pani Lovell - rzekł Dominic równie oficjalnie. - Do-  
kładnie wiem, o co mi chodzi i czego potrzebuję. Jeśli  
może pani poświęcić mojemu ogrodowi tylko dwie godzi-  
ny dziennie, to trudno. Zgadzam się. - Wyciągnął rękę.  
- Czy uściskiem dłoni przypieczętujemy umowę?

W ciemnych oczach mignął dziwny błysk. Co to zna-  
czy? Czy sąsiad zorientował się, o jakie zastrzeżenia  
chodzi?

Duma nie pozwalała przyznać się do obaw. Dlatego  
Kay wyciągnęła rękę... umączoną, więc czym prędzej  
wytarła ją fartuchem. Wolałaby uniknąć uścisku i, zabie-  
rając rękę, niejako zasugerowała, że jeszcze można wyco-  
fać się z ryzykownej umowy.

- Radzę nie spieszyć się i spokojnie podsumować plu-  
sy i minusy - powiedziała głucho.

Sama potrzebowała więcej czasu, aby zastanowić się  
i wymyślić argumenty odwodzące upartego sąsiada od je-  
go zamiaru. Podświadomie czuła, że nie powinna u niego  
pracować.

- Muszę sprawdzić w kalendarzu, jakie zadania zapla-  
nowałam na najbliższy okres.

- Chyba nie ma ich za wiele, skoro musi pani pracować

w sklepie, żeby dorobić. Starcza na coś oprócz grzanek z masłem i dżemem truskawkowym?

- No proszę, ten znowu swoje. Co za tupet! Pewno nie może pan się powstrzymać... Proszę sobie wyobrazić, że w sklepie pracuję dla przyjemności.

- Jak to dla przyjemności? Włamuje się pani po godzinach i przestawia towar na półkach?

- Szczyt bezczelności! Nie „włamałam się” do pańskiego ogrodu. Ledwo pchnęłam furtkę, otworzyła się, bo zasuwą przerdzewiała na wylot. Wstawiając nowy zamek, wyświadczyłam przysługę.

- Proszę doliczyć koszt zamka do zarobków w pierwszym miesiącu.

Kay nie dała się sprowokować. Uznała, że dostatecznie wykazała, iż jest osobą, której nie zatrudnia człowiek przy zdrowych zmysłach. A jeśli zatrudni, jego ryzyko. Wyjęła z szuflady ulotkę mozolnie wydrukowaną na przestarzałym komputerze.

- Proszę. Niech pan przejrzy to w wolnej chwili. Tu są moje warunki i stawki.

- W ten sposób prowadzi pani interesy?

- Każdy prowadzi po swojemu. U pana będzie sporo roboty. Wprawdzie tanio liczę, ale nie aż tak, jak pan myśli.

- Czy sugeruje pani, że nie stać mnie na opłacenie jej usług? - Wziął ulotkę, lecz nawet nie rzucił na nią okiem.

- Mimo obniżonej stawki?

- Ten, kto porzuca dom na sześć lat, na pewno ma więcej pieniędzy niż rozumu - wypaliła Kay, zanim pomyślała, co chce powiedzieć. - Nie martwię się o cudze finanse, ale po dobroci radzę, żeby się nie spieszyć. Jutro pracuję w sklepie do pierwszej. W drodze powrotnej wstą-

pie, żeby dowiedzieć się, czy umowa jest aktualna. Będzie pan w domu?

- Nie obiecuję. - Dominic zmarszczył brwi. - Ale nieważne, czy będę, bo zostawię otwartą furtkę. Proszę przynieść narzędzia i od razu brać się do dzieła.

Skłonił się i odszedł, nim otworzyła usta, by przypomnieć o kawie.

To i lepiej. Sąsiad już pokazał, co sądzi o jej poczęstunku. Pomyślała, że jeśli przyjmie zlecenie, postara się, żeby kontakty były wyłącznie służbowe.

I będą zwracali się do siebie po nazwisku.

Taki układ będzie bezpieczniejszy.

Pan Dominic Ravenscar zapomniał o pewnych faktach, ale pamięta, jak rozkazywać. I zapewne oczekuje odpowiedzi: „Tak, proszę pana. Nie, proszę pana. Oczywiście, proszę pana”.

Czy wobec tego warto się angażować? Chyba to nie jest dobry moment, żeby spłacić dług wobec Amy. Kay bała się, że zamiast pomóc zboliałemu człowiekowi, któregoś dnia da mu łopata po głowie i na zawsze wybawi od bólu.

Sprzątnęła mąkę i zaczęła wszystko od nowa, tym razem w pełnym skupieniu. Dopiero po włożeniu ciasta do lodówki napiła się kawy i wyszła przed dom. Wmawiała sobie, że postępuje słusznie, starając się uniknąć pracy w Linden Lodge.

Do finansowego dna było jeszcze daleko. Wprawdzie zlecenia nie sypały się jak z rękawa, ale miała kilku stałych klientów, na przykład regularnie dbała o ogród państwa Armstrongów. Pracy miała niewiele, ponieważ był tam właściwie tylko trawnik jako miejsce zabaw dla dzieci. Reszta posesji była pokryta płytkami i wysypana żwirrem. Obowiązki polegały na koszeniu trawy, wrywaniu

chwastów wyrastających między płytkami, wyrzucaniu z doniczek starych roślin i wsadzaniu nowych. Kay podejrzewała, że zatrudniono ją z litości, dla podtrzymania na duchu. Jednak była to stała praca.

Z jej usług odpłatnie korzystali także właściciele Old Rectory. Poza tym regularnie kosiła trawniki u kilku emerytek. Staruszki były biedne jak mysz kościelna i nie miały z czego płacić, więc robiły na drutach różne rzeczy dla Polly. Czapeczkami i rękawiczkami, które dostała, można byłoby obdzielić duże przedszkole. Kay uważała, że emerytki powinny utworzyć spółdzielnię i sprzedawać wyroby w Maybridge. Wtedy posiadałyby nieco gotówki.

Zostaw cudze interesy! Myśl o swoich!

Dodatkowa praca, choćby tylko przez dziesięć godzin tygodniowo, wydatnie poprawi jej sytuację finansową. Kasa świeciła pustkami, a zbliżały się urodziny Polly, która marzyła o przyjęciu i o rowerze.

W Dominicu było coś niepokojącego. Przypomniało to Kay wszystko, czego brakowało w jej życiu, o czym młode kobiety myślą, że im się należy.

Nie zaznała gorących uczuć, nie przeżyła romantycznej miłości.

- Jestem dojrzałą kobietą, więc sobie poradzę - szepnęła. - Byłoby mi łatwiej, gdyby nie te poranne czułości, ale to nie jest przeszkoda nie do pokonania.

Tymczasem przyda się wysiłek fizyczny, aby odsunąć wspomnienie ust Dominica, jego półnagiej sylwetki, przestać wyobrażać sobie, że tuli się do niego...

Dobra okazja do przerzucania kompostu.

Polly wróciła zachwycona. Wpadła do domu, rzuciła torbę na krzesło i pobiegła do chłopców. Dzięki temu Kay

mogła swobodnie opowiedzieć przyjaciółce o spotkaniu z sąsiadem.

- Całował cię? - zawołała Amy. - Niemożliwe!

- Pocałował nie mnie, lecz zjawę. Ducha swojej żony.

- zaproponował, żebyś u niego pracowała? Musiałaś go czymś ująć.

- Ująć? - Kay była zaskoczona osobliwą nutą w głosie przyjaciółki. - Raczej zrobił to z radości, że nie zaatakowałam go grabiami - zażartowała.

Amy nie uśmiechnęła się.

- Ciekawe, czemu tego nie zrobiłaś.

- Sama chciałabym wiedzieć. Wszystko odbyło się w mgnieniu oka.

Choć trwało dość długo. Całe wieki.

- Są różne „mgnienia”. - Amy miała niesamowitą zdolność odczytywania cudzych myśli. - On pewnie sam nie wie, dlaczego chce cię zatrudnić.

Kay żałowała, że opowiedziała wszystko ze szczegółami. Sądziła, że kto jak kto, ale przyjaciółka ją zrozumie.

- A ty wiesz?

- Nie trzeba być geniuszem, żeby odgadnąć. Kochana, chyba nie myślisz poważnie o przyjęciu tego zlecenia?

Kay przez cały dzień rozważała wszelkie za i przeciw. Było dużo plusów, więc niechętnie przechylała się na stronę minusów, przede wszystkim z powodu zastrzeżeń, jakie wysunęła Amy. Co innego jednak podjąć decyzję samodzielnie, a co innego wysłuchać zawołowanej krytyki swego postępowania. Kay nie lubiła, gdy kwestionowano jej decyzję przed wysłuchaniem argumentów, a Amy często tak postępowała. Dawała dobre rady, jakby tylko ona wiedziała, co jest najlepsze dla przyjaciółki i jej córki. Szczególnie dla Polly.

Dobra rada, nawet dawana w najlepszej intencji, bywa irytująca.

- On nie przyjmował odmowy - rzekła wymijająco.

- Więc powiedziałam, że muszę przemyśleć sprawę i że on też powinien spokojnie się zastanowić.

- Przemyśl, przemyśl i wycofaj się.

Zanadto protekcyjna rada.

- Jesteś dziwnie nieugięta.

- Myślę o tobie. Dominic Ravenscar na pewno nadal jest atrakcyjnym mężczyzną, ale chyba potrzebuje pomocy psychologa.

- Też tak uważam.

Chciała jeszcze coś dodać, lecz rozmyśliła się.

- Co takiego?

- Nic. Nieważne.

- O co chodzi?

- Czy pamiętasz, co powiedziałaś, gdy kolejny raz dziękowałam za wszystko, co dla mnie zrobiłaś? Mówiłaś, że ja też kiedyś spotkam kogoś potrzebującego pomocy.

Wtedy spłacę dług.

- Myślisz, że on jest tą osobą?

- Na pewno kogoś potrzebuje.

- To musiał być niezwykle pocałunek - rzekła Amy po chwili zastanowienia.

Kay poczuła, że się czerwieni. Pamiętała o swej reputacji, o tym, z jakim trudem mieszkańcy Upper Haughton zaakceptowali dziewczynę znikąd. Dlatego rano dokładnie przemyślała kwestię pracy u sąsiada. I była przekonana, że podjęła decyzję podyktowaną przez zdrowy rozsądek.

Niestety, pocałunki wywarły uwodzicielski czar na jej psychice i przez cały dzień budziły głęboko skrywane tęsknoty. Pod wpływem nieoczekiwanie ostrego sądu przy-



jaciółki tłumione uczucia przerodziły się w gniew. Kay uważała, że dowiodła, iż jest dobrą matką, przyjaciółką i członkiem lokalnej społeczności. Czy za jeden zły postępek trzeba pokutować przez całe życie, zawsze pokornie chylić głowę?

- Według ciebie nie nadaję się do takiej pracy? Powinnam zadowolić się koszeniem trawników u emerytek...

- Przepraszam - przerwała jej Amy. - Wybacz, nie zamierzałam cię zniechęcać. Współczucie dobrze o tobie świadczy, ale dziwię się, że nie widzisz niebezpieczeństwa.

Kay myślała o zagrożeniu. Gdyby nie dostrzegła niebezpieczeństwa, bez wahania przyjęłaby ofertę. Mimo to zapytała:

- Jakiego? Co mi grozi podczas kopania ziemi i wyrywania zielska?

Zdała sobie sprawę, że oszukuje siebie i przyjaciółkę, bo oczywiście przyjmie zlecenie.

- Mam wyłożyć kawę na ławę?

- Proszę.

Kay wystraszyła się, że straci panowanie nad sobą, gdy Amy mocniej zadraśnie jej dumę. Przyjaciółki znalazły się na rozdrożu. Wiedziały, że ostra wymiana zdań potrafi zniszczyć największą przyjaźń.

- Przez sześć lat unikałaś mężczyzn, a jesteś młoda i zdrowa. Raptem jakiś nieznajomy wynurza się z porannej mgły i całuje cię tak, że nie możesz zapomnieć. Obudził cię, przypomniał, co tracisz. To najtrzeźwiejszej kobiecie zawróciłoby w głowie.

- A ja nie jestem trzeźwa?

- Oboje macie zachwianą równowagę.

- Skończyłam dwadzieścia pięć lat i znam różnicę między ułudą a rzeczywistością. Byłam...

- Trzymaj się jak najdalej od człowieka, który przysporzy ci zmartwień.

Kay też o tym wiedziała. Walczyła z sobą przez cały dzień, ponieważ rozsądek sprzeciwiał się pragnieniu poniesienia ryzyka, by dowieść, że została uleczona, że nie jest emocjonalną kaleką, która zawsze będzie potrzebowała wsparcia. Chciała zaoferować bliźniemu pomoc i współczucie. Chodziło tylko o to.

- Prosił, żebym zrobiła porządek w jego ogrodzie. To wszystko.

- A ty myślisz, że zaprowadzisz porządek w ogrodzie i w sercu właściciela. Prawda?

Amy nie dała się zwieść.

- Ty mnie wyleczyłaś...

- Najlepszym tego dowodem jest fakt, że znowu chcesz zaryzykować. - Amy objęła ją i pocałowała. - Dziękuję, że dałaś mi Polly na cały dzień. Dzieci mają niespożyta energię.

Po dniu pełnym wrażeń Polly była tak zmęczona, że zasnęła, ledwo przyłożyła głowę do poduszki. Kay przyklękła koło łóżeczka i delikatnie pogładziła złote loki.

Wstydziała się swego dawnego postępowania. Była wdzięczna Amy za umożliwienie powrotu do normalnego życia. Nie wątpiła, że wszystko, co ma, zawdzięcza przyjaciółce. Lecz nie chciała stale czuć się niezdolna do podejmowania samodzielnych decyzji. Dotychczas zawsze słuchała Amy bez sprzeciwu. Teraz zachowała się taktownie i nie doszło do kłótni, ale pozostał żal.

Amy lepiej zna życie i być może jej ostrzeżenie jest mądre. Na pewno miała jak najlepsze intencje. Lecz najwyższy czas wyzwolić się, usamodzielnic. Nie można

przez całe życie oglądać się za siebie i sprawdzać, czy mentorka aprobuje każdy krok. Nie można stale wspierać się na rusztowaniu zbudowanym z miłosierdzia Hallamów. Nie wypada bez końca mieszkać w cudzym domu.

Kay marzyła o tym, by zarobić na własny. Poza tym nie chciała stale dzielić się swym dzieckiem z kobietą, która je uratowała. Nie wiedziała, jak doszło do tego, że zawsze słucha przyjaciółki, zamiast kierować się swoim rozumem.

Trzeba zerwać z takim przyzwyczajeniem. Już dawno powinna stanąć na własnych nogach. Myśl była przerażająca, serce mocno bito ze strachu, a mimo to Kay uśmiechnęła się.

Amy jak zwykle miała rację. To wina pocałunków, które widocznie spowodowały zaburzenia w mózgu.

Jake leżał w łóżku, a Amy przed lustrem szczotkowała włosy.

- O czym myślisz?

- Słucham?

- Co się stało? Jesteś nieobecna myślami.

- Wrócił Dominic Ravenscar. - Odłożyła szczotkę i odwróciła się do męża. - zaproponował Kay, żeby doprowadziła ogród do dawnego stanu.

- To dla niej świetna okazja.

- Niby tak, a jednak mam wątpliwości. Postąpiłam nietaktownie i prawie się pokłóciłyśmy.

Jake nie zapytał, o co. Znał żonę i wiedział, że widocznie był ważny powód.

- Niemożliwe.

- Byłam niedelikatna, a Kay drażliwa.

- Czyli obie nie byłyście sobą.

- Ona drogo za to zapłaci, bo Dominic ją zrani.

- Dlaczego?

- Oczywiście nie zrobi tego celowo. Widzisz, on jeszcze nie pogodził się ze śmiercią Sary, a Kay uważa za swój obowiązek pomóc mu. Bo my jej pomogliśmy.

- Chce sobie samej coś udowodnić. Albo tobie.

- Wiadomo, jak w takiej sytuacji kobieta może pomóc mężczyźnie. Dominic nie oprze się pokusie, ale po pewnym czasie znienawidzi siebie, a potem Kay.

- Czy pamiętasz, co ludzie wygadywali, gdy jej szukaliśmy, a potem przyjęliśmy do siebie?

- Oczywiście. Mówili, że jesteśmy głupcami, że nam nie podziękuję, że pożałujemy. - Amy otarła łzy. - Długo nie dziękowała. Były takie chwile...

- Wiem, kochanie. - Jake wziął ją w ramiona i przytulił. - Ale wytrwałaś i dowiodłaś, że miałaś rację. Nie doceniasz jej zdolności do przetrwania i nie doceniasz swoich zasług. Jeśli Kay jest gotowa zaryzykować, to najlepszy dowód, że dzięki tobie jest mocna.

Amy spojrzała na niego zaskoczona.

- Czy to znaczy, że radzisz mi odsunąć się i czekać na nieuniknione nieszczęście? A potem znowu sklejać rozbite kawałki?

- Nie. W tej chwili radzę się położyć. Dzień był bardzo męczący, a jutro masz zebranie...

Amy niedbale machnęła ręką.

- Nic nie rozumiesz. Chodzi mi również o Polly. Dziecko też będzie cierpieć.

- Kay na pewno pamięta o córce.

- Ale...

- To jej dziecko i ona jest za nie odpowiedzialna.

- Nie.

- Tak, kochanie. Przepraszam cię, bo wiem, jak bardzo chciałaś mieć córkę.

- Mam trzech udanych synów. I wspaniałego męża.

- Amy przełknęła łyżę i zdobyła się na uśmiech. - Pewno istnieje jakieś prawo, które nie pozwala człowiekowi mieć wszystkiego. Bo to szkodliwe albo...

- Kto wie? Może faktycznie jest takie prawo. Ale to nie znaczy, że nie powinniśmy dążyć do upragnionego celu. - Jake pocałował ją namiętnie. - Chodź do łóżka.

Kay przystanąła przed furtką. Była bardziej zdenerwowana, niż gdy pierwszy raz zamierzała wejść do cudzego ogrodu. To śmieszne. Przecież teraz nie wybiera się ukradkiem po jeżyny. I nie powodują nią rozbudzone hormony, jak sugerowała Amy. Po prostu idzie pracować.

To dobrze płatne zlecenie. Prawie całą noc spędziła przy kalkulatorze, obliczając zarobki i koszty. Doszła do wniosku, że należy opanować nerwy i korzystać z nadarzającej się okazji.

Teraz szła oficjalnie, do pracy.

Chyba że właściciel Linden Lodge posłuchał jej rady i zmienił zdanie. Czy w tej chwili dzwoni do jakiejś dużej firmy w Maybridge? Zdziwiła się, jak bardzo ma nadzieję, że tego nie robi. Dlaczego w ogóle podsunęła mu taką nedorzeczną myśl?

Wytarła wilgotne dłonie o spodnie i chwyciła klamkę. Otwierając furtkę, spodziewała się ujrzeć Dominica. Czy czeka na nią, z kamienną twarzą i kąśliwą uwagą? Na wszelki wypadek zrobiła obojętną minę.

Pusto!

Jedynym śladem obecności właściciela była rzucona na

ziemię tabliczka. Czyli mówił poważnie, że na razie rezygnuje ze sprzedaży domu.

Kay była trochę rozczarowana, ale mówiła sobie, że lepiej pracuje się bez nadzoru. Dominic uprzedził o ewentualnej nieobecności i polecił zacząć porządki. Wobec tego zacznie. Bardzo dobrze się składa. Uśmiechnęła się na myśl, że jego nieobecność znaczy, iż nie zmienił zdania.

- Bardzo się cieszę - szepnęła.

Nie będzie od razu pielic, bo najpierw trzeba zaplanować kolejne czynności. Wyciągnęła zeszyt i długopis i, chodząc po ogrodzie, robiła notatki.

Dominic obserwował ją z okna na piętrze. Dziwił się, że nie przyniosła narzędzi, ale jej zachowanie świadczyło o tym, że przyjmie zlecenie.

Radziła mu, żeby się przespał i przemyślał propozycję. Nie mógł spać - od dawna cierpiał na bezsenność - więc myślał przez całą noc. Zastanawiał się, czy popełnia wielki błąd, namawiając sąsiadkę, aby podjęła się pracy u niego. Wiedział, że jest odpowiednią osobą, lecz nie był pewien, jak zniesie jej obecność.

Pocieszał się, że nic mu nie grozi, ponieważ nie ma już kłopotu z odróżnieniem zwidów od rzeczywistości. Teraz zdumiewało go, że w ogóle uległ złudzeniu.

- Witam. Można wiedzieć, co pani robi?

Tym razem Kay pilnie nadstawiała uszu i nie zignorowała szelestu. Powoli podniosła oczy znad zeszytu.

- Mówił pan, że mam przynieść narzędzia i zabrać się do pracy, więc posłuchałam.

- Miałem na myśli bardziej typowe narzędzia.

- Ogrodnictwo nie sprowadza się do machania łopata

i grabiami. Szkicuję plan ogrodu, żeby zorientować się, co należy zrobić i w jakiej kolejności. W domu, przy komputerze, opracuję szczegółowy plan.

- Ja bez komputera wiem, że przede wszystkim trzeba skosić trawę.

Kay miała nadzieję, że Dominic nie będzie się wtrącał, więc skrzywiła się niezadowolona.

- Kosiarka jest w szopie.

- Wiem.

- Czy to znaczy, że tam też pani się włamała?

RS

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Kay przyglądała się Dominicowi beznamiętnie, choć nie było to łatwe. Miał urodę filmowego amanta, której w niczym nie umniejszała chudość twarzy oraz srebro we włosach.

- Tam też jest przerdzewiały zamek. Jutro wstawię nowy, ale przydałoby się pomyśleć o nowocześniejszym zabezpieczeniu...

- Co kryje się za tą pozorną troskliwością? Czy ogrodniczka-włamywaczka handluje zamkami?

- Jestem odpowiedzialna za bezpieczeństwo w naszej wiosce. Powiem Robertowi Safety'emu, żeby wstąpił do pana. Na razie zadzwoniłam w sprawie kosiarki. Zabiorą ją dzisiaj i sprawdzą, czy nadaje się do użytku. Myślę, że jeszcze to i owo trzeba będzie naprawić. Wpuszczę ich...

- Nie idzie pani do sklepu?

- Pracuję rano w poniedziałki, czwartki i piątki.

- Więc...

- Dziś przyszłam wyjątkowo - przerwała bezceremonialnie. - Zlecenie naprawy sprzętu należy do moich obowiązków. Tak samo zajęłabym się panem, gdyby przez sześć lat leżał pan w wilgotnej szopie, pokryty kurzem i pajęczynami.

Zarumieniła się i spuściła wzrok, ponieważ żart zabrzmiał sztucznie, jakby wcześniej, go obmyśliła. Dobrze



byłoby odkurzyć Dominica, odczyścić, naoliwić, żeby funkcjonował jak się patrzy.

Oj, lebiodo, nie myśl o oliwieniu!

Praca u sąsiada jednak będzie trudna.

Lecz trzeba się zgodzić, choćby z wyrachowania. Zlecenie jest zbyt ważne, by z powodów emocjonalnych ryzykować jego utratę.

- Oczywiście trzeba doprowadzić kosiarkę do stanu używalności, chociaż - długopisem wskazała skłębioną trawę - do tego się nie przyda. Poproszę Jima Batesa, żeby przyszedł z kosą i...

- Jakiego znowu Batesa?

- Naszego kościelnego. Jeszcze nie nauczyłam się machać kosą. W tej materii zawsze proszę o pomoc kościelnego. Zapytam go, czy skopie grządki pod warzywa. Jest flegmatyczny, ale solidny. Nie musi mu pan płacić osobiście, bo wystawię rachunek za to, co zrobi. Policzę tylko tyle, ile sobie zażyczy, bez narzutu - dodała, aby nie zostać posądzoną o to, że zarabia na innych. - Będzie bardzo zadowolony, jeśli pan postawi mu piwo.

Dominic nie od razu skomentował jej sugestię. Upłynęło całe pół minuty, nim odchrząknął i rzekł:

- Skończyła pani?

- Tak. Przepraszam, że wpadłam w pół słowa. Co pan chciał powiedzieć? Ma pan jakiś pomysł?

- Nie. Proszę robić swoje.

- Dziękuję za pozwolenie.

- Pomocnikowi niech pani sama postawi piwo i dopisz cenę kufła do rachunku.

- Ale...

Kay uważała, że pomysł z pubem jest znakomity. Wdowiec za dużo siedzi w domu sam. Powinien więcej prze-

bywać wśród ludzi. Towarzystwo na ogół dobrze wpływa na człowieka, odrywa myśli od wszelkich dręczących go spraw.

Dominic odwrócił się i skierował w stronę domu.

- Proszę pana!

Nie przystanął, więc ruszyła za nim. Szedł tak prędko, że dogoniła go dopiero przy drzwiach.

- Panie Ravenscar, ja...

- Co znowu?

Zadrżała pod wpływem groźnego spojrzenia. Wolałaby w tej chwili stać w drugim krańcu ogrodu. Lecz za późno na żale, gdy pracodawca czeka na odpowiedź.

- Chciałam zapytać... pomyślałam... może pana żona prowadziła notatki...

- Notatki? - powtórzył lodowatym tonem. - Nawet gdyby zostawiła pamiętnik, co pani do tego?

- Co? Ach! - Kay speszyła się. - Nie chodzi mi o zapiski osobiste, ale ogrodnicze. Ja mam taki zeszyt... dwa zeszyty. Jeden dotyczy mojego ogrodu, a drugi cudzych. Notuję uwagi o pogodzie, posadzonych i zasianych roślinach, plonach. O tym, co zrobiłam i co trzeba zrobić, jakie katalogi przejrzeć, jakie nasiona zamówić. Wszystko sobie zapisuję.

- Aha.

- Czy są... podobne zapiski?

- A czy to ważne?

- Notatki pomogłyby mi zorientować się, co pana żona zrobiła i zaplanowała, jaką miała wizję ogrodu. Nie wszystko przetrwało sześć lat. - Wskazała dwa rzędy bylin. - Na przykład tutaj są ubytki, które trzeba uzupełnić.

- Jakie ubytki? Gdzie?

- Nie widzi pan luk?

- Wręcz przeciwnie. Widzę tylko gąszcz.

Większość ludzi nie odróżnia roślin szlachetnych od chwastów.

- Ach, rozumiem. Zobaczy pan braki, gdy wyrwę chwasty.

- Jest tyle do zrobienia, a pani bezsensownie marnuje czas. Swój i mój.

- Przepraszam. Nie sądziłam, że przeszkadzam panu w jakimś ważnym zajęciu.

Dominic dostrzegł wymowne spojrzenie, jakie rzuciła na leżący na podłodze pokrowiec.

- Czekam na samochód z pralni.

- Przyjeżdża raz w miesiącu. Ośmielam się zauważyć, że to trochę ekstrawaganckie czekać dwa tygodnie.

- Czy łaskawa pani proponuje, że zajmie się także sprzątaniami domu? Zdaży pani jeszcze i to zrobić w ciągu tych dwóch godzin, jakie mi poświęca? Ile czasu zostanie po zbędnej paplaninie?

Kay przygryzła język, nie dała się sprowokować.

- Chciałam tylko poradzić, żeby pan zwrócił się do pani Fuller. Unika stałego zatrudnienia, ale od czasu do czasu chętnie bierze dorywczą robotę. Sprzątanie mieści się w tej kategorii, prawda? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, zakończyła: - Proszę to przemyśleć.

- Czy to już wszystko?

- Tak. Nie. Przepraszam, ale jeszcze wrócę do informacji o ogrodzie. Może pana żona zostawiła jakiś plan, odręczny szkic? Wolalabym podczas kopania nie zniszczyć wartościowych cebulek.

Dominic wyglądał, jakby miał ochotę wyprosić ją z domu, ale powiedział:

- Proszę wejść.

- Co? O, dziękuję.

Zdjęła buty i dogoniła go przy końcu korytarza.

- Zona przesiadywała w tym pokoju. - Otworzył drzwi do pomieszczenia koło kuchni. - Nie lubiła gabine-  
tu od frontu, bo stamtąd nie widziała ogrodu.

- Rozumiem, ale tu... trochę ciasno.

- Pośrednik nazwał tę klitkę służbówką kamerdynera.  
Poniosła go fantazja, bo dom nie był rezydencją arystokraty.

- Pośrednicy zawsze dodają splendoru zwykłym domom.

Kay rozejrzała się. W oknach były kraty, pod ścianami.  
solidne półki. Całkiem prawdopodobne, że kiedyś stała tu  
cenna porcelana. Teraz były tylko książki kucharskie i po-  
radniki dla ogrodników-amatorów. Na niewielkim biurku  
leżał otwarty zeszyt, wieczne pióro, kilka kredek, wido-  
kówki, zdjęcia ogrodów wycięte z kolorowych czasopism,  
notatki przypięte do korkowej tablicy. Na poczesnym  
miejscu stało zdjęcie młodego, uśmiechniętego Dominica.

Pokój sprawiał wrażenie, jakby czekał na kogoś, kto  
przed chwilą wyszedł i niebawem wróci.

Kay obejrzała się za siebie. Dominic stał przy drzwiach.

- Czy mogę?

- Proszę.

Wzięła do ręki zeszyt, a raczej elegancki notes opra-  
wiony w błyszczący materiał. Pismo było bardzo staranne,  
wieczne pióro drogie. Przerzucając kartki, Kay stwierdzi-  
ła, że treść odpowiada oprawie. Sama prowadziła pobeżne  
notatki, zeszyty były poplamione, tutaj zaś starannie zapi-  
sano, co działo się w ogrodzie. Sara Ravenscar raz zano-  
towała pojawienie się jeża, a kiedy indziej dzwonków,  
które nieplanowo wyrosły pod murem. Zapiski ilustrowała  
artystycznymi rysunkami.

- O coś takiego chodziło?

- Tak. Muszą być jeszcze inne notatniki, bo w tym tylko część stron jest zapisana.

- Proszę sprawdzić w szufladzie.

Szuflada nie dała się otworzyć.

- Zamknięta. Klucz pewnie gdzieś tu jest.

- Proszę poszukać.

Kay zajrzała do pudełka, w którym znalazła spinacze, pinezki, gumki. W tym momencie zadzwieczało jej w kieszeni.

- Oj, dzwoni budzik! Muszę już iść, bo za pięć minut kończą się lekcje.

- Pamiętam, że dziecko jest na pierwszym miejscu.

- Jeśli to panu przeszkadza...

- Bynajmniej. Niech pani pędzi po jedynaczkę. Irytujące są te dwie godziny, bo chciałem, żeby pani szybko uporządkowała ogród.

- Przecież mówiłam...

- Wiem, wiem. Niech pani już idzie. Obiecuję, że poszukam klucza. - Odprowadził ją do drzwi. - Skoro bierze pani notatki mojej żony do domu, proszę zapisać, ile czasu zajmie ich przeglądanie. I policzyć za stracone godziny.

- Niech pan nie sili się na złośliwość. Wieczory są długie. Co mam z nimi robić?

- Nie śmiem radzić. Ale powiem, że nie utrzyma się pani na rynku, jeżeli nie będzie cenila swojego czasu. Powinna pani opracować umowę, która przewiduje wszelkie dodatkowe czynności. Niech pani zapyta swoich przyjaciół. Hallamowie świetnie prosperują, więc na pewno doradzą coś mądrego.

Kay wiedziała, co od nich usłyszy. „Rzuć to. Przestań się oszukiwać”.

- Proszę przemyśleć tę kwestię.

- Dobrze. Ale pod jednym warunkiem. Pan pomyśli o zatrudnieniu pani Fuller.

- Jak mam to rozumieć? Czy cała wieś płaci pani za załatwianie pracy innym? Niech pani rzuci ogrodnictwo, bo lepsza będzie mała agencja pośrednictwa.

Mała!

Kay najbardziej ubodło to słowo. Dlaczego wszyscy zakładają, że nie stać jej na zrobienie czegoś „dużego”? Bardzo ją to irytowało, ale zdołała się opanować i nie wybuchnęła.

- Przyda się panu ciepły sweter na zimę? Znam kilka starszych pań, które potrafią robić bardzo ładne rzeczy.

- Zapomniała pani o córce, która kończy lekcje? Jutro otworzę furtkę, żeby pani mogła wpuścić speców od kosiarki. Niech pani wpisuje każdą minutę do rozliczeń.

- Powiem pani Fuller, żeby przyszła.

- Żegnam panią.

- Do jutra.

Kay mocno pochyliła się pod niską gałęzią buka rosnącego na środku niespotykane zaniedbanego trawnika

I zniknęła za drzewem.

Parę minut później Dominic poszedł zasunąć zasuwę. Nie miał ochoty wracać do pustego domu, więc zajrzał do szopy, aby sprawdzić, w jakim stanie jest kosiarka. Maszynę pokrywała gruba warstwa kurzu. Narzędzia ustawione pod ścianą były prawie niewidoczne pod kurzem i pajęczynami.

Dominic wziął do ręki rydel ogrodniczy i przejechał palcem po zniszczonej powierzchni. Ciekawe, co ogrodniczka powie o takim narzędziu. Nie wątpił, że komentarz

będzie długi i jędrny. Sąsiadka miała dużo do powiedzenia na każdy temat.

Irytująca kobieta!

Nadzorując ludzi wynoszących kosiarkę, Kay spodziewała się nadejścia właściciela, który wygłosi uszczypliwą uwagę o tym, że nikomu nie płaci za beczynność. Ukradkiem zerkała w stronę domu. Przykro jej było, że drzwi są zamknięte, ale tłumaczyła sobie, że tak jest lepiej.

Okna też były pozamykane, co oznaczało, że Dominica nie ma. Bardzo dobrze. Nie powinien spędzać całych dni w samotności.

Po wyjściu z ogrodu podeszła do frontowych drzwi i przez otwór na listy wrzuciła kopertę, którą zamierzała wręczyć osobiście. W tym momencie zajechał samochód. Ale jaki! Elegancki, z siedzeniami ze skóry. I taki długi, że wręcz niepraktyczny. Marzenie wszystkich mężczyzn.

Z samochodu wysiadł Dominic.

- Co pani wrzuciła? Rozmyśliła się pani?

Kay spojrzała na sąsiada i... zabrakło jej słów. Dzięki temu nie zdradziła swego zachwytu. W kaszmirowej marynarce i wyprasowanych spodniach Dominic wyglądał jak marzenie wszystkich kobiet.

- Gdybym się rozmyśliła, nie pisałabym kartki, lecz otwarcie powiedziałabym o tym.

- To się chwali. Więc o co chodzi? Proszę nie trzymać mnie w niepewności. Co dostałem? Zaproszenie na dożynkową biesiadę? Najnowszy numer parafialnej gazetki? Listę atrakcyjnych artykułów w sklepie?

- Nic z tych rzeczy. Przyszłam dopilnować, kiedy zabierano kosiarkę, i przy okazji chciałam wręczyć panu umowę.

- Umowę? - szczerze zdziwił się Dominic. - Dziwnie krótko zastanawiała się pani nad szczegółami.

- A jak długo należy się zastanawiać? Pan wybaczy, ale mam mało czasu. - Zorientowała się, że wypadło to niegrzecznie, więc innym tonem dodała: - Niezły wóz. Bardzo...

- Czarny? - podpowiedział Dominic z ironią.

- Czysty.

Dominicowi drgnęły kąciki ust, a Kay pomyślała, że warto byłoby doprowadzić go do śmiechu.

- Trochę tu pomieszkać, więc trzeba było pomyśleć o jakimś środku lokomocji.

- Akurat o takim długim? To... rozpusta. Do tego służy autobus albo ciężarówka.

- O, nie wiedziałem, że przez tę dziurę czasem przejeżdża autobus.

Zabrzmiało to jak ostrzeżenie, by nie wsadzała nosa w nie swoje sprawy.

- Nie czasem, bo kursuje regularnie trzy razy dziennie i jest bardzo punktualny.

- Trzy razy! Szkoda, że mi pani wcześniej nie powiedziała. - Otworzył drzwi i podniósł z podłogi kopertę. - Proszę wejść.

Kay zamierzała powiedzieć, że nie może, lecz ugryzła się w język. Pomyślała, że warto wstąpić, aby namówić Dominica na zatrudnienie sprzątaczk. Dom wymagał gruntownych porządków, czego mogła podjąć się osoba, której nie trzeba mówić, co należy zrobić. Nadarzała się okazja, by przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie.

Poprzedniego dnia postanowiła zaimponować zleceniodawcy i od razu przygotować umowę. Proste zadanie, szczególnie gdyby zadzwoniła do przyjaciół. Amy lub



Jake na pewno chętnie pokazaliby wzór dokumentu. I dali sporo dobrych rad, których akurat nie miała ochoty wysłuchiwać.

Uważała, że czas najwyższy usamodzielnic się, spróbować własnych sił. Zdawała sobie sprawę, że zna się na prawie jak Dominic na ogrodnictwie, powinna więc zasięgnąć rady prawnika. Zwróciła się do syna jednej z emerytek. Uważała, że skoro kosi za niego trawę, prawnik oszczędza czas i może z wdzięczności poświęcić jej kilka minut. Okazało się, że syn emerytki jest tego samego zdania. Poczta elektroniczną przysłał odpowiedni formularz z zaznaczonymi miejscami do wypełnienia. Poza tym telefonicznie poinformował o stosownym ubezpieczeniu, zachęcił, by rozwinęła firmę, wymyśliła chwytliwą nazwę. Obiecał też sprawdzić, gdzie i jakie są dopłaty dla początkujących przedsiębiorców.

Kay lubiła, gdy traktowano ją poważnie.

Prawniki zaproponował, że będzie płacił za koszenie trawnika u matki, lecz Kay nie zgodziła się. Syn emerytki był cenniejszy jako źródło porad prawnych.

- Jakim sposobem udało się pani tak szybko opracować umowę? - zapytał Dominic.

Z uznaniem patrzył na formularz firmy Daisy Roots.

- Posłuchałam pańskiej rady. Przemyślałam wszystko bardzo szczegółowo i doszłam do wniosku, że ma pan sporo racji. Skromne początki nie znaczą, że nie powinnam być bardziej ambitna.

Poza tym łudziła się, że posiadając ładnie nazwaną firmę, łatwiej przekona pośredników, by płacili przyzwoitą stawkę godzinową. Z przyjemnością wydrukowała nowe wizytówki i ulotki, które rano zaniosiła do centrum ogrodniczego.

- Proszę podpisać oba egzemplarze, jeden do zwrotu.
- Chyba zapomniała pani o najważniejszym.
- Czyli o czym?
- Każdy dokument najpierw trzeba dokładnie przeczytać.

- Wystarczy, że ja przeczytałam. - Kay uśmiechnęła się figlarnie. - Przepraszam, żartowałam. Niech pan przestudiuje każde słowo trzy razy. Odbiorę umowę po południu. Albo jutro.

- Tyle czasu nie potrzebuję.

Odwróciła się i chciała odejść, lecz Dominic szerzej otworzył drzwi.

- A może od ręki załatwimy sprawę? Chyba że musi pani pędzić do jakiejś innej pracy.

Kay pomyślała o prasowaniu, które od dawna leżało na krześle, i o szkolnych testach, które obiecała przejrzeć. Poza tym chciała zaplanować urodziny Polly. To niespodzianka, więc przygotowania muszą odbywać się, gdy solenizantka jest poza domem.

Dominicowi zapewne chodziło o regularną pracę zarobkową, a nie o drobne zajęcia.

- Zaraz przestudiuję umowę, a pani pozwolę przygotować kawę.

- Trudno nie skorzystać z takiej łaskawości.

Dominic pragnął, aby została.

Nie przyznawał się przed sobą do tego, że chce widywać Kay, rano więc wyszedł, by uniknąć spotkania. Czy dlatego, że sąsiadka przypominała zmarłą żonę? Nie. Ponieważ przypominała mu, że jest mężczyzną.

Ucieczka nic nie zmieniła, co Dominic zrozumiał, gdy ujrzał Kay na progu swego domu. Była w nietwarzowym roboczym stroju, bez makijażu, z pajęczyną na włosach.

Miała w sobie coś bardzo naturalnego, więc ożywczego. Często popełniała gafy, na które reagowała śmiechem lub rumieńcem. Gdy bardzo się spieszyła, nie robiła uników, lecz odważnie brnęła dalej. A to rzadka cecha.

Była niepoprawną gadułą, w konsekwencji czego przez dwa dni zamienił z nią więcej słów niż ze znajomymi przez ostatnich sześć lat. Rozmawiali nie tylko o pracy.

- Mam też inną przynętę: notesy żony. - Wiedział, że Kay nie oprze się pokusie. - Znalazłem nawet szkic ogrodu.

Szukanie zapisków było mniej bolesne od niszczenia starych rachunków. Wyrzucając rzeczy, których Sara dotykała, czuł się jak przestępca.

Kay rozpromieniła się.

- Bardzo chętnie przejrzę. W nagrodę za odnalezienie notesów zaproszę pana na dobrą, mocną kawę.

- Przydzielanie nagród to kolejna pani funkcja?

- Nie. Przeczytałam zapiski, które wzięłam do domu. Rozwiązała sznurowadła i zdjęła buty.

Dominic dostrzegł dziurę w skarpetce. Czy to oznaka ubóstwa? Zastanawiał się, ile sąsiadka może mieć na utrzymanie siebie i córki. Dlaczego są same? A może nie są? Nie słyszał o mężu, nie widział mężczyzny koło Old Cottage, lecz to nic nie znaczy. Jeżeli mąż wyjechał...

Nie. Gdyby sąsiadka była z kimś związana, nie oddałyby pocałunków tak namiętnie.

Kay wyprostowała się. Była wyższa od Sary i nawet bez butów niemal dorównywała mu wzrostem. Może dlatego trudno było ją ignorować. Patrzyła prosto w oczy i nawet speszona nie spuszczała wzroku.

- Pańska żona miała talent. Dzięki jej pełnym entuzjazmu notatkom ogród ożywa w mojej wyobraźni. Czytając

zapiski, miałam wrażenie, że znam autorkę. Coraz lepiej rozumiem, dlaczego panu tak bardzo brak żony.

Brak? Dominic ostatnio coraz częściej zapominał, że jest wdowcem.

- Nastawię czajnik - rzekł ostro. - Znajdzie pani wszystko w pokoju Sary.

Zaskoczona Kay patrzyła na jego plecy. Co takiego powiedziała? Czym go uraziła? W jednej chwili przekomarzał się, a w następnej... krach. Znowu zamknął się w sobie. Przypominało to chodzenie bosymi stopami po rozbitym szkle.

Od dawna wiedziała, że bezpieczniej nie wygłaszać opinii na każdy temat, lecz trzymać się takich dziedzin, które dobrze zna. Na przykład o pieleniu wie wszystko.

Przesunęła notesy na bok i rozłożyła projekt ogrodu. Był pięknie naszkicowany, kolorowy, nazwy roślin wykalfigrafowane.

Gdy Dominic przyniósł kawę, spojrzała na niego zdziwiona.

- Och, przepraszam. Zaczytałam się.

- Nie szkodzi. To ja muszę przeprosić.

- Za co?

- Wciąż źle reaguję, gdy mowa o mojej żonie. - Wzruszył ramionami. - Chociaż rzadko kto ją wspomina. Po śmierci Sary znajomi unikali tego tematu jak ognia.

Kay popatrzyła na niego znad krawędzi kubka.

- Wcale się nie dziwię. Skoro pan jest taki drażliwy.

- Rozumiem.

Znowu źle wypadło. Kay miała ochotę wejść pod biurko.

Dominic wlepił wzrok w kawę.

- Wcale nie jestem taki groźny, ale mam ostry język.

Zauważyła pani, prawda? Znajomi nie pozwalali mi mówić o zmarłej, a teraz mam wrażenie, że zapomniałem, jak to robić.

- Współczuję panu. Śmierć żony to na pewno straszne przeżycie.

- Wszyscy mieli dobre chęci i byli przekonani, że jeśli nie będą o niej wspominać, to prędzej zapomnę.

- Jest pan pewien?

- Jaki mógł być inny powód tego, że starali się wymazać wspomnienia o niej? Postępowali, jakby nigdy nie istniała. Niektórzy proponowali, że wezmą jej rzeczy. Chcieli jak najszybciej usunąć wszelkie ślady po niej.

- Skrzywił się. - Większość doradzała mi wyjazd.

- Pewnie myśleli, że jeśli nie będzie pan widział rzeczy żony, prędzej minie ból - powiedziała Kay łagodnie. - Oczywiście mylili się. Trzeba mówić, bo dzięki temu człowiek zapamięta radość. Ucieczka byłaby kiepskim rozwiązaniem.

- Czy pani nigdy nie miała ochoty uciec?

W kredowobiałej twarzy lśniły pociemniałe oczy.

- Można uciekać na różne sposoby, ale to złudny ratunek. Prędzej lub później człowiek musi przyjąć fakt do wiadomości.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

No proszę! Znowu wyrwała się jak filip z konopi i udaje psychologa. A już łudziła się, że panuje nad sobą i kontakty z sąsiadem będą bezproblemowe. Nie czekając na wybuch, odstawiała kubek i pilnie zajęła się szkicem, jak gdyby wcale nie rzuciła metaforycznego granatu.

- Trzeba zrobić porządek z altaną - powiedziała rzeczowym tonem. - Sądzę, że kiedyś była piękna, ale teraz przedstawia żaloszny widok. Zgrzybiała staruszka.

- Co takiego? Wdał się grzyb? - Dominic miał nieprzytomną minę, ale po chwili wydobył ze swego ponurego wnętrza coś, co od biedy przypominało uśmiech.

- Ach, znowu dowcip.

- Słaby - przyznała Kay. - Próbuję wyleczyć się z dowcipkowania i poprawiłam się już tak bardzo, że nie przekraczam pięciu wpadek dziennie. No, nie każdego dnia jest tak dobrze...

Pseudouśmiech zmienił się i - jeśli nie oceniać drobniawo - przypominał prawdziwy uśmiech. Kay jednak patrzyła uważnie i dlatego serce ścisnęło się jej na widok żaloszego wysiłku. Miała ochotę objąć Dominica albo przynajmniej wziąć go za rękę i zapewnić, że rozumie. Chętnie powiedziała by, że wszystko będzie dobrze już niedługo, w niedalekiej przyszłości. Opanowała jednak pokusę, gdyż niezależnie od reakcji Dominica próba pocieszenia go byłaby żenująca.

- Niech się pan nie wysila - rzekła. - Śmiech nie jest przymusowy.

- To dobrze.

Teraz Dominic naprawdę się uśmiechnął. Bez ostrzeżenia i tak, że Kay wpadła w zachwyty. Uwaga! Niebezpieczeństwo! Prędko wróciła myślami do altany.

- Trzyma się tylko dzięki temu, że obrosła powojnikiem. Słusznie, że klematis ją podtrzymuje, bo sam doprowadził ją do ruiny. Jest bardzo stary, pewnie posadzony zaraz po zbudowaniu altany. Wtedy pomysł wydawał się dobry.

- Żona wiedziała, że jest konieczne solidne cięcie, ale chciała zobaczyć kwiaty. Czekala, żeby powojnik zakwitł, bo bała się...

Zapanowało przykre milczenie, które przerwała Kay:

- Często patrzę na niego przez okno. Gdy kwitnie, wygląda jak na zdjęciu w katalogu.

- Pierwsze kwiaty rozwinęły się w dniu pogrzebu... Kay poczuła ucisk w gardle. Myślała, że stąpa jedynie po rozbitym szkłe, a nieopatrznie weszła na pole minowe.

Nieoznakowane.

- Zerwałem kilka, bo chciałem położyć w trumnie, żeby Sara przynajmniej miała je koło siebie. Ale płatki natychmiast zaczęły opadać.

Tym razem milczenie ciągnęło się w nieskończoność. Kay myślała gorączkowo, ale nie znalazła słów, które przerwałyby przygnębiającą ciszę. Wyręczył ją pominię.

- Gdzie jest ojciec Polly?

Kay drgnęła, bo nagła zmiana tematu wytrąciła ją z równowagi.

- Ona nie ma ojca.

Jedynym wyjaśnieniem jej reakcji był fakt, że już od

dawna nikt nie poruszył tego drażliwego tematu. Może, podobnie jak Dominic, wysyłała sygnały ostrzegające, że wstęp na ten teren jest wzbroniony. Lub dokładnie usunęła to z pamięci i przestała zauważać, czy znajomi omijają temat. Niezależnie od przyczyn, teraz nie była przygotowana, dała się zaskoczyć.

A miała instynktowną awersję do mówienia o najbardziej osobistych sprawach.

- Ja... On...

Zazwyczaj wychodziła z opresji cało, ponieważ przygotowała sobie kilka odpowiedzi. Na przykład mówiła, że ojciec jej dziecka sam jeszcze był dzieckiem. Za młody, musi dojrzeć. Szuka siebie, chce się odnaleźć, ale ma z tym trudności. Odpowiedzi były obliczone na to, że pytający roześmieje się, co da okazję do zmiany tematu.

Dominic spieszył się i odstawił kubek.

- Przepraszam. Jaka pani ma propozycję?

- Propozycję? - powtórzyła bezmyślnie.

Nie rozumiała, o co chodzi. Dopiero po chwili zorientowała się, że tym razem Dominic zmienił temat, wybawiając ją z kłopotu. Nie czekał na odpowiedź na krępujące pytanie. Zdała sobie sprawę, że problemy, których nie rozwiązała, przeszkadzają wykorzystać okazję, by jemu pomóc otworzyć się, opowiedzieć o tragedii sprzed lat. Straciła dobry moment. Zawiodła sąsiada przy pierwszej okazji.

A może nie jest za późno i uda się znaleźć właściwe słowa?

- Pani jest tu specjalistką. - Dominic zdecydowanie wrócił do spraw ogrodniczych. - Jaka jest pani fachowa opinia? Co pani proponuje?

Kay opanowała się i postanowiła, że znajdzie sposób,



by naprawić szkodę. Na razie musi skupić się na jednej sprawie.

- Hm, no tak. Dziś rano dokładnie to obejrzałam i niestety doszłam do wniosku, że jest nie do uratowania.

- Co? Altana?

- Nie, klematis. A właściwie jedno i drugie.

Gdy zapadło milczenie, Kay zrozumiała, że znowu niechcący dotknęła otwartej rany. Dlaczego jest bezmyślna i niedelikatna?

- Jeśli pan sobie życzy, na razie tylko ostrożnie przystępnę. Powojnik się nie obrazi.

- Żona na to liczyła.

- A co zamierzała zrobić z altaną? I co pan proponuje?

Wolała pozostawić decyzję panu domu i ogrodu. On

musi decydować o większych zmianach, a jej obowiązkiem jest podporządkować się.

Dominic długo się zastanawiał.

- Nie pamiętam - rzekł wreszcie. - Chyba trzeba wymienić jedno i drugie. Niech będzie nowa altana i nowa roślina. Wybierzemy coś oryginalnego.

My? Jacy my?

Kay czekała z zapartym tchem. Nieoczekiwany zaimek w liczbie mnogiej spowodował, że jej serce wykonało kilka niebezpiecznych piruetów. Czyżby oszalało?

- Dobrze. Ja... - Chrząknęła zakłopotana i złożyła szkic, byle nie patrzeć na Dominica. - Jeśli pan sobie życzy, postaram się o katalogi firm z najbliższej okolicy.

- Czy daje mi pani do zrozumienia, że we wsi nie uda się znaleźć mężczyzny, który ma trochę wolnego czasu i potrafi sklecić altanę?

Gdy Kay zerknęła na niego, dostrzegła przewrotny błysk w oku i drgnięcie ust. Czyżby kpił?

- A czy pan daje mi do zrozumienia, że to musi być męczyzna? - spytała, z trudem zachowując powagę. - Niedługo będę kosić trawnik u pana Hilliarda, więc przy okazji zapytam, czy łaskawie odstąpi panu jeden ze swych nagrodzonych projektów. A jeśli przyjdzie pan na biesiadę, zapyta go osobiście.

- Jaki Hilliard?

Kay pomyślała, że skoro Dominic udaje, że nie zna sławnego architekta, ona także może udawać, ile dusza zapragnie.

- Ten, który mieszka w Old Rectory. Naprzeciwko pana. Za błoniem.

- Jest architektem?

- Podobno.

- A projektuje wiejską zabudowę?

- Nie sędzę. Ale na pewno dla pana wymyśli oryginalną budowlę ze szkła i stali. - Udała, że nie widzi zdumienia na twarzy Dominica. - Oczywiście żartuję.

- Ja też żartowałem.

- Nie, pan drwił, a to zasadnicza różnica. Zdaję sobie sprawę, że człowiekowi bywałem w świecie Upper Haughton wydaje się dziurą zabitą deskami.

- O deski coraz trudniej... Przepraszam. Wcale nie drwiłem. Jest wręcz przeciwnie. Zamieszkaliśmy tu, bo zdawało nam się, że w takiej pięknej wiosce ludzie nie są wobec siebie obojętni, na przykład zawsze znajdzie się ktoś, kto zna człowieka, który potrafi zrobić to, czego akurat potrzeba. Tutaj podarowanie sąsiadowi domowego dżemu jest gestem najnaturalniejszym w świecie.

- Przyznaję się bez bicia, że z dżemem to była autoreklama. Owszem, jesteśmy życzliwie nastawieni do bliźnich, ale uprzedzam, że również małostkowi. Lubimy

plotkować i człowieka, który nastąpi nam na odcisk, potrafimy tak obgadać, że nie zostanie na nim ani pół suchej nitki.

- Proszę nie niszczyć moich złudzeń.

- Nic nie niszczę, tylko mówię szczerą prawdę.

- Będę wdzięczny - rzekł Dominic po dłuższej chwili

- jeśli zechce pani zastanowić się nad odpowiednią odmianą powojnika.

Wzruszona tym, że zamierza powierzyć jej tak ważne zadanie, chwyciła go za rękę.

- Bardzo dziękuję.

Dominic wymownie spojrzał na dłonie.

Kay pośpiesznie cofnęła się i chrząknęła zakłopotana.

To zrozumiałe, że właśnie ją poprosił.

- Dobrze. Przejrzę katalogi i zaznaczę kilka stosownych odmian. Klematisy są kapryśne i każdy ogrodnik wie, że drastyczne przycięcie rośliny może okazać się śmiertelne. Pana żona nie zaznaczyła nic na szkicu, ale chyba zastanawiała się nad powojnikiem. Prawdopodobnie coś zanotowała. Mogę wziąć wszystkie notesy do domu? - Chciała jak najprędzej opuścić ciasne pomieszczenie i swobodniej odetchnąć. - Czy może woli pan sam je przejrzeć?

Dominic zwlekał z odpowiedzią. Wprawdzie nie zapomniał o żonie w zaświatach<sup>^</sup> ale w danej chwili jego myśli biegły bardziej ziemskim torem.

- Nie. Pani skorzysta z nich bardziej niż ja. Ale niech pani notuje, ile czasu im poświęci.

Kay poczuła się, jakby wylał na nią kubeł zimnej wody.

- Spokojna głowa<sup>1</sup> o mój czas. Prawnik poinstruował mnie, jak się cenić i ile brać za każdą minutę, każdy telefon i list.

Zabolało ją to, że Dominic co rusz przypomina o pieniądzach, jakby tylko one się liczyły. Wprawdzie kontakty były służbowe, a nie dobrosąsiedzkie, ale mimo to...

- Stać panią na porady człowieka, który za minutę bierze tyle, ile pani za godzinę? - spytał Dominic drwiąco.

- Rozliczamy się według panujących tu zwyczajów, według naszego wiejskiego cennika. - Kay rozciągnęła usta w wymuszonym uśmiechu. - Prawnik poświęcił mi pół godziny swego cennego czasu, a ja za to skoszę trawnik u jego matki.

- Ile razy?

- Tyle, ile ona zechce. Zresztą robię to tak czy owak, więc czas jej syna jest dla mnie bezpłatny. Niech się pan nie martwi na zapas. W ogrodnictwie panują inne zasady i ja nie wyceniam każdej minuty. - Aby nie patrzeć na Dominica, spojrzała na zeszyty. - Dla mnie czytanie jest przyjemnością, a nie pracą.

- To okaże się za miesiąc, gdy dostanę rachunki. Proszę. Oddaję umowę podpisaną zgodnie z poleceniem.

Wyciągnął z kieszeni złożony dokument i podał Kay. Po kilku burzliwych minutach wśród niebezpiecznych raf znowu wypłynęli na spokojne wody.

Sytuacja rozwijała się pomyślnie, ale Kay musiała w samotności ustalić, gdzie się znajduje. Dominic zaufał jej nie tylko w sprawie ogrodu. Wzięła notesy, wyminęła pana domu i skierowała się ku drzwiom.

- Do zobaczenia po południu. Oczywiście, jeśli pan będzie w domu.

Wsunęła stopy w buty i rozejrzała się. Musiała zawiązać sznurowadła, więc chciała odłożyć notatniki.

Dominic odebrał je, zanim wypadły jej z rąk. Przy tym niechcący musnął piersi, a Kay prędko pochyliła się i po-

woli zawiązała sznurowadła. Łudziła się, że przez ten czas rumieniec zniknie.

Wreszcie wyprostowała się.

- Na dzisiejsze popołudnie nie mam żadnych planów i nigdzie nie wychodzę - rzekł Dominic.

- Świetnie. - Umknęła wzrokiem. - Wobec tego przyjdę z panią Fuller, która powie panu, od czego należy zacząć porządki.

Dominic mruknął coś niewyraźnie, ale Kay nie poprosiła, by powtórzył.

Do domu wracała jak we śnie. Ktoś ją zagadnął, coś odpowiedziała, lecz nie skojarzyła, kto to był i o czym rozmawiali. Oprzytomniała dopiero przy swojej furcie.

Jak to możliwe, że po tym, jak się całowała z Dominikiem, poczuła się na tyle bezpiecznie, że postanowiła podjąć pracę u niego? Teraz zaś, po przelotnym dotyku, miała wrażenie, że każdy krok w stronę sąsiedniego ogrodu będzie bardzo ryzykownym krokiem w życiu.

Wciąż czuła mrowienie w palcach. Zaciśnęła pięść, aby w zarodku zdusić niepokojące łaskotanie. Należało zatrzymać je, by nie rozeszło się po całym ciele. Mrowienie może spowodować spustoszenie w zamkniętej przestrzeni. Największe w sercu.

Amy ostrzegła ją, że sytuacja grozi wybuchem, a potem zamilkła, co było wymowniejsze niż rozsądne rady.

Kay zastanawiała się, czy w innych warunkach posłuchałaby przyjaciółki. Nie... A może tak... Nie, jednak nie, ponieważ w głosie Amy brzmiało zbyt dużo wątpliwości. A jeśli to był tylko strach, żeby jej nie urazić? Czy Amy miała prawo mówić, że najbardziej ucierpi Polly?

Kay postanowiła, że będzie ostrożniejsza w kontaktach

z sąsiadem. Żadnych dotyków, żadnych uścisków dłoni. Nawet nie wolno myśleć o podobnych rzeczach. A już szczególnie o takich, które budzą mrówki.

Trzeba pamiętać o interesach. Zlecenie od Dominica pomoże rozbudować firmę, umożliwi wejście na szerszy rynek. Kay zdecydowała, że będzie sobą, czyli jedynie dobrą sąsiadką. To powinno wystarczyć.

Przystanęła zdumiona, gdy pod ławką na ganku zobaczyła koszyk.

Odłożyła notesy i wyciągnęła go. Na wierzchu leżała koperta zaadresowana charakterystycznym pismem. Aha, wiadomo, kto to zostawił. Koszyk pochodził z firmy Amaryllis Jones i zawierał specyfiki do aromaterapii produkowane przez firmę Amy i sprzedawane w jej sklepach. Przed wyjazdem do Londynu Amy znalazła czas, żeby wstąpić i pogodzić się z przyjaciółką.

Kay rozłożyła kartkę i głośno przeczytała:

- Kochana, na pewno coś ci się przyda. Całuję. Amy.  
Ciekawe, co i do czego się przyda.

Zajrzała do koszyka. Tym razem nie było drobiazgów, jakie zwykle otrzymywała. Zamiast kremów i mydeł dostała olejki. Wyjęła pierwszy flakonik. Bergamota. Jak wszystkie olejki cytrusowe ten poprawia nastrój, łagodzi stany depresyjne. Tyle Kay wiedziała. W drugim flakoniku był olejek różany, który przynosi ulgę osobom wyczerpanym psychicznie. Amy sprawdziła jego działanie na sobie i na Kay.

Skuteczny specyfik.

Kochana, mądra Amy. To bardzo przydatny prezent, a jednocześnie subtelne przypomnienie, że jeśli ktoś zamierza pomóc bliźniemu, musi swoje uczucia trzymać na wodzy.

Jak wykorzystać olejki, żeby pomóc Dominicowi? Pro-

pozycja masażu zabrzmiałaby dwuznacznie i na pewno zostałaby odrzucona. Zresztą Kay nikogo nie masowała, nie miała pojęcia, jak to się robi. Wyobraziła sobie jednak, że delikatnie przesuwa dłonie od ramion coraz niżej...

Mrówki rozbiegły się za daleko, więc trzeba odwrócić tok myśli i przerwać łaskotanie.

Trzeba znaleźć subtelne podejście.

Należy poważnie zastanowić się, jak postępować.

Ponownie zajrzała do koszyka. Lawenda i majeranek. Te zioła pomagają na wszystko. Amy kiedyś podarowała jej książkę o olejkach, ponieważ miała nadzieję, że zmieni zamiłowania przyjaciółki. Proponowała, że zaangażuje ją w swej firmie, lecz Kay odrzuciła takie rozwiązanie, bo podświadomie czuła, że musi być niezależna.

Książkę przeczytała od deski do deski, ale bez większego zainteresowania. W pamięci kołatała się jakaś ciekawostka o majeranku, związana ze starożytnymi Egipcjanami.

Dopiero godzinę później Kay doznała olśnienia. Przypomniało się jej, że Egipcjanie używali majeranku jako środka łagodzącego rozpacz po śmierci bliskiej osoby.

W powietrzu unosił się specyficzny zapach jesieni. Dominie obudził się wcześniej, więc widział szron, który potem zniknął w promieniach słońca. Szron stanowił wyraźny znak, że rok zmierza ku końcowi.

Dominicowi zima nie przeszkadzała, nie wywoływała niepokoju. Tylko wiosna, gdy przyroda budzi się do życia, boleśnie raniła serce.

Po śniadaniu obejrzał altanę i przyznał Kay rację. Z daleka, lub jeśli nie przyglądać się zbyt dokładnie, zniszczenia wyglądały malowniczo, lecz im bliżej, tym gorzej. Widok był przygnębiający. Powojnik wcisnął się wszę-

dzie, gdzie mógł, potworzyły się szpary, deszcz przedostał się do środka. Wnętrze było nie do uratowania. Wyściełane krzesła i kanapa były pokryte zieloną pleśnią.

Dominic pomyślał, że gdyby pozostał w Upper Haughton, nie dopuściłby do takiego zniszczenia, a teraz za późno na ratunek. Obszedł altanę jeszcze raz. Rzeczywiście, im prędzej staruszka zostanie zlikwidowana, tym lepiej.

Kay zapewne znajdzie ludzi, którzy rozbiorą altanę, wywiozą deski i meble. Jeśli tak dalej pójdzie, połowa wsi znajdzie zatrudnienie przy przywracaniu ogrodu do dawnej świetności.

Dominic usłyszał skrzypienie furtki, więc zdziwiony spojrzał na zegarek. Było zbyt wcześnie na przyjęcie ogrodniczki. Pomyślał, że zasuwa nie stanowi wystarczającego zabezpieczenia przed złodziejem, w dodatku przez prawie cały dzień będzie odsunięta.

To nie był złodziej.

Dominic usłyszał znajomy głos i serce zaczęło mu bić mocniej. Wyszedł zza altany i zobaczył, że Kay nie jest sama.

- O, pani znowu tutaj - rzekł nieuprzejmie.

Kay speszyła się i zarumieniła. Dominic też był zażenowany, ale zadowolony, że on się nie zaczerwienił.

- Nazwa Daisy pasuje do pani firmy jak ulał.

Kay nachmurzyła się.

- Czemu?

- Pani stara się rozprawić ze stokrotkami, ale one uparcie wyłazą.

Kay spojrzała na zegarek - a raczej na miejsce po zegarku - i wzruszyła ramionami.

- Przyszłam trochę wcześniej. Nie zamierzałam panu przeszkadzać, ale...

- Doprawdy?



Przeszkodziła mu zaraz pierwszego wieczoru i odtąd stale to robiła, tak lub inaczej.

- Niektóre sprawy nie mogą czekać.

Spojrzała na Dominica chłodno, co było łatwiejsze do zniesienia niż jej rumieńce.

- Jeśli mam być szczerą, sądziłam, że pan będzie zajęty i mnie nie zauważy. Będzie pan robił to, co trzeba.

Powiedziała to takim tonem, jakby była przekonana, że nie wykonał żadnej pracy.

- Już zacząłem działać.

Wyrzucił stare czasopisma, których nie czytaliby nawet pacjenci dentysty. Zajęcie chwilowo oderwało myśli od najważniejszego zadania, którego unikał jak ognia.

- To się panu chwali.

- Teraz mam przerwę i chciałem odetchnąć świeżym powietrzem.

- W altanie? - zdziwiła się Kay. - Przecież tam powietrze jest zatęchłe.

- Już jestem na świeżym.

- Pani Fuller przyjdzie po trzeciej, sprzątnie dom i zaraz będzie pachniał świeżością. Pan ma tylko być uprzejmy i nie przeszkadzać.

Dominic nie obiecał, że będzie „uprzejmy”. Zaintrygowany spojrzał na duży kosz.

- Co tam jest?

- Zioła. - Wskazała dziesięć małych doniczek. - Tu jest macierzanka. A tutaj... - Złamała łodygę innej rośliny. - To majeranek.

Roztarta listki na dłoni i podsunęła do powąchania. Zapach był przyjemny, ale uwagę Dominica przykuły ślady po zadrażnieniu kolcami. Nie była to wydelikaccona dłoń, lecz mocna ręka osoby pracującej fizycznie.

Oszukiwał się, wmawiając sobie, że angażuje Kay, ponieważ jest właściwą osobą do wykonania pracy, o jaką mu chodzi. Obiecał jej, że nie będzie się narzucał. Jak zareagowałyby, gdyby ją przytulił i pocałował?

- Za intensywnie pachnie - rzekł z grymasem.

- Tylko z bliska. - Kay przesyłała listki na jego dłoń i uśmiechnęła się. - Za sadzonki nie policzę, bo sama je wyhodowałam i mam za dużo. Podpadają pod kategorię sąsiedzkiej życzliwości.

- Ogród żony nie był zielnikiem. A teraz będzie?

- Z notatek wynika, że gdzieś powinno rosnąć dużo majeranku. Tylko pytanie, gdzie?

- Nie mam pojęcia. Ona rządziła w domu i ogrodzie, a ja pracowałem zawodowo, żeby zarobić na te jej rządy.

Kay liczyła, że jeszcze coś cennego usłyszy, lecz nie doczekała się.

- Macierzankę dobrze jest sadzić między płytkami na tarasie. Potrącona stopą ładnie pachnie. Oczywiście najpierw trzeba usunąć zielsko.

Dominic chętnie powąchałby macierzankę, ale Kay tego nie zaproponowała.

- Zdaje mi się, że jest mnóstwo do zrobienia przed sadzeniem nowych roślin.

- Nigdy nie jest za wcześnie na planowanie. Gdy praca jest ciężka... a tu będzie harówka... dobrze mieć coś lżejszego na gorszy dzień. Czy panowie się znają?

Odwróciła się, by wreszcie przedstawić swego towarzysza. Bardzo zgrabnie zmieniła temat. To niepokojące. Czy coś knuje? Co to może być?

- Tak. - Dominic wyciągnął rękę na powitanie. - Przypominam sobie pana. Z góry dziękuję za pomoc. Od razu dzisiaj będzie pan kosił?

- Tak. Straszny tu gąszcz, więc lepiej zabrać się do dzieła, gdy pogoda sprzyja.

- A zanosi się na deszcz? - Dominic spojrział na niebo. Jim Bates na próbę machnął kosą.

- Podobno. Zawsze pilnie słucham prognozy pogody, a wczoraj powiedzieli, że front przesuwa się na zachód. No, idę do roboty.

Dominic odwrócił się ku Kay. Popęłił duży błąd, że na nią spojrział. Zareagowało ciało. I pojaśniało mu w duszy.

- Pani Lovell... - Miał nadzieję, że zwracając się oficjalnie, zapanuje nad niewskazanim podnieceniem. - Zastanawiałem się, czy któryś z pani licznych znajomych podejmie się rozbiórki altany.

Kay popatrzyła na niego jakoś dziwnie.

- Oczywiście płeć pomocnika jest obojętna - dodał Dominic pośpiesznie.

Szare oczy rozświeciły się i błysnęły w nich bursztynowe punkciki. A może złote?

Kay nie odpowiedziała, lecz wolnym krokiem obeszła altanę, opukując stare deski.

- Tym razem płeć nie jest obojętna. Tutaj potrzebne są silne mięśnie.

Dominic był zadowolony, że feministka skapitulowała.

- Czyli zadanie tylko dla mężczyzny, prawda?

Kay uśmiechnęła się tajemniczo.

- Znam odpowiedniego mężczyznę. Proszę zaczekać, zaraz wracam.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Pani Lovell...

Zniknęła za wysokim żywopłotem oddzielającym ogród warzywny od tego z kwiatami.

Dominic nie zdążył powiedzieć, że nie ma pośpiechu. Sądził, że pobiegła po wiejskiego osiłka, który ma nadmiar energii i musi jej trochę upuścić. Lepiej, żeby siłacz wyładował energię, robiąc coś pożytecznego.

Lecz nie o to chodziło, ponieważ Kay szybko wróciła. Miała pajęczynę we włosach, ciemną smugę na policzku i dźwigała ciężki młot kowalski.

Dominic domyślił się, o czyich mięśniach mówiła i kto ma zająć się rozbiórką altany.

Kay rzuciła młot na ziemię styliskiem w stronę Dominica, który pożałował, że nie został w domu. Za późno na żal! Czy Kay nie rozumie, że zlikwidowanie altany pełnej drogich wspomnień będzie bolesne? Nie powinna oczekiwać, że on dokona dzieła zniszczenia.

Kay milczała i cierpliwie czekała na jego reakcję.

Czyli tę gadułę stać na milczenie!

Dominic pożałował również, że wrócił do kraju.

Z dala od Upper Haughton jedynie fizyczne niewygody przypominały mu, że jest żywy. Przemierzając zdezelowaną ciężarówką pustynię, cierpiał z powodu gorąca, much, piasku. Na mokradłach dokuczały mu moskity. Lecz tam

nikt nie zmuszał go do tego, żeby spojrzeć prawdzie w oczy i przyznał, że życie się nie skończyło.

Przynajmniej jego życie. I to pomimo celowego szukania niebezpieczeństwa.

Kay zachowywała się, jakby była zdecydowana nie tylko przypomnieć mu o normalnym życiu, ale zmusić, by się z niego nie wycofywał.

- Wie pani o tym, że posunęła się za daleko, prawda?

- Uniósł młot, jakby był narzędziem zbrodni.

Kay obrzuciła go baczny spojrzeniem.

- Pańska koszula na pewno sporo kosztowała, więc radzę przebrać się w mniej elegancką, ale praktyczną. No, zabierajmy się do roboty. - Z przyzwyczajenia zerknęła na nadgarstek. - Muszę dać zegarek do naprawy albo kupić sobie nowy. - Odeszła dwa kroki, potem się odwróciła.

- Proszę uważać na koszyk. Wprawdzie stary, ale bardzo go lubię. Taras jest nasłoneczniony, więc rośliny będą zadowolone.

- Przypominam łaskawej pani, że podpisaliśmy umowę i zgodnie z zamieszczonymi tam warunkami do pani obowiązków należą wszelkie prace w ogrodzie. Niech pani sama pilnuje zielska, które przyniosła. Było nie było, za coś pani płacę.

Kay drgnęła, jakby ją uderzył.

Widział, że sprawił jej przykrość, lecz nie miał wyrzutów. Był zły na nią za to, że miała rację, a na siebie za to, że nie panował nad sytuacją. Cisnął młot na ziemię.

- Niech pani robi swoje zgodnie z umową - warknął.

Kay poczuła słabość w nogach, więc oparła się o balustradę wokół werandy. Od początku wiedziała, że kontakty z Dominikiem Ravenscarem będą trudne.

Nie miała zdolności aktorskich, lecz starannie obmyśloną scenę z majerankiem kilkakrotnie odegrała w kuchni. Ćwiczyła tak długo, aż zerwanie kilku listków, roztarcie ich i podsunięcie do powąchania odbywało się zupełnie naturalnie. I odbyło się.

Oczywiście, gdy odgrywała tę scenę przed kotem, ręka nie drżała, a Mog nie mrużył podejrzliwie oczu. Natomiast Dominic patrzył przez wąziutkie szparki, jakby wietrzył podstęp. Był bardzo nieufny.

Nieważne. Ważne, że zapach majeranku na pewien czas przylgnał do jego skóry. Była bardzo zadowolona, że osiągnęła cel, i przekonana, że starożytni Egipcjanie wiedzieli, co robią.

Podniosła młot i położyła na werandzie, aby nie przeszkadzał kosiarzowi.

Uświadomiła sobie, że Dominic nie zniszczy altany, z którą na pewno wiąże się wiele wspomnień. I trudno mu będzie zlecić to zadanie komuś innemu.

Nie ma pośpiechu, można poczekać.

Gniew bywa dobrym, zdrowym objawem. Zmienił wyraz oczu Dominica. Zwykle były ciemnoszare, a teraz na moment rozpały się żywym ogniem.

To przykre, że tak ostro przypomniał jej o umowie. No cóż, życie to nie romans ani baśń tęczowa. Czas przestać naprawiać świat i ludzi, trzeba zająć się zarabianiem na chleb.

Dominic zamknął oszklone drzwi i oparł się o nie, jakby pragnął w ten sposób uniemożliwić Kay wejście do domu. Stał tam tak długo, aż puls się uspokoił i oddech wyrównał. Chcąc pozbyć się wizerunku denerwującej ogrodniczki, przeciągnął dłonią po twarzy.

Popełnił błąd, gdyż poczuł zapach rośliny, którą mu podała i którą bezmyślnie wziął.

Typowo kobieca sztuczka!

Chciał uwolnić się od tej kobiety, trzymać z dala od niej. Celowo rozzłościła go, a gniew był niepożądany. Dominie wierzył, że najlepszy sposób przetrwania polega na tłumieniu niekontrolowanych reakcji emocjonalnych.

Usłyszał szmer za plecami, więc się obejrzał.

Irytująca ogrodniczka była na tarasie i, stojąc na drabini, przycinała zdziczałe róże. Gdy podniosła rękę, pod krótką bluzką ukazała się złocista skóra.

Dominic gwałtownie się odwrócił. Kay denerwowała go, a co gorsza, budziła uczucia, które przed laty ukrył tak głęboko, że prawie o nich zapomniał.

Minęły dwa tygodnie od przykrego incydentu. Przez ten czas Dominic nie zrobił nic w sprawie rozbiórki altany.

Kay wreszcie postanowiła przypomnieć mu, że nie można ignorować problemu w złudnej nadziei, że sam się rozwiąże. Zabrała z domu kilka broszur, aby ukradkiem podrzucić pracodawcy. Liczyła na to, że sprowokuje pożądaną reakcję. Chciała, żeby Dominic przyszedł do ogrodu omówić projekty altan, które zakreśliła.

Podstęp nie udał się. Zdążyła zejść z chodnika, gdy drzwi otworzyły się.

- Czemu dziś rano nie było pani w sklepie?

Kay odwróciła się powoli, co jednak niewiele pomogło. Głos Dominica poruszył najczulsze struny w duszy, a gdy ujrzała chudą postać, serce przestało bić. Dobrze, że wcześniej zaczerpnęła dużo powietrza, dzięki czemu nie zemdląła. Udała zdziwienie.

- Słucham?

Głos jej leciutko zadrżał.

- Jest piątek.

- O ile mi wiadomo, to kolejny dzień po czwartku. Co tydzień, przez cały okrągły rok.

- W piątki rzekomo pracuje pani w sklepie. A rano pani nie było.

Kay zdziwiła się, że pamięta o dyżurach i zauważyła jej nieobecność. Kilkakrotnie wstąpił do sklepu, gdy obsługiwała stoisko pocztowe, lecz nie przyszedł po znaczki, nawet nie spojrzał w jej stronę.

- Nadal mnie tam nie ma - rzekła poważnie. - Musiałam skrócić godziny pracy. Jeśli pan chciał koniecznie coś omówić, mógł zajść do mnie.

Lub odezwać się, gdy widział ją wieczorem w pubie podczas konkursu zgaduj-zgaduli. O dziwo wstąpił do The Feathers i kupił Jimowi Batesowi piwo. Jego obecność tak zdumiała Kay, że nie usłyszała dwóch pytań. Amy na szczęście nie zauważyła Dominica i bez komentarza powtórzyła pytania. Kay pilnie zajęła się odpowiedziami, a gdy znowu się rozejrzała, sąsiada już nie było.

Miał też okazję zagadnąć ją, gdy pracowała w ogrodzie, lecz się nie pokazał. Kay przypuszczała, że porządkuje sprawy przeszłe i układa plany na przyszłość, lecz brakowało na to dowodów.

Na przykład w dniu, w którym wywożono śmieci, przed Linden Lodge nie było żadnych worków.

- Jak idą interesy? - zapytał Dominic.

- Nieźle. Głównie dzięki panu. Proszę wybaczyć, ale nie mam czasu na pogawędkę. Jadę do banku. - Machnęła ręką w stronę wozu. - Jeśli mam wywierać na klientach dobre wrażenie, muszę jeździć lepszym środkiem lokomocji. - Liczyła na to, że nowa umowa pomoże uzyskać



pożyczkę. - Niech pan przejrzy broszury, które wrzuciłam. Altan jest do wyboru, do koloru. Jeśli będzie potrzebna moja rada przy wyborze, służę dziś po południu.

Ruszyła w stronę swej wiekowej półciężarówki.

- Chwileczkę! - zawołał Dominic. - Ja też jadę do miasta, więc jest okazja, żeby od razu porozmawiać. Pojedziemy moim samochodem.

- Ale...

- Nie ma żadnego „ale”.

- Ja... naprawdę...

Drgnęła, gdy wziął ją pod rękę i lekko popchnął w stronę garażu. Jego dłoń parzyła skórę nawet przez wełnianą marynarkę i jedwabną bluzkę.

- Zaraz, zaraz. - Popatrzyła na swój samochód jak na bezpieczne schronienie. - Zostawiłam kluczyki w stacyjce.

- Może dopisze pani szczęście i ktoś zaopiekuje się cennym wehikułem. - Dominic otworzył drzwi swego eleganckiego wozu i pomógł Kay wsiąść. - Ale chyba nie warto się łudzić.

- Nie chcę stracić staruszka, bo go uwielbiam - oświadczyła Kay, ale na widok sceptycznej miny sąsiada zreflektowała się. - No, przyznaję, że to przesadzone określenie. - W duchu dodała, że w zimowe poranki, gdy grat nie chciał ruszyć, przeklinała go, zamiast uwielbiać. - Wiernie mi służy. W banku i tak będę miała trudności, więc nie przyznam się, że potrzebne mi są dwa nowe samochody. Oczywiście nowe z drugiej ręki. Antyk jest w lepszej formie, niż wygląda. Przed miesiącem dobrze wypadł na przeglądzie.

- Dwa samochody?

W wartkim potoku słów Kay Dominic zawsze wyląwiał najważniejsze.

- Wayne zgodził się do października zastępować mnie przy koszeniu, na które już podpisałam umowy.

- Kto to taki?

- Syn sąsiadów.

- Wykwalifikowany ogrodnik?

- W ubiegłym roku pracował trochę w ogrodnictwie, gdy był pod kuratelą...

- Co zmalował?

- Nic strasznego. - Sama miała na sumieniu gorsze wykroczenia. - Jeśli dobrze się spisze, namówię go, żeby poszedł na kurs, zdobył kwalifikacje.

- A jeśli się nie spisze?

- Przynajmniej przez kilka tygodni nie będzie włóczył się bez celu. I matka trochę od niego odpocznie.

- Lubi pani niebezpieczeństwo?

- Wayne nie jest niebezpieczny. Nawet nie jest zły. Według niej chłopiec potrzebował kogoś, kto wyciągnie pomocną dłoń, rozbudzi konkretne zainteresowania.

Spojrzała na Dominica i natychmiast pożałowała. Patrzenie bywa niebezpieczne. Przez dwa tygodnie starała się jak najmniej myśleć o przystojnym sąsiedzie.

Teraz, zamknięta wraz z nim w ciasnej przestrzeni, czuła podniecenie. Niebezpieczne. Zbyt długo trzymane pod ścisłą kontrolą, za szybko nabierało mocy. Teraz wszystkie myśli krążyły wokół Dominica. Wspominała uczucia, gdy go całowała, zobaczyła półnagiego, dotknęła jego dłoni.

Ogarnęło ją pożądanie, niemające prawa bytu. Odwróciła głowę, aby nie zdradzić się wyrazem twarzy.

- Wayne to naprawdę dobry chłopiec - powiedziała, z trudem skupiając się na obojętnym temacie. - Ale potrzebuje zrozumienia i wsparcia.

Dominic zapiął pas i wyjechał na ulicę.

- Takiego, jak Hallamowie udzielili pani?

Kay zamarła. Co słyszał? Kto i co powiedział mu o niej? Za późno, żeby wysiąść.

- Nie wiedziałam, że interesują pana plotki.

- Nie interesują, ale ludzie lubią opowiadać.

- Pani Fuller?

- A propos, nie podziękowałem pani za to, że ją do mnie przysłała.

Nie potwierdził ani nie zaprzeczył, że polecona sprzątaczką jest źródłem zasłyszanych plotek. Zresztą nieważne. Nie miała tajemnic. Mieszkańcy Upper Haughton znali jej historię. Wiedzieli prawie wszystko. A dobra, życzliwa Dorothy Fuller...

- Jest świetna.

- Dobrze, że się zgodziła, bo rzadko pracuje.

- Ma przedziwne upodobanie do aromatycznych mieszanek ziołowych.

Niech to kopytnik kopnie! Dominic jest bardzo spozostzegawczy. Czy domyślił się, co ma sprawić bergamoto-wa mieszanka?

- Chyba ze względu na mole - powiedziała pośpiesznie. - Żeby się ich pozbyć, a nie zwabić. Mam nadzieję, że pan nie wyrzucił ziół, bo bardzo by ją obraził.

- Według moich rycerskich zasad mogę obrażać tylko jedną kobietę. Pani Fuller dokonała niezwykłego wyczynu i w krótkim czasie doprowadziła do porządku cały dom, który wygląda... i pachnie jak... jak powinien.

- To niezwykła kobieta - przyznała Kay. - Ledwo wejdzie do pokoju, kurz sam znika ze strachu przed nią.

- Teraz rozumiem, dlaczego sprzątanie robi się samo.

- Doszły mnie słuchy, że pańska praca nie posuwa się w zawrotnym tempie.

Rzuciła tę uwagę na chybił trafił.

- Co z tego?

- Ludzie będą gadać.

- Pani Fuller na pewno nie. Jest uosobieniem dyskrecji. Parę razy podpytywałem ją o ojca Polly, ale tylko opowiada mi o zgaduj-zgaduli. Wiem, że jej drużyna robi wszystko, by w tym roku też zająć pierwsze miejsce.

Kay nie wytrzymała i zerknęła na niego. Patrzył na drogę, więc nie widziała wyrazu oczu.

- Przyznaję, że nic nie słyszałam.

- Ciekawe, co pani zrobiłaby z rzeczami ukochanej osoby. Wrzuciłaby do torby i dała pierwszemu lepszemu, kto przyjdzie po stare rzeczy? Albo na wyprzedaż, żeby byle kto w nich przebierał, rzucił na podłogę, podeptał? - Przerwał, aby wyprzedzić ciężarówkę. - Czekam na odpowiedź. Powinna być łatwa dla mistrzyni zgaduj-zgaduli, która wczoraj pokonała wszystkich przeciwników.

Kay poczuła się okropnie. Namawia Dominica, żeby zrobił porządek z rzeczami żony, a przecież nie wie, co wdowiec czuje.

- Przepraszam za nietakt. Brak mi doświadczenia, ale wyobrażam sobie, że to zadanie jest trudne.

- Bardzo.

Zdawało się jej, że Dominic chce powiedzieć coś więcej o sobie. Czekwała z zapartym tchem.

- Do którego banku panią zawieźć?

Z trudem ukryła rozczarowanie, ale pomyślała, że musi być cierpliwa. Podała nazwę banku i powiedziała, jak dojechać ulicami jednokierunkowymi.

Stanęli przed niedużym budynkiem. Zanim Kay zdążyła odpiąć pas, Dominic otworzył drzwi z jej strony i wyciągnął rękę.

Była w rozterce, bo wiedziała, jak niepokojące są nawet najłżejsze dotknięcia.

Lecz wysiadanie z samochodu, w którym fotele znajdują się niemal na poziomie chodnika, nie jest łatwe. A szczególnie trudne dla elegantki w wąskiej spódnicy i butach na wysokich obcasach.

Dominic chwycił ją za rękę i jednym zręcznym ruchem wyciągnął z samochodu.

- Gdzie się potem spotkamy? - zapytał, nadal trzymając jej rękę w swojej.

Kay przełknęła ślinę. Była podniecona, więc w nieodpowiednim stanie umysłu do rozmowy o pożyczce. Powinna być opanowana, skupiona. Hm, właściwie jest skupiona, ale nie na tym, co trzeba. Najchętniej powiedziała by Dominicowi, żeby nie czekał, bo wróci autobusem. Rozmyśliła się jednak. Nie ze względu na siebie, lecz na niego. Może w powrotnej drodze otworzy się i powie coś o sobie.

Poza tym, jeśli nie pozwolił, aby jechała starą półciężarówką, nie zgodzi się też, by jechała starym autobusem.

- Za rogiem jest ładna kawiarnia...
- Pamiętam. Czy godzina wystarczy?
- Aż nadto. Potrafię zabawiać urzędników najwyżej przez dziesięć minut.
- Miejmy nadzieję, że on...
- To pewnie będzie ona.
- Więc oby ona wiedziała, jak dłużej rozmawiać z klientką. Inaczej będą panie w kłopotcie. Proszę się nie śpieszyć. Mam czas, poczekam.

Pocałował ją w policzek, a całe ciało jakby zostało rażone piorunem. Kay stała przygwożdżona do chodnika, ale Dominic chyba nie domyślił się burzy jej uczuć.

- Życzę powodzenia.

Chciała podziękować, lecz usta nie poruszyły się, z gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Poszła do banku.

Dominic nie mógł oderwać od niej oczu. Miała gładko zaczesane włosy, prosty czarny kostium i buty na bardzo wysokich obcasach. Wyglądała inaczej niż zwykle. W takim stroju kobieta sprawia wrażenie, jakby rządziła całym światem. Mężczyzna, który się nie pilnuje, może paść jej ofiarą.

Elegancka Kay była piękna, bardzo atrakcyjna.

Krytycznie ocenił tylko uczesanie; wołał, gdy miała lekko potargane włosy.

Jego ogrodniczka nie potrzebowała makijażu ani drogich perfum.

Dobrze wyglądała w rzeczach kupionych chyba na wyprzedaży. Podniecająco pachniała słońcem i świeżym powietrzem. To były powody, dla których rzadko pokazywał się w ogrodzie.

Nie mógł jednak się powstrzymać i chodził do sklepu, gdy Kay miała dyżur. Oczywiście nie przyznawał się przed sobą, jaki jest powód spaceru przez wieś. Nie musiał robić zakupów, bo pani Fuller uzupełniała zapasy w lodówce. Ona też powiedziała mu o zgaduj-zgaduli w The Feathers. Nie bardzo wiedział, dlaczego wybrał się do pubu. Tylko po to, żeby kosiarzowi postawić piwo? Niemożliwe.

Rano musiał wysłać listy polecane. Nie widział Kay ani w okienku pocztowym, ani w ogóle w sklepie. I wtedy skończył z oszukiwaniem siebie i przyznał sam przed sobą, że bez przerwy o niej myśli. Być może dlatego miał trudności z uporządkowaniem rzeczy po żonie.

Paraliżowało go silne poczucie winy.

Lecz poczucie winy zmalało, gdy posypały się broszu-

ry. Zajrzał do dwóch i domyślił się, kto je wrzuca. Otwierając drzwi, spodziewał się ujrzeć ogrodniczkę w znoszonych spodniach i spłowiałej bluzce, z niedbale związanymi włosami. Widząc Kay ubraną wizytowo, poczuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Dlatego skłamał, że jedzie do miasta.

W samochodzie wspominał żonę, a pragnął mówić o swojej ogrodnicze.

Nie zdążył wstać, bo Kay wbiegła do kawiarni, rzuciła skoroszyt na stolik i opadła na krzesło.

- Zmarnowałam pół dnia. Lepiej wykorzystałabym czas, jeszcze raz kopiąc ogród.

- Czego się pani napije?

Kay, patrząc na srebrzące się włosy i wychudzoną twarz, mówiła sobie, że nie wypada żartować.

- Poproszę jedną kawę z bitą śmietaną i dwie porcje czekoladowej śmierci. - Pomór na pomrowy! Czemu wybrała ciastko o takiej nazwie? - Niech mnie pan zastrzeli. Zrobi mi pan wielką łaskę, bo ukróci nieszczęsny żywot sieroty z niewyparzoną gębą.

- Wolę, żeby pani zjadła podwójną porcję śmietany i cztery czekoladowe ciastka. Śmierć nastąpi później, ale przedtem będzie przyjemniej.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. Niech pani nie stara się być rozsądna i nie wybiera zdrowego jedzenia na pocieszenie.

- Dlaczego?

- Bo nie warto. - Dominic uśmiechnął się. - Naprawdę zamówić podwójną porcję?

Kay roześmiała się. Zapomniała, że zmarnowała godzinę w towarzystwie kobiety, która nie miała ani krzty po-

czucia humoru, a nawet uważała, że w jej zawodzie humor jest niebezpieczny.

- Boi się pan, że dostanę mdłości i zanieczyszczę pański elegancki samochód?

- O wóz mniej szał. Nie chcę mieć pani tętnic na sumieniu.

- Nie będzie pan miał. Żartowałam. Nie mogę zjeść takiej porcji, bo pękną szwy w spódnicy. A jest pożyczona. Proszę tylko czarną kawę.

Po odejściu kelnerki Dominic rzekł:

- Domyślam się, że konferencja na szczycie nie przyniosła spodziewanego wyniku.

- Niestety. A tak się starałam. Niepotrzebnie pożyczylam od Amy kostium, który nosi na zebrania zarządu. Na tej... - Urwała, aby nie powiedzieć zabronionego słowa.

- Na urzędnicze nie zrobiłam żadnego wrażenia.

- Za to na mnie duże.

- Naprawdę? - Kay pomyślała, że komplement wynagradza zmarnowany czas. - Bardzo pan uprzejmy, ale tę... urzędniczkę niech...

- Zadusi powojnik.

- Hola, ja jestem od kiepskich żartów.

Dominic uniósł ręce w geście poddania.

- Przepraszam, chciałem pomóc, bo twierdziła pani, że próbuje się wyleczyć. Proszę powiedzieć, jak poszło.

- Przeklętej babie nie zaimponował plan, nad którym ślęczałam dzień i noc.

- Można go zobaczyć?

- Można, ale po co? - Wskazała skoroszyt. - Nie liczy się moje doświadczenie, umiejętności, fakt, że dostaję więcej zamówień, niż mogę zrealizować bez pracowników.

Urzędasa interesują tylko... dodatkowe gwarancje. Prędko zorientowałam się, o co chodzi. Nie mam własnego domu



ani żadnych nieruchomości, na których można położyć łapę, gdy „oczekiwania okażą się zbyt ambitne” - zacytowała. - Dlatego bank nie jest skłonny udzielić mi pożyczki.

- Zdecydowanie odmówiono?

- Tak prosto z mostu? A skąd! Babsztyl mówił, że musi się z kimś skonsultować i pisemną odpowiedź dostanę w odpowiednim czasie. Powiedziałam, żeby się nie fatygowała, bo już wyrządziłam naszej biednej planecie dość szkody, wypełniając idiotyczne formularze z banku i drukując swój plan. Nie chcę mieć na sumieniu setki drzew.

- Według pani urzędniczka jest mało życzliwa, ale to nie oznacza, że bank nie udzieli pożyczki. Może ona faktycznie musi zapytać zwierzchnika, bo tylko on podejmuje decyzje. Jeśli pracownicy banku są fachowcami z prawdziwego zdarzenia, na pewno docenią pani entuzjazm i zaangażowanie.

Kay jęknęła i uderzyła głową w stolik.

- Czyli zawaliłam sprawę, tak?

- Niestety, nauka kosztuje. Niech pani spróbuje szczęścia w innym banku.

- Po co? Sama jestem winna. Zwlekałam, trzymałam się bezpiecznej pracy w sklepie, zamiast rzucić się na głęboką wodę. Przyznam się panu, że nie mam bezgranicznej wiary w sukces przedsięwzięcia. Więc dlaczego oni mieliby mieć?

- Ale dąży pani do sukcesu. Na razie Wayne mógłby jeździć pani samochodem po południu, prawda? Czyli jest jakieś rozwiązanie na początek.

- Hm, może i tak. - Kay rozpogodziła się. - W czwartki rano też mogłabym dawać mu auto.

- W czwartki?

- Wtedy wypłacane są emerytury i przychodzi tłum ludzi. Nie radzą sobie beze mnie. - Zauważyła, że Dominie uśmiechnął się. Nie był to nieżyczliwy uśmiech, lecz rozumiała podtekst. - Och, nigdy nie będę właścicielką wielkiej firmy.

- A chciałyby pani być potentatem?

Kay przez chwilę zastanawiała się.

- Przyjemnie byłoby nie martwić się, że mam za mało pieniędzy. Ale bogacze martwią się, że mają za dużo, prawda?

- Podobno.

- Więc nie warto być żadnym z nich. Chcę tylko, żeby Polly miała wszystko, co trzeba.

- Słusznie. Niech pani o tym zawsze pamięta. Może uzyska pani pieniądze z funduszu, o jakim wspominał pani prawnik. Słyszałem o stypendiach dla młodych przedsiębiorców.

- Nie jestem młoda.

- Według mnie jest pani dostatecznie młoda, żeby zakwalifikować się do jakiejś dotacji.

- Zdaje się, że pan dużo wie na ten temat. Co pan robił przed wyjazdem w dalekie kraje?

- Byłem doradcą finansowym.

- Jak ta... - Kay ugryzła się w język. - Proszę zapamiętać, co mówiłam, nie pamiętać głupstw, jakie wygadywałam. Pomijając wszystko inne, gdyby pan był do niej podobny, nie kupiłby Linden Lodge.

- Hm.

- Proszę też zapamiętać, o co pytałam. To było niegrzeczne, wścibskie.

- Żadna tajemnica. Wystarczy znać moje nazwisko i poszperać w Internecie.

Kay pokręciła głową.

- To byłoby wtykanie nosa w cudze sprawy.

- Tak pani sądzi? Ale przecież ktoś musiał mnie sprawdzić, żeby wiedzieć, co robię. Założę się, że pani i tak coś o mnie wie, bo na poczcie na pewno plotkowano.

- Nie. - Kay oblała się rumieńcem. - No, trochę. Ludzie zastanawiają się, co pan zamierza robić. Zostanie tutaj czy sprzeda dom.

- Co pani im powiedziała?

- Że mam za dużo pracy w ogrodzie, żeby pana wypytywać o plany. Nawet gdyby pan dał mi szansę. Bardziej wrażliwa istota pomyślałaby, że pan unika spotkania.

- Nie chciałem, żeby pani myślała, że jest pod ścisłą kontrolą.

- Raczej nie chce pan, żebym znowu spróbowała zagonić pana do zlikwidowania altany.

- Czy pani zawsze mówi to, co myśli?

Niezwykła uprzejmość! Dominic zasugerował, że ona najpierw myśli, a potem mówi.

- W ten sposób unika się nieporozumień.

- Prawdomówność należy cenić. Dlatego zasługuje pani na oświecenie.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Słucham pańskiego wykładu.

Uważała, że to kolejny unik, ale skłamałaby, gdyby twierdziła, że nie interesuje jej to, co robił dotychczas.

Poza tym opowiadanie o sobie ma działanie terapeutyczne, prawda? Nawet bez kozetki i psychologa. Tyle że Dominic nie wygląda, jakby miał ochotę opowiadać swój życiorys lub zdradzać bolesne tajemnice.

- Już jako student pisałem programy komputerowe. Stale brakowało mi pieniędzy, chodziłem głodny, byłem po uszy w długach. Wie pani, jak to jest. - Pomyślał, że ona może nie wiedzieć i lekceważąco wzruszył ramionami. - Rodzice starali się pomagać, ale sami mieli mało, więc w zasadzie byłem na własnym utrzymaniu.

- Nie odpowiadało panu dorabianie w jakimś pubie albo supermarkecie?

- Próbowała pani dostać takie zajęcie w mieście uniwersyteckim?

- Jest dziesięciu kandydatów na jedno miejsce? - odparła pytaniem na pytanie.

- Tak. Wobec tego zapędziłem do roboty szare komórki. Udało mi się napisać dobry program, za który dostałem kilkaset funtów. Głód przestał zaglądać mi w oczy, więc byłem bardzo zadowolony. Ale potem dowiedziałem się, po jakiej cenie mój program jest sprzedawany, i uznałem,

że to rozbój w biały dzień. Za późno odkryłem, że podpisałem umowę, która nabywcy mojego dzieła dawała wszelkie prawa na całym świecie i do końca świata.

- Podły wyzysk.

- Nikt nie zmuszał mnie do przyjęcia takiej umowy. Podpisałem formularz właściwie bez czytania. Mogłem jedynie wysunąć zarzut, że nie poradzili mi, bym omówił sprawę z prawnikiem. Ale czemu mieliby postępować wbrew swoim interesom? Sam zawiniłem.

- To jednak była nieuczciwość.

- Tak, ale im boleśniejsza lekcja, tym prędzej człowiek się uczy. Na dłuższą metę okazało się, że cwaniacy wyświadczyli mi przysługę.

- W jaki sposób?

- Na pewno zna pani powiedzenie, że dać się oszukać raz to nie wstyd, ale dwa razy to hańba. Wkrótce przekonałem się, że nie jestem jedynym naiwnym, którego takie szczerwane lisy wykorzystują. Zmądrzałem, nie uśmiechało mi się ślęczenie nad programami, na których inni się dorabiają. Przerzuciłem się na doradztwo. Zacząłem studia jako golec, a ukończyłem jako właściciel niezłe prosperującej spółki.

- Postąpił pan w myśl zasady, że jeśli nie można cwaniaka przechytryć, to trzeba się do niego przyłączyć - ironicznie zauważyła Kay.

- Nie. Wyszedłem z założenia, że można tych zdzierców pokonać. Młody człowiek z głową na karku i dobrymi pomysłami powinien mieć kogoś, kto za niego pilnuje przepisów. Założyłem firmę mającą chronić nieświadomych, służyć im radą, pomagać w zdobywaniu funduszy na wprowadzenie pomysłów w życie, gdy chcą robić to samodzielnie, oraz bardzo dokładnie czytać umowy tych,

którzy chcą sprzedać swój pomysł i potem robić coś innego. - Uśmiechnął się krzywo. - Oczywiście byli już tacy, co pomagali, czyli prawnicy. Ale wiadomo, że są niedostępni dla młodych ludzi, bo stanowczo za wysoko się cenią. Moi geniusze mieli głowy pełne pomysłów, ale kieszenie puste. Wobec tego wraz z nimi podejmowałem ryzyko i umawiałem się, że zapłatą dla mnie będzie niewielki procent z ich przyszłych honorariów. Przez rok spałem na podłodze w moim „biurze”, ale nawet bardzo mały procent od milionów z czasem daje niezły zysk.

- Co stało się z firmą po...?

- Po śmierci żony, gdy wszystko mi zobojętniało? - dokończył Dominic. - Nadal funkcjonuje, ale moje zyski są przekazywane na cele charytatywne.

- Czyli nie wszystko panu zobojętniało, skoro z własnych pieniędzy finansuje pan wsparcie dla najuboższych. Nie powinnam narzekać, bo w porównaniu z tymi, którym pan pomaga, na pewno jestem dobrze sytuowana.

- Owszem. Zresztą pani nie narzeka. Jest tylko sfrustrowana, bo ma określone marzenia, ale nie widzi możliwości ich spełnienia. Myślę jednak, że pani się nie poddaje, nie rezygnuje.

- Tak. Proszę o tym pamiętać.

Delikatnie dała mu do zrozumienia, że nie pozwoli na uniki bez końca. Przypomniała sobie, że chciała ulżyć sąsiadowi, tymczasem sprawił, że to ona poczuła się lepiej.

- Wytrwałość jest zaletą.

- Też tak uważam.

- Pani zadanie jest niełatwe. Każdy z nas powinien pamiętać, że jego spełnione marzenia wpływają na los innych, na przykład takich jak Wayne. Ludzi potrzebują-

cych kogoś, kto w nich wierzy. Pani sukces przyniesie pożytek bliźnim.

- Nie przyniesie, bo się zbłąźniłam. - Wypiła resztę kawy. - Dziękuję, że wysłuchał pan moich jęków. Czas wracać do domu i zrobić coś pożytecznego.

Jak zwykle pomyślała o przerwaniu kompostu.

- Jest pani zbyt wymagająca wobec siebie. Proponuję, żebyśmy najpierw zjedli lunch.

- Tutaj?

- Tak. Dobra okazja, żeby zastanowić się nad strategią wiodącą do sukcesu.

Przeczytał menu i pytająco spojrział na Kay.

- Wszystko na pewno jest smakowite, ale nie mogę napchać się i zaraz potem schylać przy pracy w ogrodzie. A propos, jeśli zaraz nie wrócę, będę miała...

Źle! Należy pamiętać o cierpiącym bliźnim. Konwersacja podczas smacznego posiłku stanowi część terapii, o czym wiedziała z własnego doświadczenia.

- Co będzie pani miała?

- Przykrości. - Pochyliła się ku niemu z konspiracyjną miną i szepnęła: - Mój klient jest bezwzględny tyranem. Jeśli nie zjawię się punktualnie kwadrans po pierwszej, żeby harować przez dwie godziny, to on...

- Zrobi dziką awanturę?

Dominic prawie się uśmiechnął. Na razie tylko oczami.

- Nie wiadomo. On nawet ma parę plusów. Nie sterczy nade mną, żeby pilnować, czy wyrywam zielsko do ostataka. Nie marnuje mojego czasu, nie oczekuje, że będę wysłuchiwać jego biadolenia. Nie marudzi, że prawie nic nie robię za te grube pieniądze, które mi płaci.

- A czy pozwala pani coś zjeść lub wypić?

- Jaka kobieta interesu je i pije podczas pracy?

- Taka, która uzyskuje darmowe porady. Jeśli sumienie będzie bardzo gryzło, może pani nadrobić zaległości w sobotę. Proszę przyprowadzić Polly. Mała zerwie kwiaty na wianek, a pani powyrywa zielsko.

- To jest do zrobienia. - Kay rozpromieniła się. - Ale pod jednym warunkiem.

- Coś podobnego! Chcę zafundować pani lunch, wysiłam się, żeby ułatwić przyjęcie zaproszenia, nawet posuwam się tak daleko, że proponuję drobną zmianę w umowie, a pani jeszcze stawia warunki.

- Faktycznie to wprost oburzające. Wobec tego bezwarunkowo przyjmuję zaproszenie i zamawiam coś lekkostrawnego.

Łakomie spojrzała na bekon, sałatę i pomidory, które kelnerka niosła do sąsiedniego stolika. Potem spod rzes zerknęła na Dominica, który obserwował ją z nieukrywanym rozbawieniem.

- To według pani lekki posiłek?

- Proszę suchą bułkę.

- Przesada w drugą stronę. - Złożył zamówienie, a po odejściu kelnerki rzekł: - Teraz pani kolej.

- Kolej? - Była zła na siebie, że często powtarza jego ostatnie słowa. - Parowa czy elektryczna?

- Proszę mi powiedzieć o punkcie zwrotnym w pani życiu. Co stało się z ojcem Polly?

Zrozumiała, że nieświadomie szła wytyczoną ścieżką prowadzącą do zastawionych sideł.

- Czemu on pana interesuje?

- Nie on, tylko pani. - Dominic wziął ją za rękę i delikatnie powiódł kciukiem po serdecznym palcu. - Rozwiedliście się?

Kay nerwowo zaśmiała się i umilkła.



- Po co rozwód? - Cofnęła rękę i poprawiła włosy.

- Nie mieliśmy ślubu.

Należałoby zmienić temat, lecz Dominic wyraźnie czekał na dalszy ciąg. Kay od początku znajomości bała się tego momentu, a wiedziała, że prędzej czy później nastąpi. Jeśli opowie swą żalosalną historię, czy zdobędzie zaufanie i Dominic powie o swoim nieszczęściu?

Zwierzenia oznaczają całkowite odkrycie się przed bliźnim. Czy jest gotowa zaryzykować? Być może Dominic odwróci się od niej z obrzydzeniem i nigdy nie zobaczy uśmiechu, który rzadko się pojawia, a tak pięknie rozświetla jego oczy. Skończą się puste żarty. Zostanie smutna pustka.

To będzie nie do zniesienia.

Po nieoczekiwanym pocałunku w policzek i po życzeniach powodzenia szła do banku w nastroju euforii. Jakby wyrosły jej skrzydła. Pierwszy raz doświadczyła uczucia, gdy człowiekowi zdaje się, że wszystko jest możliwe.

Lecz została sprowadzona na ziemię. Czy tak prędko musiał nadejść dzień, w którym jej marzenia i szacunek dla siebie zostaną podeptane?

- Nie mieliśmy ślubu. Oboje jeszcze chodziliśmy do szkoły.

- Aha.

- Początek mojego życia był straszny, ale dzięki zdolnościom wybiłam się i przyznano mi stypendium do dobrej szkoły, obiecano studia w Oksfordzie. Miałam tylko spełnić oczekiwania, celująco zdawać egzaminy. Byłam typową pupilką nauczycieli. - Skrzywiła się i odwróciła wzrok. - Kobieta powinna dbać o swój honor, prawda?

- Powinien każdy z nas. Ale jesteśmy słabi, a młodzi ludzie są szczególnie bezbronni wobec hormonów.

- Które potrafią zaćmić umysł, gdy złotowłosey...  
i złotousty... adonis roztoczy czar.

Siedziała ze spuszczoną głową i nerwowo bawiła się łyżeczką. Czekwała, żeby Dominic coś powiedział. Dotychczas umiejętnie zmieniał temat, więc w duszy prosiła go, żeby to znów zrobił.

Prośba nie została spełniona, padło pytanie:

- Jak złotousty miał na imię?

- Aleksander. Wszyscy mówili Sasza, bo miał babkę Rosjankę.

- Mieszaniec.

Na widok zde gustowanej miny Dominica Kay zaśmiała się gorzko.

- Pan nie wie, co mówi. Był piękny jak grecki bóg.  
Naprawdę wcielony Adonis.

- Znany typ.

Kay przestała się śmiać.

- Nie pasowaliśmy do siebie. Byłam prymuską, ale chłopcy z jego paczki nie cenili zdolności u koleżanek. Niestety, byłam sierotą bez nazwiska, wpływowych krewnych, majątku w Szkocji.

- Najgorszym minusem jest ten brak krewnych.

Dominic rzekł to bez współczucia, a nawet ze złością, co rozgniewało Kay.

- Pan nic nie rozumie. Ja nie mam żadnych krewnych. Rodzona matka mnie nie chciała i nawet nie wiedziała, kto był moim ojcem. Dawano mnie na wychowanie do różnych osób. Niektóre „matki” były dobre, większość przeciętna, a dwie okropne. Moim jedynym majątkiem były pierwszorzędne szare komórki. - Zawstydzona opuściła głowę. - Lecz i one mnie zawiodły, gdy Sasza wyruszył na podbój.

- Przepraszam, nie chciałem... Myślałem...

Dla Kay było oczywiste, że uważał ją za wyrodną córkę, która gardziła ubogimi rodzicami.

- Na pewno była pani straszliwie samotna - powiedział łagodnie.

Kay odważyła się na niego spojrzeć i w szarych oczach wyczytała szczere współczucie. Wzruszyła się i wystraszyła, że wybuchnie płaczem. Zaciśnęła zęby i z trudem się opanowała.

- Tym razem trafił pan. Gdybym należała do grupy nad wiek dojrzałych i zblazowanych koleżanek, dla których seks był zabawą, wiedziałabym, o co chodzi. Ale byłam naiwna i nie przyszło mi do głowy, że Sasza czaruje i uwodzi wszystkie koleżanki po kolei.

Dominic zaklął pod nosem.

- Przepraszam. Słucham dalej.

- To była gra, której zasady wszyscy rozumieli i traktowali jako swoisty etap wchodzenia w dorosłość. A ja myślałam, że Sasza wierzy w to, co mówi. Gdy usłyszał, że jestem w ciąży, przyznał się, że chciał zostawić mnie w spokoju, ale koleżanki twierdziły, że nie wypada mnie pominąć. Dlatego zdecydował się... wyświadczyć mi przysługę. Myślał, że jako prymuska jestem bystra, inteligentna. Radził mi...

- Usunąć ciążę?

- Tak.

Dominic był równie oburzony, jak ona, gdy usłyszała beznamiętne słowa lekkoducha.

- Wiedziałam, że nie będzie zachwycony perspektywą zostania ojcem, ale liczyłam, że zachowa się przyzwoicie. Byłam beznadziejnie naiwna. Naprawdę wierzyłam, że wszystkich obowiązują takie cechy jak honor, przyzwoi-

tość i uczciwość, o których stale trąbiono na apelach. Żalossne, prawda?

- To ten pajac był żalossny. Czemu się po prostu nie zabezpieczył?

- Prezerwatywa pękła, ale Sasza się nie przejął. Gdy usłyszał o ciąży, mruknął, że dyrektorka jest nowoczesna i załatwi sprawę, lecz ja nie chciałam nikomu mówić, że postąpiłam idiotycznie. Dlatego udawałam przed sobą, że nic się nie stało. Do czasu. Porannej niedyspozycji nie można ukryć, gdy się mieszka w internacie. Dyrektorka dowiedziała się i wezwała mnie. Rzeczywiście była nowoczesna, bo nie miała pretensji o uczniowski seks.

- Co to za szkoła?

- Nie powiem. Dyrektorka jest realistką i wie, że w szkole koedukacyjnej młodzież jest bardziej wyzwolona.

- Ale ta nowoczesna dyrektorka nie pozwala ciężarnym uczennicom chodzić do swojej szkoły, prawda? Co zrobiła?

- Załatwiła usunięcie ciąży w prywatnej klinice.

- Aha...

- Potraktowano mnie tak samo jak uczennice, których rodzice płacili krocie za przywilej kształcenia dzieci w tej szkole. Muszę przyznać, że nie dyskryminowano mnie, chociaż miałam tylko stypendium. Przez wiele lat bezceremonialnie odsyłano mnie od Annasza do Kajfasza, a tutaj miałam niejaki przywileje. Wzięli mnie z przysłowiowego śmietnika i dali życiową szansę. Opłaciło im się, bo mieli dowód swojego altruizmu.

Umilkła, ponieważ zaschło jej w ustach. Dawno nikomu o tym nie mówiła, nawet starała się nie myśleć o ponurej przeszłości. Teraz opowiadała pozornie chłodno, lecz znowu przeżywała dawną tragedię.

- Chętnie napiłabym się wody.

Dominic czuł się okropnie. Nie zamierzał wyciągać bolesnych wspomnień, żeby zaspokoić ciekawość o wyrostku, który porzucił zakochaną w nim dziewczynę i nie-narodzone dziecko. Miał ochotę objąć Kay i powiedzieć, że jest wspaniała, lecz w miejscu publicznym nie wypadało. Mógł jedynie spełnić jej prośbę. Przyniósł wodę, nie czekając na kelnerkę.

- Bardzo mi przykro. Kay... wybacz mi... nie chciałem sprawić ci przykrości.

Nie zauważyła, że zwrócił się po imieniu, że w ogóle coś powiedział. Była głucha. Pochłoneły ją wspomnienia.

- Nie chciałam iść na zabieg, a wtedy powiedziano mi bez ogródek, że albo usunę ciążę, albo siebie ze szkoły.

- Jak zachował się hrabiowski synalek?

- Udawał, że mnie nie widzi. - Uśmiechnęła się żałośnie. - Powiadomiono jego rodziców. Rzekomo byli przygotowani na to, że poniosą jakieś konsekwencje, będą łożyć na utrzymanie dziecka. - Lekceważąco wzruszyła ramionami. - Pewnie kazali synowi kupować lepsze prezerwatywy.

Na twarzy Dominica odmalowały się myśli, które Kay bez trudu odczytała.

- Widzę po pańskiej...

- Daj spokój. Mówmy sobie po imieniu.

- Jak pan... jak chcesz. Widzę po minie, że zastanawiasz się, dlaczego żyję skromnie na łasce Hallamów, zamiast dostatnio na koszt hrabiego.

- Przyznaję, że to dziwne.

- Było tak: koleżanka powiedziała mi, że przyjechał

hrabia. Po chwili wezwała mnie dyrektorka, zamknęła w jednym pokoju, a sama w drugim konferowała z ojcem Saszy. Bałam się, że będzie żądał usunięcia ciąży, bo gdybym urodziła chłopca...

- Twój syn mógłby pokrzyżować szyki prawowitemu dziedzicowi. Co zrobiłaś?

- Uciekłam.

- Kiedy?

- Natychmiast. Nie zastanawiałam się, dokąd ani jak sobie poradzę.

- A matura? Oksford? Wykształcenie?

- Oksford raczej nie byłby zainteresowany studentką z nieślubnym dzieckiem. - Pokręciła głową. - Może oceniłam hrabiego niesprawiedliwie. Nie myślałam jasno. Pewnie mogłam poszukać innej szkoły i tam zdać maturę, ale wtedy musiałabym zostawiać dziecko z kimś obcym, może nawet oddać do adopcji, gdybym sobie nie radziła. Historia zaczynała się powtarzać, a nie chciałam, żeby moje dziecko spotkał taki los jak mnie.

Dominic chwycił ją za rękę i mocno uściśnął.

- Bez większego trudu znalazłam pracę w biurze, ale któregoś dnia zjawiała się kobieta z opieki społecznej, bo ktoś mnie poszukiwał. Zaczęła wypytywać, co zrobię po porodzie, i podsunęła parę możliwości. Mówiła, że jestem inteligentna, mogę daleko zajść, więc warto pomyśleć o adopcji. To mnie tak przeraziło, że znowu uciekłam. Wyobrażałam sobie, że jestem śledzona, że zabiorą mi dziecko, pozbawią praw rodzicielskich i nigdy go nie zobaczę. Znowu uciekłam. Nie odważyłam się podjąć nowej pracy, a gdy skończyły się pieniądze, musiałam spać na ulicy i żebrać, żeby coś zjeść. Teraz widzę, jaka byłam głupia. Na pewno ludzie chcieli mi pomóc, a ja zachowy-

wałam się irracjonalnie. - Bezskutecznie próbowała się uśmiechnąć. - Wpadłam w depresję.

- Nie dziwnego. Ciekawe, jak złotowłosey gagatek poradziłby sobie, gdyby musiał przejść przez to co ty. Sam, porzucony i...

- W ciąży? - podpowiedziała Kay, wreszcie się uśmiechając. - Dziękuję za sugestię, która podniosła mnie na duchu.

Dominic zamknął jej dłonie w swoich.

- Jesteś bardzo dzielna, bo wszystko przetrwałaś, pokonałaś tyle trudności. To dopiero jest coś, co podnosi człowieka na duchu. Co było dalej? (

- Gdy zaczął się poród, znalazł mnie policjant. Djbrzy ludzie nie zorientowali się, że rodzę, myśleli, że krzyczę tylko z bólu. Umyli mnie i zawieźli do szpitala, w którym przymknięto oko na brak ubezpieczenia. Dwa dni po porodzie usłyszałam przyciszony męski głos. Ktoś pytał o przywiezioną przez policję kobietę, która nazywa się Katie Lovell.

- Katie?

- Katherine, Katie, Kay. W miarę, jak dorastałam, imię się skracało. Nie czekałam, żeby dowiedzieć się, kto pyta. Zabrano mi moje rzeczy, ale wzięłam z cudzej szafki wszystko, co tam było. Łącznie z pieniędzmi. Nie wiedziałam, do kogo należy ubranie, i mało mnie to obchodziło. Porwałam córeczkę i uciekłam. - Wzdrygnęła się na myśl o tym, jak jej postępek mógł się skończyć. - Teraz bardziej pilnują i już tak łatwo bym się nie wymknęła.

W tym momencie kelnerka przyniosła zamówione dania, więc Dominic musiał odsunąć się i cierpliwie czekać, aż zostaną sami.

- Dokąd uciekłaś?

- Do cioci Lucy. Nie jest moją krewną, ale wszyscy tak ją nazywają. Od wielu lat bierze pod opiekę różne dzieci i setki przeszły przez jej ręce. Gdy otrzymałam stypendium, wysłano mnie do niej na tydzień, pod koniec wakacji. Zaprowadziła mnie do fryzjerki, postarała się o mundurek, nauczyła posługiwać się sztućcami. Była cudowna, do dziś pamiętam jej dobroć. Uznałam, że tylko jej mogę powierzyć mój skarb. Była pewna, że znajdzie kogoś, kto weźmie dziecko na jakiś czas albo je zaadoptuje. Bałam się o los córki, chciałam ją dobrze ukryć.

- A siebie?

- Ja się nie liczyłam. Zostawiłam dziecko na progu i dołączyłam kartkę z prośbą o opiekę, ale podpisałam się tylko inicjałem. Ciocia nie wiedziała, kto podrzucił niemowlę. Znalaziono mnie, ale bardzo długo nie odpowiadałam na żadne pytania.

- Przerosłaś swoje zdrobniałe imię. Teraz jesteś dojrzałą, stuprocentową Katherine.

Kay zarumieniła się. Dominicowi podobało się, że pomimo strasznych przeżyć wzrusza ją prosty komplement. A może wzruszał właśnie z ich powodu?

- Jak cię odnaleziono?

- Byłam już dość daleko, gdy poraziła mnie myśl, że ciocia nie zrobi tego, o co prosiłam. Jeśli uzna, że musi powiadomić jakieś władze, gazety albo telewizja opublikują apel do matki. Zawróciłam, gnana nadzieją, że dziecko nie znaleziono, ale przecież wcześniej zrobiłam wszystko, by ktoś je znalazł. Postanowiłam tak długo krążyć w pobliżu, aż dowiem się, gdzie jest moja córka.

Umilkła i machinalnie obracała widelec.

- I co?

- Ciocia spełniła moją prośbę, zaniósła dziecko do



Hallamów. Znała ich, bo Jake jako wyrostek przebywał u niej przez kilka miesięcy.

- Czemu akurat do nich?

- Amy ma trzech synów, ale marzyła o córce, więc to było idealne rozwiązanie.

- Przecież Hallamowie nie mogli twierdzić, że to ich dziecko. Nie wolno tak postępować, bo przepisy, prawo...

- Oni są bogaci, wpływowi i mają duże serca. Kto ośmieliłby się powiedzieć, że dziecko nie może zostać w domu, w którym miałyby rodziców i niańkę? Zastępczych rodzin jest wciąż za mało.

- Skoro tak...

- Byłoby to niełatwe, ale możliwe do przeprowadzenia. Lecz Amy jest matką i wrażliwą kobietą. Intuicyjnie czuła, że mam kłopoty z sobą, potrzebuję pomocy i nie odejdę zbyt daleko. - Kay otarła łzę. - Marzyła o córce i mogłaby mieć moją, ale odszukali mnie i oddali mi Polly. - Po policzku spłynęła druga łza. - Wrócili mi życie.

Widelec wypadł z trzęsącej się ręki. Dominic zerwał się z krzesła, objął Kay i szeptał słowa pocieszenia, jakich od lat nie mówił. Czuł się winny. Bał się, że przywołał wspomnienia, które zadreczą tę nieszczęsną istotę.

Gdy po chwili Kay spojrzała na niego, miała oczy pełne łez, ale już się opanowała.

- Wybacz, nie jestem w stanie nic przełknąć.

- Ja też nie. Wracamy do domu. Nie umiem gotować, ale potrafię otworzyć puszkę z zupą.

Nadal obejmował Kay, nie chciał jej puścić.

- Już lepiej? - spytał, gdy się odsunęła.

- Tak.

Położył na stoliku pieniądze i przepraszająco uśmiechnął się do kelnerki.

Wyszli na dziedziniec.

- To pierwszy sklep Amy - powiedziała Kay, ostrożnie stąpając po kocich łbach.

Dominic rzucił okiem na butik z egzotycznymi olejkami, mydłami, świeczkami. Jego uwagę przykuł koszyk z cytrusami i napisem: „Poprawiajmy sobie nastrój”.

Skojarzył to ze świeżym zapachem unoszącym się w domu i z faktem, że Dorothy Fuller, Amy Hallam i Kay Lovell są znajomymi. A Kay i Amy przyjaciółkami. Pomyślał o macierzance posadzonej na tarasie przez Katherine. Jak zioła wpływają na nastrój?

- Teraz ma sklepy w całym kraju.

- Idź w jej ślady. Daisy Roots też może się rozrosnąć, prawda? Gdyby trochę pomóc...

- Rośliny wykorzystują energię słoneczną, która jest za darmo, w przeciwieństwie do tej do silnika spalinowego. - Wystraszona przystanęła. - Zostawiłam kluczyki w samochodzie i jeśli ktoś mi go sprzątnął, marny mój los. Gdzie zaparkowałaś?

Przyśpieszyła kroku, ale obcas utknął między kamieniami i zachwiała się.

Dominic podtrzymał ją, spojrzął w oczy i... też się zachwiało. Psychiczenie. A właściwie stracił równowagę ducha już wcześniej, gdy ujrzał Kay obsypaną mąką.

- Skręciłaś nogę?

- Nie.

- Poczekaj chwilę, zaraz tu podjadę. Tak będzie lepiej i prędzej.

W biegu wyjął kluczyki.

- Zgubiłeś coś.

Nie usłyszał. Nieważne. Kay podniosła z ziemi gałązkę z resztką pokruszonych listków. Majeranek! To był maje-

ranek! Czyżby Dominic nosił gałązkę, którą dała mu do powąchania?

Dlaczego?

Powodów mogło być kilka. Najbardziej oczywisty był ten, że Dominic machinalnie wsunął gałązkę do kieszeni i zapomniał.

Lecz rano miał inną marynarkę!

RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Samochód Kay stał na tym samym miejscu. Istnienie Daisy Roots zależało od przestarzałego wozu. Dużym nie-taktem byłoby powtórzenie, że nikt nie ukradłby takiego grata, więc Dominic ugryzł się w język.

- Nie warto zachęcać złodzieja - rzekł tylko. - Weź kluczyki i chodź do mnie na skromny posiłek.

Kay nie odpowiedziała; jej wahanie oznaczało, że szuka argumentu, by iść do domu. Dominic nie chciał na to pozwolić, ponieważ uważał, że trzeba oderwać jej myśli od bolesnej przeszłości.

- Przejrzymy broszury, które podrzuciła mi pewna życzliwa osoba. Zrezygnowałem z lunchu w restauracji, więc w nagrodę powiesz mi, jaki warunek chciałaś postawić przed przyjęciem mojego zaproszenia.

Kay spiekła raka. Tym razem nie był to uroczy rumieniec, ale gorąca czerwień wstydu.

- Och, nie...

Łudziła się, że zapomniał, co bezmyślnie powiedziała, gdy była na tyle pewna siebie, by się przekomarzać. Teraz znowu czuła się niepewna, roztrzęsiona.

- Och, tak.

Dominic był zły na siebie za to, że powoduje jej zażenowanie, ale na poły zapomniany, prymitywny i typowo męski instynkt kazał mu domagać się odpowiedzi.

Kay lekko wzruszyła ramionami, a Dominic pomyślał, że dobrze wyćwiczyła ów gest i robi z niego użytek, gdy czuje się zagrożona.

- Nic strasznego. - Spuściła oczy. - Zamierzałam uciec się do małego coś za coś, żeby nakłonić cię do przyjscia na jutrzejszą biesiadę.

Dominic zrozumiał, że mimo ostrego języka jest boleśnie nieśmiała. Taka kobieta stanowi najtrudniejszą zdobycz, a mężczyźni z natury są zdobywcami.

Przez sześć lat Dominic trwał w uśpieniu, lecz na widok rumieńców, trzepotania rzęs i drżących ust instynkty obudziły się, doszły do głosu. Miał ochotę ryczeć jak lew.

- Przyjdzie cała wieś - pośpiesznie dodała Kay;

- Wiem.

Zniechęcała go perspektywa przebywania w sali pełnej ludzi, którzy potrafią żywiołowo bawić się, ale pociągała możliwość przebywania z Katherine.

- To jedyna okazja, żebyś spróbował, jak smakuje mój wypiek - dodała półzartem.

- Twoje babeczki z moimi jeżynami, prawda?

- Tak. Tym większy powód, żebyś przyszedł.

Pozornie była pewna siebie, bezpośrednia, wygadana.

To jedynie fasada, bo często chowała się jak ślimak w sko-

rupie. Dominic nie chciał, żeby kryła się przed nim. Dlatego nie uległ pierwotnym instynktom i nie pocałował jej.

- Zastanowię się - obiecał.

W głębi duszy wiedział, że pójdzie. Wyobraził sobie, że siedzi obok Katherine na długiej ławie przy stole uginającym się pod talerzami z ciastem i dzbankami z winem, piwem, sokiem owocowym. Kay jest rozbawiona, ale przestaje się śmiać, gdy spogląda mu w oczy. Jej pełne usta są słodkim zaproszeniem. Może obejmie ją i...

Będzie myślał o tym bez przerwy.

- Dobrze, pójdę. Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Wstąpisz do mnie i coś zjesz. Ty doradzisz mi, gdzie kupić materiał na altanę, a ja tobie, gdzie szukać dotacji.

- Wyciągnął rękę. - Katherine, czy umowa stoi?

- Tak, panie Ravenscar.

- Zapomniałaś, jak mi na imię?

- Przyjmuję umowę... Dominicu.

Wiedziała, że nie powinna tak się do niego zwracać, nie powinna godzić się na jego warunki. Zamierzała mu pomóc, i chyba już nieco pomogła, ale bezpieczniej było, gdy zwracali się do siebie oficjalnie. Ironia też jest bezpieczniejsza. A może to jedynie złudzenia? Zachowanie dystansu bywa grą, a wszelkie gry prowadzone przez dwoje ludzi są ryzykowne.

Dominic wymawiał jej nazwisko pieszczotliwie, ona też nie mówiła jego nazwiska obojętnie.

Jak dźwięcznie brzmi Katherine. Nikt nie używał jej pełnego imienia, więc czuła się, jakby została wyróżniona. Osobliwy obrót sprawy. Postanowiła wyzwolić sąsiada z więzów przeszłości, lecz role się odwróciły i to on ją wyzwala.

Może nawzajem się ocalą?

- Mamusiu, czy będzie przyjęcie? - spytała Polly, gdy weszły do ogrodu.

Kay zrobiła zdziwioną minę.

- Z jakiej okazji?

- Za dwa tygodnie są moje urodziny. Chcę, żeby wszyscy przyszli na przyjęcie.

Kay przystanąła, bo zobaczyła Dominica wyrywające-

go zielsko spomiędzy kamieni na ścieżce. Zostawiła to zadanie na później, gdy po deszczu wszędzie będzie za mokro, a tutaj stosunkowo sucho.

Dominic uniósł głowę i popatrzył na Polly.

- Ja też otrzymam zaproszenie?

Dziewczynka zrobiła wielkie oczy.

- Pan? Przecież to dla małych dzieci.

- Ty nie jesteś mała.

Kay zaskoczyło, że Dominic umie rozmawiać z dzieckiem, choć nie powinno jej to zdziwić. Przekonała się już, że jest dobrym słuchaczem. Wiedział, kiedy milczeć, kiedy podsunąć odpowiednie słowo, kiedy zmienić temat.

- Jestem najwyższa w klasie. - Polly westchnęła. -

Mamusia mówi, że rosnę jak zielsko.

- A jakie? Czyżby stokrotki?

- One są małe.

Dziewczynka rzuciła torbę z zabawkami i przykucnęła obok Dominica.

Po ścięciu trawy stokrotki obficie zakwitły. W przeciętnym ogrodzie trawnik jest jednolicie zielony, lecz w ogrodzie z fantazją trawa jest usiana białymi gwiazdkami.

- Zaraz panu pokażę. - Polly zerwała kilka stokrotek.

- Widzi pan, jakie małe?

- To pewnie rośniesz jak mniszki.

- Nie.

- Więc chyba jak osty.

- Może. - Spojrzała na matkę. - Osty są chwastami czy kwiatami?

- Zależy, jakie i gdzie rosną. Zostawię cię z panem Ravenscarem i wezmę się do pracy.

Dziewczynka niepewnie zerknęła na Dominica, ale skinęła głową.

- Dobrze. Będziemy robić wianki ze stokrotek. Umie pan, panie...?

- Znajomi mówią na mnie Dom.

- To nie jest imię.

- Zdrobnienie od Dominica.

- Aha. W mojej klasie jest jeden Dominic. Okropnie nieznośny. Pokazać panu, jak się plecie wianek?

Nie czekając na odpowiedź, zaczęła zrywać stokrotki.

Kay pomyślała, że Dominic obiecał pilnować jej córki, lecz nie bawić się z nią lub słuchać bezustannej paplaniny.

Dominic zerwał kilka kwiatów i nieudolnie splótł.

- Powiedz mi, jakie ma być to przyjęcie.

Popołudnie udało się. Podczas pracy Kay na plecach miała promienie słońca, a w uszach przekomarzania Dominica i radosny szczebiot Polly.

- Czas zrobić przerwę! - zawołał Dominic.

Kay wyprostowała się i zdjęła rękawice.

- Proszę, przyniosłem herbatę. Hm, coraz tu ładniej.

- Dziękuję za uznanie. I za fachowe wyrwanie zielska na ścieżce.

- Wstyd by mi było leżeć do góry brzuchem, gdy ty harujesz. Wiesz, ogrodnictwo nawet mi się spodobało, a przedtem nigdy nie miałem na nie czasu. - Wzruszył ramionami. - Zawsze byłem zagoniony.

Powiedział to tak, jakby uświadomił sobie, co tracił, jakby widział swą przeszłość, a nie terażniejszość. Kay miała wrażenie, że grunt usuwa się jej spod stóp.

- Po skoszeniu trawnika ogród wypięknieje. Zastanówię się, jakim pestycydem potraktować stokrotki.

- Koszeniem ja się zajmę. - Rozejrzył się. - Uważam, że stokrotki dodają trawnikowi uroku.

- Byle było ich w miarę.



- Myślisz, że jestem skąpy i chcę kosić trawę, żeby zaoszczędzić trochę pieniędzy?

- Nie. Bardzo chętnie odstąpię ci zajęcie, którego nie lubię. I tak mam dość roboty.

Przyjrzała się Dominicowi i stwierdziła, że po dniu spędzonym na świeżym powietrzu wygląda lepiej. To nie kwestia opalenizny - ponieważ przyjechał opalony - a jednak wyglądał jakoś inaczej. Odprężony, bez sztucznego uśmiechu.

- Dziękuję, że wytrzymałeś z moją gadułą.

- Jest urocza, ma bujną wyobraźnię. Nie wiedziałem, że lalki prowadzą bogate życie towarzyskie. - Spojrzał na Polly, która chowała zabawki, przemawiając do nich. - Możesz być z niej dumna. Chociaż... Wygłosiła dość krytyczne uwagi o dzieciach w klasie. Oraz o nauczycielach.

Kay uśmiechnęła się filuternie.

- Zawarliśmy z nauczycielami umowę. Jeśli nie będą wierzyć we wszystkie bzdury, które usłyszą o nas, my uwierzemy w połowę tego, co usłyszymy o nich. No\* czas na mnie...

- Przepraszam, że cię zatrzymuję. Musisz przygotować się na biesiadę, prawda?

- Drobiazg. - Zebrała narzędzia. - Babeczki już są zrobione, tylko trzeba je wstawić do piekarnika. No i przygotować dzban sosu waniliowego.

- Czy przyda ci się pomoc przy dostarczaniu specjalów na miejsce?

Kay popatrzyła nie niego z niedowierzaniem.

- Przemyślałem sprawę.

- Świetnie. Pomoc bardzo się przyda. A zatem do zobaczenia u mnie o wpół do szóstej.

Kay nie stroiła się na wiejskie uroczystości. „Bankiet dożynkowy” brzmi szumnie, lecz to nie jest wielka gala, szczególnie dla osób, które nakrywają do stołu, a potem sprzątaję.

Po kąpieli Kay posmarowała się luksusowym żelem od Amy, uczesała się staranniej niż zwykle, pomalowała paznokcie lakierem bezbarwnym. Wiedziała, że prawie przez cały czas będzie w fartuchu, ale jednak wypadało ubrać się odświętnie. Wyjęła z szafy wzorzystą spódnicę oraz haftowaną bluzkę z dużym dekoltem.

Ubrała się i podeszła do lustra. Z rozpuszczonymi włosami i w wydekoltowanej bluzce wyglądała jak dziewczyna idąca na spotkanie z ukochanym.

Prychnęła niezadowolona.

- Od razu wszyscy się domyśla... Amy oczywiście pierwsza. A jeszcze gorzej, że i Dominic.

Prędko związała włosy gumką i włożyła inną bluzkę, kolorystycznie pasującą do spódnicy. Haftowana zostanie oddana na wyprzedaż, skąd zresztą pochodziła.

- Zachciało mi się włożyć buty na wysokich obcasach. Też pomysł!

Zsunęła szykowne sandały i włożyła zwyczajne pantofle na niskich obcasach.

Kończyła czesać Polly, gdy rozległo się pukanie.

- Otwarte.

Była zadowolona, że jest zajęta.

- Przyszedłem za wcześnie?

Gdy Kay spojrzała na wysoką sylwetkę o szerokich ramionach i długich nogach, ogarnęło ją podniecenie. Zaciśnęła pięści. Polly odebrała to jako zakończenie czesania, zeskoczyła z krzesła i podbiegła do gościa.

- Lalki naradziły się z misiami i wyślę panu zaproszenie.

- Polly! Jeszcze nie skończyłam.

- Przyjdzie pan?

Kay usłyszała w głosie córki błagalną nutę i przestraszyła się. Groziło im niebezpieczeństwo, którego nie przewidziała.

Dominicowi brakowało żony.

Polly brakowało ojca.

A jej samej?

- Polly, siadaj.

- Mogę zawieźć babeczki?

- Bardzo proszę. Są w kuchni, na tacy. Uważaj, bo jeszcze gorące. Dorothy i Jane już tam będą i powiedzą ci, gdzie je postawić.

- Przyjadę po was. Polly, o przyjęciu porozmawiamy, gdy wrócę. Dobrze?

- Tak.

Dziewczynka uparła się, że pojedzie w wianku uplecionym przez Dominica.

Przez pół wieczoru Kay była w rozterce. Pragnęła trzymać się z dala od Dominica, aby chronić siebie i córkę. Lepiej nie oczekiwać zbyt wiele. Z drugiej jednak strony chciała być blisko, aby chronić go przed kłopotliwą ciekawością obecnych.

Lecz nie potrzebował opieki. Odnowił dawne znajomości i chętnie ze wszystkimi rozmawiał. Kay odpreżyła się i uznała, że pragnienie, by chronić Dominica, okazało się śmieszne. Był dojrzałym człowiekiem, przez wiele lat obracał się wśród egzotycznych ludów. Nie potrzebował opiekunki. Wręcz przeciwnie! Zdawał się nie zauważać jej obecności.

- O, nareszcie cię znalazłam! - zawołała Amy. - Za-

bieram dzieci do domu i Mark chce, żeby Polly u nas nocowała.

Kay była w kuchni, gdzie się ukryła, aby nie zdradzić się z uczuciami.

- Pozwolisz jej?

Kay zdziwiła się, że przyjaciółka uprzejmie pyta, zamiast oznajmić, że zabiera Polly.

- Tak. Jeśli nie sprawi wam kłopotu.

- Nigdy nie sprawia kłopotu. Dziewczyno, co ty tu robisz?

- Jak to co? Sprzątam.

- Zostaw. To nie twoja działka. Rozkład zadań wisi na ścianie.

Amy wskazała listę, na której nie było Kay.

- Ale ja zawsze...

- Dość już zrobiłaś, teraz czas na zabawę.

- Przecież się bawię.

- Sama? Tutaj? A tam pewien przystojny mężczyzna jest oblegany przez te kobiety, których mężowie nie trzymają krótko. Wybacz, ale nie rozumiem.

- Uważasz, że powinnam prowadzić go za rękę?

- Przyjechał z tobą.

- Raczej tylko pomógł mi przywieźć różne rzeczy.

Przez cały wieczór nawet na mnie nie spojrział.

- A ty patrzyłaś na niego? Jedni stale patrzą na siebie, inni nie. Czasami to drugie jest bardziej wymowne.

Nie wiadomo, jak Kay znalazła się w objęciach Amy.

- Przepraszam. Bardzo cię przepraszam. Ty zawsze masz rację.

- Szczególnie, gdy chodzi o ciebie. - Amy pogłaskała ją jak małe dziecko. - Miałam rację, gdy zaryzykowałam, chociaż wszyscy mówili, że zwariowałam. Ale myliłam

się, trzymając cię tak blisko siebie, że nie mogłaś rozwinąć skrzydeł. Co do Dominica też się pomyliłam. Powinnam mieć więcej wiary w ciebie. To ja muszę cię przeprosić.

- Nie masz za co. - Kay otarła łzy i uśmiechnęła się.

- Tylko wciągałam Dominica do rozmowy. Nawet gdy nie chciał mnie słuchać, gadałam.

- Jak ja do ciebie.

- Usunęłam trochę chwastów, roślina dostała słońca i może rosnąć.

- Właśnie o to chodziło. Ważne, że zrozumiałaś, co trzeba zrobić, i odważnie wykonałaś trudne zadanie. Zaraz na początku Jake odwiedził Dominica i nie poznał go, bo tak mizernie wyglądał.

- Wcale nie tak źle - zaproponowała Kay. - No, ale ja nie widziałam go w czasach, gdy był szczęśliwy i wiodło mu się idealnie.

- Nikomu nie wiedzie się idealnie. Gdyby zadowolenie z życia było zagwarantowane, nie mielibyśmy do czego dążyć. Pewnie wciąż mieszkalibyśmy w jaskiniach. Dominic musiał przekonać się, że życie znowu może być dobre. Widziałam, jak na ciebie patrzy. On jest w połowie drogi.

- Ale Polly...

- Wiem, że go lubi, bo opowiedziała mi, jak spędziła czas w jego ogrodzie.

- Boję się, że za bardzo mi na nim zależy i że Polly zbyt go polubiła.

- Też się obawiałam, bo byłam pewna, że będziesz cierpieła. I że jeśli tak się stanie, nie poradzisz sobie z uczuciami. Byłam nadopiekuńcza. Jestem egoistką, bo chciałam, żebyś została tutaj, żebyś nie zabrała mi Polly.

Teraz jednak wiem, cierpieć będziesz na pewno tylko w jednym przypadku: jeśli cofniesz się przed ryzykiem.

- Człowiek nie powinien uciekać czy chować głowy w piasek. Gdy poznałam Dominica, zrozumiałam, że wciąż uciekam...

- Oboje dowiedzieliście się czegoś pożytecznego i czas tę wiedzę przełożyć na praktykę. Jesteście inteligentni, więc sądzę, że szybko ze wszystkim się uporacie. Przyniosłam coś, co ci się przyda. Proszę.

Speszona Kay podziękowała, odszukała Polly, a potem długo stała przy drzwiach, patrząc w ślad za odjeżdżającymi. Miała nieprzepartą ochotę iść do domu i zapomnieć o tym, że musi przestać uciekać.

Dominic siedział w głębi sali. Wiedziała, że wszyscy będą ją obserwować, gdy pójdzie w jego stronę.

- Myślałem, że chcesz zniknąć beze mnie.

Obejrzała się. Dominic stał obok. Ucieszyła się, że nie musi iść przez całą salę.

- Wcale nie chciałam zniknąć. Pożegnałam się z Polly, która pojechała do Hallamów. Ona i Mark są jak papużki nierozłączki. Przez rok chowali się razem, w jednym pokoju. Masz już dość?

- Rozmów tak. Bałem się, że do końca zostaniesz w fartuchu i nie będę miał okazji poprosić cię do tańca.

- Do tańca? - szczerze zdziwiła się Kay. - Nie musisz się poświęcać. Naprawdę.

- Dajesz mi kosza?

Kay popatrzyła na salę. Przy dźwiękach spokojnej muzyki tańczyło kilka par. Nie wiedziała, czy cieszyć się, że Dominic ją obejmie, przytuli. Pomyślała, że dobrze byłoby przestać uciekać, znaleźć przystań w jego ramionach.

- Nie. Ja tylko...

- Tylko co?
- Nigdy tu nie tańczyłam.
- Czy w Upper Haughton są sami ślepcy?

- Skądże. - Zarumieniła się zażenowana. - Zwykle przez cały czas byłam w kuchni i wcześniej wracałam do domu ze względu na Polly. Tym razem jakoś inaczej rozplanowano obowiązki.

Dominic uśmiechnął się.

- Ja też dawno nie tańczyłem, więc jesteśmy w podobnej sytuacji. Będziemy nawzajem się instruować. Ty tu kładziesz rękę. - Położył jej dłoń na swym ramieniu. - A moja, jeśli dobrze pamiętam, powinna być tutaj. Czy, jak dotąd, postępuję prawidłowo?

- Chyba tak - szepnęła Kay ledwo dosłyszalnie.
- Będzie lepiej, jeśli się przysuniesz.

Kay zamrugała. Starła się skupić na tym, co Dominic mówi, a nie na jego ustach. Przesunęła się o centymetr.

- Trochę bliżej.

Stał bez ruchu, aby jej zostawić decyzję. Kay przesunęła się zaledwie o dwa centymetry, ale odległość od Dominica wydała się jej niebezpiecznie mała.

- Sądziłam, że już nikt tak nie tańczy.
- Wszystko inne to udawanie, tylko rytmiczne podrygi. Ty robisz pierwszy krok.

Kay ruszyła w stronę sali.

- Nie tam. Widzę, że jednak mężczyzna musi przejąć inicjatywę. - Objął ją i poprowadził na pusty taras. - Tu mniejszy tłok.

Trochę przesadził!

Milcząc, tańczyli w takt romantycznej melodii. Powoli zapadał zmierzch.

- Katherine - odezwał się Dominic.

- Słucham?
- Babeczki były pyszne.
- Dziękuję.

Ośmieliła się oprzeć głowę na jego ramieniu. Gdy muzyka ucichła, zdziwiła się, że pod nogami mają trawę zamiast betonu.

- Pastor prosi, żebym wygłosił pogadankę o walce z głodem na świecie. Obiecałem...

- Możesz wykupić się hojnym datkiem.

Dominic stanął i spojrzał na nią zaskoczony.

- Naprawdę?

- To jego stara sztuczka. Powinnam cię uprzedzić, że nasz pastor nie zna wstydu.

Dominic przyciągnął ją do siebie.

- Cieszę się, że namówiłaś mnie na przyjęcie.
- Wcale nie namawiałam.
- Czyżby?

Kay uniosła głowę. Dominic długo patrzył jej w oczy.

- Katherine - rzekł ciszej.

- Co?
- Lubię dźwięk twojego imienia.

Poczuła muśnięcie ust na policzku.

- Katherine...
- Tak?

Pocałował ją w usta. Bardzo delikatnie, a mimo to świat zawirował, a ciało zastygło w oczekiwaniu na coś więcej.

Dominic zrozumiał to i następny pocałunek był inny; również delikatny, ale pytający, a jednocześnie zapraszający.

Kay rozchyliła wargi. Pocałunki obudziły w niej uczucia, które długo tłumiała. Przeżywała coś, o czym czytała, ale nie wierzyła, że istnieje.



Zrozumiała potęgę pożądania, moc, która sprawia, że ludzie stawiają wszystko na jedną kartę, gdy ktoś przemówi do ich serca.

- Na tę chwilę czekałem przez cały wieczór - szepnął Dominic.

- A ja przez całe życie.

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Po przebudzeniu Kay spojrzała w okno. Zaróżowione niebo zwiastowało zmianę pogody; lato niestety będzie musiało ustąpić przed jesienią. Powiał wiatr, okno trzasnęło, Kay wzdrygnęła się.

- Zimno ci?

Odwróciła głowę i zobaczyła, że Dominic leży wsparty na łokciu. Jak długo ją obserwuje? Speszona podciągnęła koc pod sarną brodę.

- Nie.

- Żałujesz?

- Ani trochę. - Przewyciężyła nieśmiałość i przytuliła do niego. - Jesteś wspaniały. To była cudowna noc. Nigdy czegoś takiego nie przeżyłam. No... raz zrobiłam coś podobnego... - Zastanowiła się i pokręciła głową. - Nie. Jednak to jest pierwszy raz. Nic nie równa się z przeżyciami tej nocy.

Sasza nie spał z nią, po przebudzeniu nie patrzył zaniepokojony, że ukochana zniknie, jeśli na moment oderwie od niej wzrok. Wtedy brak było szczerych uczuć, cudownej radości. Zupełny brak poczucia, że świat się zmienił, a przecież wkrótce okazało się, że dla niej nic już nie będzie takie samo.

- Sasza mnie nie kochał, to nie była...

Dominic zamknął jej usta pocałunkiem.

- Czy ktoś ośmielił się powiedzieć ci, że za dużo mówisz?

- Nie. Przynajmniej ostatnio. Mówię za dużo, gdy jestem podenerwowana.

- Przy mnie czujesz się podenerwowana? Tak źle na ciebie wpływam?

Chciała zaprzeczyć, ale podniecona pieszczotami jedynie westchnęła.

- A jednak - zaśmiał się Dominic.

- Nie - szepnęła drżącym głosem. - Ale masz... zimne ręce.

- Nieprawda. - Odkrył ją. - Nie masz pojęcia, co przeżywałem od chwili, gdy pierwszy raz cię ujrzałem. Długo nie kochałem się z żadną kobietą, myślałem le zapomniałem, jak się to robi.

- Nic nie zapomniałeś.

- Dzięki tobie. Gdy zobaczyłem cię w ogrodzie, wszystko mi się przypomniało. Zostałem uleczony.

Dał tego kolejny dowód.

Zachował się dyskretnie i wrócił do domu, nim wieś zbudziła się ze snu. Wszedł do małżeńskiej sypialni, stanął przed zdjęciem w srebrnej ramce.

- Saro, zakochałem się.

Spojrzał na suknie, które wydały mu się stare; jakby Sara porzuciła je jako niepotrzebne.

Wziął fotografię do ręki.

- Najdroższa, nigdy cię nie zapomnę. Wiesz o tym, bo wiele razy to powtarzałem. Lecz spotkanie z Katherine uświadomiło mi, że pamięć o tobie nie oznacza wycofania się na pustynię. Pokochałem inną kobietę, ale ty nadal jesteś częścią mnie, zawsze będziesz. Gdybym umarł

pierwszy, nie chciałbym, żebyś była sama, żeby nikt cię nie kochał i żebyś nie miała dzieci.

Zamilkł, jakby czekał na odpowiedź. Zamiast głosu zza grobu usłyszał trzaśnięcie furtki. To ogrodniczka przyszła do pracy.

Spojrzał w okno i uśmiechnął się na widok Kay w roboczym stroju. Chętnie poszedłby do niej, ale jeszcze nie skończył rozmowy z Sarą.

Wiesz, ona pod wieloma względami przypomina mi ciebie. Jest odważna, uczciwa, bezpośrednia. - Uśmiechnął się, - Często mówi coś półzartem, czym nieświadomie mnie rozbawia, a myślałem, że zapomniałem, co to śmiech. Sprawiała też, że chciało mi się płakać, a sądziłem, że wylałem wszystkie łzy. Gdy wynurzyła się z porannej mgły, jakby, wstąpiło we mnie nowe życie. - Powiódł palcem po fotografii. - Oczywiście nie ma twojej gracji, manier, pewności siebie. Ubiera się fatalnie i bez zastanowienia mówi, co ślina przyniesie na język. Niepojęte, że uległem złudzeniu i przez pomyłkę wziąłem ją za ciebie. Aha. Rozumiem. Dziękuję ci, aniele.

Przyszedł do Old Cottage na lunch i został do podwieczorku. Na pożegnanie pocałował Kay w policzek.

- Do jutra po południu.

Doceniła to, że nie chciał zostać na noc, gdy w sąsiednim pokoju śpi dziecko. Jak dobrze, że jest delikatny.

Wieczorem zadzwonił, dając dowód, że o niej myśli. Rano zadzwonił, by powiedzieć, że zaczyna robić porządki w szafach.

Przez pół dnia Kay uśmiechała się radośnie, lecz teraz, tuż przed spotkaniem, denerwowała się. Jak rozmawiają ludzie, którzy spędzili z sobą noc? Czy zmienia

coś fakt, że pracuje w ogrodzie kochanka? Jak się w tej sytuacji zachować?

Aby zapomnieć o dręczącym dylemacie, zabrała się do rąbania drewna na opał. Wysilek fizyczny dotychczas pomagał, lecz tym razem zawiódł. Ogarnęły ją złe przecucia. Dostała gęziej skórki.

Okrężną drogą zachęcała Dominica, by uporządkował rzeczy zmarłej żony. Stale zwlekał, a zajął się tym zaraz po upojnej nocy! Co to oznacza?

Spodziewała się, że zastanie go w ogrodzie, że jak zwykle będzie udawał, iż coś robi. To pretekst, aby być koło niej. Tymczasem nigdzie go nie widać. Podejrzane.

Zaczęła pielic, pocieszając się, że wyjechał w pilnej sprawie. Zajęła się usuwaniem rozrośniętego rabarbaru. Chciała wyciągnąć cały korzeń, więc na klęczkach cierpliwie go obkopywała.

- Dzień dobry.

Kay drgnęła i przecięła korzeń.

- Och! Przez ciebie reaguję nerwowo.

- Wiem. Wystarczy dotknąć pewnego miejsca.

Gdy Kay spąsowiała, dodał:

- Ciesz się, że pamiętasz.

- Jak mogłabym zapomnieć?

- Myślałem, że przyjdiesz się przywitać.

- Mam mnóstwo do zrobienia i ty chyba też. Nie chciałam przeszkadzać.

- Za późno martwisz się o mój spokój. Zakłócenie jest trwałe... Zostaw zielsko. Widzisz? - Pokazał duże pudło.

- Wreszcie cię posłuchałem.

- Czemu akurat dziś to wyrzucasz?

- To po prostu stare rzeczy. Nie należy liczyć na to, że potraktujesz mnie poważnie, poślubisz i wprowadzisz się

do domu, w którym wszędzie są rzeczy Sary. Nie mogę uparcie trzymać się przeszłości.

- Ślub? Przeprowadzka?

Sądziła, że się przesłyszała. Za mało się znali, więc na razie małżeństwo nie wchodziło w grę. Jeszcze nie oswoiła się z myślą, że spędzili razem noc.

- Chodź - rzekł Dominic.

Położył rzeczy na stosie suchych gałęzi i podpalił.

Kay postanowiła, że sama nie wspomni o małżeństwie. A jeśli Dominic znowu poruszy ten temat? Hm, wtedy... wymyśli coś na poczekaniu. To tak prędko się nie zdarzy. Małżeństwa byłoby szaleństwem.

- Przypilnuj ognia, a ja pójdę po następne pudło.

- Dobrze.

Dorzuciła gałęzi, aby suknie Sary paliły się żywym ogniem.

Dominic stwierdził, że operacja, której się bał, nie jest taka przykra. Raz czy dwa zawahał się przed wrzuceniem czegoś w płomienie. Lecz dopiero po otwarciu małego pudła zawahał się, zwlekał.

Kay przykucnęła obok.

- O co chodzi?

- O to. - Westchnął smutno. - Patrz!

W pudełku leżał biały miś.

- Sara była w ciąży. Rozzłościła się, że kupiłem zabawkę, bo według niej to zły znak. Wyzywanie losu.

- Nikt nie ma wpływu na swój los, chociaż nam się zdaje, że możemy coś zmienić.

Dominic rzucił misia w ogień i wstał. Kay chwyciła go za rękę.

- Byłem nieprawdopodobnie szczęśliwy. Chciałem podzielić się radością z całym światem, ale Sara prosiła,

żebym zachował tajemnicę przez pierwsze niepewne miesiące. A potem nie było sensu mówić. Teściowie strasznie rozpaczali i nie miałem sumienia pogłębiać ich bólu.

- Rozumiem cię.

Objęli się, a w ich oczach pojawiły się łzy.

Dominic płakał nad okrucieństwem losu.

Kay przypomniała sobie pierwsze spotkanie, gdy pomylił ją ze zmarłą żoną. I natarczywie pytał o Polly. Wtedy sądziła, że to niegroźne. Teraz doszła do wniosku, że oszukiwała się, bo Dominic nie jest uleczony, nie przeboleł straty. Ona i Polly stanowią namiastkę rodziny, której się nie doczekał.

Oboje mieli złudzenia.

Dominic łudził się, że można zapłacić puste miejsce po zmarłej żonie i nienarodzonym dziecku. Palił pamiętki, ponieważ uznał, że już nie są potrzebne jako rekwizyty.

Kay łudziła się, że pocałunek nieznajomego zbudzi ją do innego życia. Chciała pomóc mu się wyleczyć, ale swym nieprzemyślanym wtrącaniem się jedynie pogorszyła sprawę. I to bardzo.

Zadzwonił budzik, więc ucieszyła się, że ma pretekst by się pożegnać.

- Muszę już iść.

Dominic nadal ją trzymał, jakby wiedział, że ucieka od niego. A chciał ją zatrzymać.

- Wpadnę później.

Kay bała się odezwać, więc jedynie rozciągnęła usta w wymuszonym uśmiechu. Uciekła, zostawiając narzędzia.

Dominic wzdrygnął się, jakby dostał zimnych dreszczy. Miał wrażenie, że Kay już nie wróci.

Czuł, że coś się między nimi popsuło.

Widocznie źle wybrał moment palenia rzeczy Sary. Żałował, że nie zrobił tego kilka dni wcześniej, lub choćby rano, lecz wolał, by Kay widziała, że rozstaje się z przeszłością i myśli o przyszłości. Chciał dać dowód, że pragnie, aby ona należała do jego przyszłości.

Lecz chodziło o coś więcej niż palenie pamiątek.

Dostrzegł moment, w którym Kay odsunęła się od niego; nie fizycznie, lecz emocjonalnie. Zauważył, jak jej ulżyło, gdy zadzwonił budzik. Skorzystała z okazji, by prędko odejść.

Stał wpatrzony w dogasające ognisko i kolejno przypominał sobie każde słowo, każdy gest, aż dotarł do kluczowego momentu. Zrozumiał, co zrobił.

Kay czuła się, jakby znowu miała osiemnaście lat i była przytłoczona problemami, z którymi nie umie sobie poradzić. Kolejny węzeł gordyjski! Znowu inni manipulują nią dla swoich celów. Lecz tym razem nie ucieknie przed trudną sytuacją. Ucieczka rzadko jest dobrym rozwiązaniem.

Gdyby przed laty odważyła się upomnieć o swe prawa, zaoszczędziłaby sobie cierpienie. Teraz wiedziała dużo z własnego doświadczenia, a wtedy posiadała jedynie wiedzę książkową. Nie miała wsparcia w rodzinie, nikt jej nie kochał, nikt nie powiedział, że jest warta znacznie więcej niż nazwisko w czołówce listy z wynikami egzaminów.

Dopiero Amy pokazała jej, czym jest miłość bliźniego. I wtedy wszystko się zmieniło. Nauczyła się odwzajemniać uczucia, co ją samą odmieniło.

Niewiele pomogła Dominicowi, lecz on nauczył ją czegoś cennego. Tego, że żadna odległość nie rozwiąże problemu, a upływ czasu go nie usunie. Człowiek musi stawić czoło demonom.



Dlaczego Dominic dopytywał się o ojca Polly? Czy chciał mieć pewność, że namiastka rodziny nie zostanie mu odebrana? Nadejdzie dzień, gdy Polly też zapyta o ojca. Dziecko ma prawo wiedzieć coś o rodzicach.

Kay chciała powiedzieć Dominicowi, że postanowiła wrócić do przeszłości po to, by naprawić popełnione błędy. Oby to pomogło mu pogodzić się z faktem, że Polly nie jest jego dzieckiem.

Przyprowadziła Polly do domu, wysłuchała wieści ze szkoły i nakarmiła. Potem zostawiła ją przy rysowaniu i poszła zatelefonować do szkoły.

Sekretarka pamiętała dawną uczennicę, dzięki czemu szczegółowe wyjaśnienia były zbędne.

Kwadrans później zadzwonił telefon. Kay spodziewała się telefonu ze szkoły, więc zaniemówiła, gdy przedstawił się ojciec Saszy. Wysłuchała go, a potem zawołała:

- Polly, dziadek chce z tobą rozmawiać.

- Ja mam dziadka? A Mark nie ma... Dzień dobry. Czy przyjedziesz na moje urodziny?

Kay zauważyła w drzwiach Dominica.

- Pukałem...

Zdziwiony zerknął na Polly.

- Rozmawia z dziadkiem - wyjaśniła Kay.

- Z hrabią we własnej osobie?

- Tak. Rzekomo przez te wszystkie lata czekał, żebym się odezwała. Bardzo chciał, żebym zadzwoniła. Twierdzi, że wtedy przyjechał, żeby mnie zabrać do domu, zaopiekować się. Potem wysłał ludzi na poszukiwania, a gdy nadszedł czas porodu, dzwonił do różnych szpitali...

- Sasza też czekał na znak od ciebie?

- Ja jestem nieważna. Chodzi tylko o Polly.

- Czyli nie będziesz spotykać się z jej ojcem?

- Sasza nie żyje. Był żołnierzem misji pokojowej.

W ubiegłym roku zginął. - Spojrzała na Polly, rozmawiającą z dziadkiem, jakby od dawna go znała. Skinęła na Dominica i wyszli na ganek. - Szkoda. Gdyby nie moja głupota, Sasza znalazłby córkę. I ona by знаła ojca.

- Gdyby nie jego głupota - gniewnie rzucił Dominic.

- Gdyby wtedy wszyscy okazali więcej serca i rozumu, potoczyłoby się to inaczej. Byliście za młodzi, nieprzygotowani do rodzicielskich obowiązków. - Pragnął przytulić Kay i pocieszyć, a jedynie ujął jej dłonie i mocno uściskał. - Czemu zadzwoniłaś akurat teraz?

Wiedział, ale chciał, żeby sama mu powiedziała.

- Musiałam pokonać strachy i wyjaśnić pewne rzeczy. Powinnam zrobić to wcześniej.

- Dużo rzeczy robimy za późno i ogarnia nas spóźniony żal. Ja najbardziej żałuję tego, że tyle czasu spędzałem na zebraniach ciągnących się do późnego wieczora. A powinienem był siedzieć w domu.

- Wszyscy bezmyślnie trwonimy czas. Gdybyśmy wiedzieli...

- Trzeba uczyć się na błędach. Musimy traktować każdą chwilę jak bezcenny dar. Czy chodzi o podpisanie umowy wartej miliony, czy o taniec z kobietą, z którą, jeśli szczęście dopisze, zawsze będziemy słyszeć te same melodie. Człowiek nie powinien niczego trwonić.

- Jakie to trudne - rzekła Kay półgłosem.

- Zostawię cię teraz. Jesteś potrzebna Polly, bo będzie miała dużo pytań. Przyniosłem kilka zdjęć. - Podał dużą kopertę. - Obejrzyj w wolnej chwili. Potem porozmawiamy.

- O czym?

- O przeszłości i przyszłości. - Pragnął otoczyć ją ra-

mionami jak łańcuchem, który złączy ich na zawsze. -

O nas. Do zobaczenia.

Kay zajrzała do koperty i wyjęła jedno kolorowe zdjęcie.

- Gdzie pan Dominic?

- Poszedł do domu.

Kay wyobrażała sobie, że Sara Ravenscar była szczupłą, ciemnowłosa. Bardzo elegancka, bo o tym świadczyły jej suknie. Lecz jako ogrodniczka musiała mieć brudne paznokcie i poplamione ubranie.

- Czemu już poszedł?

- Kto? Aha. Bo nie mógł zostać.

- Szkoda, ale powiemy mu jutro.

- O czym?

- O dziadku. Kto to?

- Żona pana Dominica.

Znalazł zdjęcia podczas robienia porządków i... I co? Uświadomił sobie swój błąd? Dlaczego przyniósł fotografie żony? Czemu nic nie wyjaśnił?

- Gdzie ona jest?

- W niebie.

- Jak mój tatuś?

- Dziadek ci powiedział?

- Tak. Obiecał, że przyśle zdjęcie. Czeka na adres.

- Co? Jeszcze chce rozmawiać?

Pobiegła do telefonu, przeprosiła hrabiego i obiecała wysłać zdjęcie Polly. Potem rozłożyła na stole wszystkie fotografie z koperty.

Sara była idealnie piękna, wysoka, smukła. Włosy miała jak słoneczne promienie, skórę bez skazy. Kobiety o takiej urodzie są piękne do końca życia i w starszym wieku też wzbudzają zachwyt.

- Czy wyglądał jak pan Dominic?

- Kto?

- Tatuś.

- Nie. Miał jasne włosy... Czemu pytasz?

- Myślałam, że żenisz się z nim, bo jest podobny do tatusia.

- Kto ci powiedział, że za niego wychodzę?

- Wszyscy mówią. Mama Angeli widziała, jak go całowałaś.

- Też coś!

- Nie szkodzi, że nie jest podobny do tatusia, bo ty nie jesteś podobna do tej pani. Prawda?

- Prawda.

Kay wybrała numer komórki Dominica. Odezwał się natychmiast.

- Dlaczego pierwszego dnia myślałeś, że jestem Sarą?

- Gra światła. Zmęczenie. Cud. Wszystko razem.

- Omówmy najpierw teorię cudu.

- Bardzo chętnie, bo to moja ulubiona. Ale gdybym nie był piekielnie zmęczony, do pomyłki nie wystarczyłaby turkusowa bluzka i słomkowy kapelusz.

- A widzisz.

- W związku z tym ja bym cię nie pocałował, a ty nie przyszłabyś za mną do domu i nie dałabyś mi herbaty, którą wzgardziłem. Nie miałbym za co cię przeproszać i nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby zaangażować jako ogrodniczkę panią Kay... Katie... Katherine.

- Rozumiem.

Pomyślała, że powtarzał jej imię bardzo często, jak gdyby dawał dowód, że wie, kogo całuje, z kim tańczy. Uśmiechnęła się promiennie.

- Jesteś niezwykłą, cudowną, piękną Katherine, którą uwielbiam.

Odwróciła się zdziwiona, że głos dochodzi od drzwi.  
Dominic wszedł do kuchni.

- Kocham cię, Katherine. Zostaniesz moją żoną?

- Mamusiu! - zawołała Polly. - Będę druhną?

- Nie. - Kay spojrzała na Dominica. - Nie mogę wyjść za ciebie.

- Dlaczego?

- Bo przed ślubem ludzie muszą dobrze się poznać, a my spotkaliśmy się niedawno.

- Ten czas liczy się podwójnie.

- Jak dla kogo!

- Masz zamiar kłócić się ze mną?

- Nie.

- Słusznie. Lepiej wyjść za mnie.

- Nie mogę. Mam za dużo obowiązków: firmę, która dopiero się rozkręca, dziecko, które się rozwija, i klientów, którzy dużo wymagają. A najważniejsze, że nie chcę mieć męża, który często wyjeżdża na koniec świata. Nie mogłabym spać ze zmartwienia.

- Naprawdę martwiłabyś się o mnie?

Zbliżył się o dwa kroki, a Kay zaschło w gardle.

- O każdego bym się martwiła.

- Może poślubisz mnie, żeby uchronić przed niebezpieczeństwem?

- To nieuczciwe posunięcie.

- Nie zamierzam grać uczciwie. Wykorzystam całą przewagę, jaką mam. Czy dobrze rozumiem, że nie chcesz być moją żoną ze strachu, że wpakuję się w jakieś tarapaty i nie będziesz mogła spokojnie spać?

- Ehem.

- A jeśli odstąpię dalekie wojaże innym i nie ruszę się z domu? Jeśli rozszerzę swe zainteresowania, żeby objąć

nimi tutejszych młodych ludzi, którzy potrzebują wsparcia? Czy to usunie główną przeszkodę?

- Naprawdę zamierzasz coś takiego zrobić?

- Zależy od ciebie.

- To nieuczciwe. - Pożałowała, że nie wysunęła innych zastrzeżeń. - Skąd masz pewność, że nasze małżeństwo będzie udane? Po co ten pośpiech?

- To co, mamy czekać, żeby czas nadażył za naszymi uczuciami? Romantyczne nocne spotkania i pożegnania o bladym świetle rozbawią całą wioskę, dostarczą tematu do plotek.

Kay wbiła wzrok w podłogę, jakby zobaczyła tam coś nadzwyczaj ciekawego.

- Wprowadzisz się do mnie czy ja do ciebie? Co ci potrzebne do szczęścia?

- Miłość,

- Już jest.- Dominic chwycił ją na rękę. - Bierzemy ślub, Katherine.

Powiedział to przytłumionym głosem, w którym zabrzmiała nuta trafiająca prosto do serca. Tym razem Kay nie dyskutowała, nie sprzeciwiała się, lecz po prostu zapytała:

- Kiedy?

- Gdy w ogrodzie stanie nowa altana.

- To potrwa kilka miesięcy.

Dominic uśmiechnął się przewrotnie.

- Przecież chciałaś czekać, żeby lepiej mnie poznać. Razem wybierzemy pierścionek zaręczynowy, a na razie mam dla ciebie tylko taki prezent. - Wyjął z kieszeni etui, a z niego zegarek. - Niech nam przypomina, że nie wolno tracić ani sekundy.

Dom rozbrzmiewał śmiechem dzieci grających w hałaśliwą grę, która polegała na utrzymaniu balonu w powietrzu. Dominic i Jake stali z boku i czasami też podbijali balon.

- Patrz na nich, bawią się jak dzieci - rzekła Amy.

- Mężczyźni nigdy nie dorastają. W każdym tkwi chłopiec chętnie wymykający się spod kontroli.

- Święta prawda. - Kay uśmiechnęła się znacząco. - Kiedy wyjawisz tajemnicę?

- Jaką? - spytała Amy z niewinną miną.

- Ostatnio stale jesteś rozpromieniona.

- Z natury jestem bardzo pogodną osobą. Ale zdradzę ci, że jestem w ciąży.

- Cudownie. - Kay serdecznie ucałowała przyjaciółkę. - Życzę, żebyś tym razem urodziła dziewczynkę.

- Chciałabym, ale to właściwie jest bez znaczenia. -

Amy położyła rękę na brzuchu. - Tak długo staraliśmy się o kolejne dziecko, że płeć jest obojętna.

Balon pękł z hukiem, dzieci krzyknęły jeszcze głośniej i w tym momencie w drzwiach stanął dystyngowany starszy pan.

- Dzień dobry. Czy tutaj odbywa się przyjęcie urodzinowe panny Polly Lovell? - zapytał. - Nie jestem intruzem, ponieważ otrzymałem zaproszenie.

Pokazał bilecik, który Kay wydrukowała na nowym komputerze, kupionym na raty. Były tam wykaligrafowane przez jubilatkę słowa: „Kochany Dziadku, całuję, Polly”.

Kay była mile zaskoczona, a jednocześnie obawiała się reakcji Dominica. Co pomyśli o nagłym pojawieniu się hrabiego? Odwróciła się i zobaczyła, że Dominic bierze na ręce onieśmiałą Polly. Kay z wrażenia zaniemówiła, a on zręcznie dokonał prezentacji.

Polly prędko odzyskała pewność siebie i zabrała dziadka, aby pokazać mu prezenty. Hrabia podarował jej złoty medalion ze zdjęciem ojca.

Dominic wziął Kay pod rękę i szepnął:

- Jedno spotkanie przeszło gładko. W przyszłym tygodniu jedziemy do mojej rodziny.

- Do twoich rodziców?

- Tak. - Uśmiechnął się promiennie. - Zaprosisz hrabiego na nasz ślub?

- Zaraz to zrobię.

Pewnego styczniowego dnia do kościoła w Upper Haughton przybyli mieszkańcy wioski oraz goście zaproszeni na ślub Katherine Lovell i Dominica Ravenscara. Panna młoda, w długiej kremowej sukni, widziała jedynie swego przyszłego męża.

Wieczorem państwo młodzi wyszli przed dom. Kay spojrzała na gwiazdy i westchnęła.

- Myślałam, że pocałunek niczego nie zbudzi do życia, a zbudził nie tylko rośliny.

- Pocałunek ze szczerego serca czyni cuda. Chcesz się przekonać?

- Oczywiście.



**Liz Fielding**

**Niecodzienny spadek**  
*(A Wife on Paper)*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jego brat się spóźniał. Restauracja była potwornie zatłoczona, w dodatku panował tu nieznośny hałas. Guy nie cierpiał tych modnych lokali ani ich bywalców. Zaczął już żałować, że nie znalazł wymówki i nie wykręcił się od spotkania. Kiedy poczuł podmuch zimnego powietrza, odwrócił głowę z nadzieją, że jego męczarnie wkrótce dobiegną końca. Niestety to wciąż nie był Steve.

W progu stała młoda kobieta. Blask padający z baru oświetlał jej sylwetkę na tle panujących na zewnątrz ciemności.

Nagle czas stanął w miejscu. Ziemia przestała się kręcić, ruch wokół zamarł...

Wydawało się, że wiatr, który potargał złote włosy dziewczyny, wpadł za nią do środka i zmusił gości, by odwrócili się w jej stronę. Teraz wszyscy wpatrywali się w nią jak zauroczeni. Być może dlatego, że była roześmiana, zupełnie jakby biegała po deszczu dla zabawy... Albo też dlatego, że wydawała się tak świeża jak powietrze, które z sobą wniosła.

Kiedy przegarnęła palcami włosy, krótka sukienka podjechała do góry, odsłaniając szczupłe uda. Opuściła ramiona, a wtedy dekolt sukienki wrócił na miejsce, odkrywając fragment ciała, które powabnie rysowało się pod przylegającą tkaniną.

Prawdę mówiąc, wcale nie była piękna. Jej nosa z pewnością nie można było nazwać klasycznym, usta wydawały się zbyt duże. Za to srebrzystoszare oczy wyglądały, jakby rozświetlał je od wewnątrz blask, który przyćmiewał urodę innych kobiet.

Serce zaczęło mu bić szybciej. Miał wrażenie, jakby stanął twarzą w twarz z przeznaczeniem. Jakby w tej właśnie chwili poznał cel swojej egzystencji.

Powoli podniósł się, a wtedy go dostrzegła. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, uśmiech zamarł na jej ustach. Zdążył pomyśleć, że musiała poczuć to samo co on, gdy w progu restauracji stanął jego brat. Zamknął drzwi, objął dziewczynę w pasie i przyciągnął ją do siebie.

Guy poczuł, jak robi mu się gorąco. Z trudem powstrzymał pragnienie, żeby odepchnąć Steve'a i zażądać wyjaśnień, jakim prawem pozwala sobie na taką poufałość. Niestety wyjaśnienie narzucało się samo. Steve oznajmiał całemu światu, a przede wszystkim bratu, że ta kobieta należy do niego. Jakby obawiając się, czy ten gest wystarczy, rozciągnął usta w uśmiechu i powiedział:

– Cieszę się, Guy, że znalazłeś trochę czasu. Bardzo chciałem, żebyś poznał Franceskę. – Patrzył na nią z miną człowieka, który wygrał główny los na loterii. – Zamierzamy razem zamieszkać. Będziemy mieli dziecko.

– Panie Dymoke... – Drgnął, gdy czyjaś ręka dotknęła jego ramienia. Otworzył oczy i zobaczył nad sobą uśmiechniętą twarz stewardesy. – Zaraz będziemy lądować.

Przetarł twarz dłońmi, próbując odgonić resztki snu, który nawet po trzech latach nie przestawał go dręczyć.

Podniósł oparcie fotela, zapiął pas i rzucił okiem na zegarek. Miał nadzieję, że zdąży na czas.

Guy Dymoke był pierwszą osobą, jaką ujrzała, wysiadając z auta. Niewątpliwie wyróżniał się w tłumie: wysoki, o szerokich ramionach, mocno opalonej twarzy i ciemnych włosach. Sprawiał, że wszyscy wokół wyglądali jak dwuwymiarowe postacie na czarnobiałej fotografii.

Nie zdziwiło jej, że zostawił wypełnione pracą życie i przyjechał z jakiegoś odległego miejsca na ziemi, aby wziąć udział w pogrzebie przyrodniego brata. Zawsze bezwzględnie przestrzegał wszelkich zasad.

Zdumiało ją jednak to, że miał odwagę pokazać się tu po trzech latach, podczas których nie tylko ich nie odwiedził, ale nawet się nie odezwał.

Jej twarz, która wyglądała jak nieruchoma biała maska, nie zdradzała żadnych emocji. Mijała go właśnie, gdy usłyszała swoje imię.

– Francesko...

Powiedział to tak łagodnie. Dławienie w gardle nagle stało się nie do zniesienia. Czuła, że jeszcze chwila i się załamie...

Uratował ją gniew.

Jakim prawem tu przyjechał? Jak śmiał udawać współczucie? Kiedy Steven jeszcze żył, nie pofatygował się nawet, żeby podnieść słuchawkę telefonu. Wtedy przynajmniej miałyby to jakieś znaczenie.

Czy naprawdę się spodziewał, że się przy nim zatrzyma? Że zamierza wysłuchiwać jego zdawkowych kondolencji albo pozwoli, by wziął ją za rękę i usiadł obok niej w kościele?

– Hipokryta! – rzuciła i przeszła obok, nie zaszczyciwszy go nawet jednym spojrzeniem.

Wyglądała bardzo mizernie. W niczym nie przypominała młodej kobiety, której widok w jednej chwili zmienił jego życie.

Stała w drzwiach kościoła, przyjmując kondolencje. Blade

październikowe słońce podkreślało przezroczystość jej cery. Wydawała się taka opanowana i zrównowazona. Jedynie wtedy, gdy wymówił jej imię i na jej policzkach pojawił się rumieniec gniewu, przez chwilę była znów sobą. Teraz po prostu weszła w rolę, którą musiała odgrywać, żeby przetrwać ten koszmar.

Trzymał się z tyłu, czekając, aż pozostali uczestnicy pogrzebu odejdą. Dopiero wtedy wyszedł z kościoła. Z pewnością wiedziała, że tak długo tam stał, być może czekała na wyjaśnienia lub przeprosiny. Tylko co właściwie miałby jej powiedzieć?

Nie było słów, którymi dałoby się wyrazić jego uczucia. Strata, ból... i żal, że wtedy, gdy ostatni raz widział się z bratem, Steve pokazał się z najgorszej strony. Och, jego zachowanie z pewnością było celowe. Zaplanował to, aby go rozgniewać. A on był na tyle głupi, że dał się sprowokować.

Biedna Francesca, straciła człowieka, którego kochała, ojca swojego dziecka...

W końcu do niej podszedł.

– Przykro mi, Francesko, że nie zdołałem przyjechać wcześniej. Żałuję, że nie mogłem chociaż trochę cię wyręczyć.

– Och, nie musisz przeproszać. Twoja sekretarka proponowała mi pomoc. Jednak pogrzeb to sprawa rodzinna, nie ma tu miejsca dla obcych.

Nie chodziło mu o pogrzeb, lecz o te wszystkie miesiące, kiedy Steve umierał, a on był na drugim końcu świata, nieświadom rozgrywającej się tragedii. Kiedy otrzymał wiadomość o chorobie brata, było już za późno.

– Wiele dni trwało, nim dotarłem do lądowiska. Przyjechałem tu prosto z terminalu.

Obrzuciła go zimnym spojrzeniem.

– Niepotrzebnie się fatygowałeś. Przez trzy lata całkiem dobrze radziliśmy sobie bez ciebie. Ostatnie pół roku nie miało już znaczenia.

Jej głos także był zimny. Słowa niczym lodowy sztylet dźgały go prosto w serce. Jednak to nie on był ważny ani jego uczucia. W tym momencie liczyła się tylko ona. Prawdę mówiąc, od trzech lat na nikim więcej mu nie zależało. Tego jednak nie mógł jej powiedzieć.

– Z tobą wszystko w porządku?

– W porządku? – powtórzyła wolno. – Jak ma być „w porządku”? Steven nie żyje. Tobie nie ma ojca...

– Finansowo – wyjaśnił, choć zdawał sobie sprawę, że tylko pogarsza sytuację.

Przez chwilę mierzyła go pełnym pogardy wzrokiem.

– Powinam się domyślić, że ciebie interesują wyłącznie takie sprawy. Uczucia są według ciebie nieważne, prawda?

– Sprawom praktycznym też trzeba poświęcać uwagę, Francesko.

– Nie musisz się o nas martwić. No więc tak... Według twoich standardów rzeczywiście wszystko jest „w porządku” Dom, polisa na życie... O to ci chodzi, prawda? – Wypowiedziawszy te słowa, odwróciła się i odeszła do czekającej limuzyny. Kierowca otworzył drzwiczki, ale nie wsiadła od razu. Stała z pochyloną głową, jakby zbierała siły przed czekającą ją ciężką próbą. Po kilku chwilach wyprostowała się, lekko wzruszyła ramionami i rzuciła:

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli też pojedziesz do domu. Przynajmniej zachowamy pozory.

Zdawał sobie sprawę, że to zaproszenie w żadnym razie nie oznaczało ocieplenia stosunków, jednak bez wahania z niego skorzystał.

– Dziękuję – powiedział, posłusznie wsiadając za nią do samochodu.

– Nie zapomniałam, że Steven był twoim bratem. Nawet jeśli ty o tym nie pamiętasz. – Przesunęła się w najdalszy kąt, maksymalnie zwiększając dzielący ich dystans.

– Przykro mi, że mnie tutaj nie było... Znów rzuciła mu lodowate spojrzenie.

– Przemawia przez ciebie poczucie winy. Gdyby ci rzeczywiście na nim zależało, przyjechałbyś wcześniej. Czemu tego nie zrobiłeś? – rzuciła wyzywająco. W zacienionym wnętrzu limuzyny dostrzegł, że jej policzki pokryły się lekkim rumieńcem. Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, po czym z lekkim wzruszeniem ramion zmieniła temat. – To był wyjątkowo złośliwy nowotwór. Nikt nie spodziewał się, że zabierze Steve’a tak szybko.

Instynktownie wyciągnął rękę, żeby ją pocieszyć. W porę dostrzegł w jej oczach błysk ostrzeżenia.

– Był taki pewien, że przyjedziesz – powiedziała cicho.

– Nie jestem jasnowidzem.

– Nie. Jesteś obojętny, jak obcy człowiek. Powstrzymał pragnienie, żeby się bronić. Potrzebowała kogoś, kogo mogłaby oskarżyć o to, co się stało, a on okazał się wygodnym chłopcem do bicia. Skoro nie mógł jej pomóc inaczej, przynajmniej weźmie na siebie winę.

Kiedy się nie odzywał, odwróciła wzrok i zapatrzyła się przez okno, jakby wolała przyglądać się mijanym budynkom, niż patrzeć na niego. Z jej ust wyrwało się ciche westchnienie, kiedy samochód skręcił w elegancką ulicę, wzdłuż której stały luksusowe białe domy.

Limuzyna zatrzymała się przy krawężniku. Zawahał się przez moment, niepewny, czy powinien pomóc jej przy wysiadaniu. Jednak gdy stanęła na chodniku, ugięły się pod nią nogi, więc nie zastanawiając się dłużej, chwycił ją pod łokieć. Wtedy poczuł, jaka jest wątła i krucha.

– Czy nie będzie lepiej, jeśli zrezygnujesz z udziału w stypie? – spytał.  
– Mogę się tym zająć.

Gdyby zaproponował to ktoś inny, prawdopodobnie pozwoliłaby sobie pomóc. Teraz jednak wzięła się w garść i odrzuciła jego wsparcie.

– Steven dawał sobie radę bez ciebie, więc ja też mogę. – Szybkim krokiem pokonała kilka schodków i weszła do środka, żeby wziąć udział w smutnym spotkaniu.

Franceska zatrzymała się w wejściu do salonu, próbując odzyskać oddech. Nigdy w życiu nie czuła się tak samotnie. Nie mogła się powstrzymać, rzuciła okiem na Guya. Na krótką chwilę ich oczy się spotkały i wtedy dojrzała ból malujący się w jego spojrzeniu. Szybko pokonała ogarniające ją poczucie winy. Zależało jej na tym, żeby go zranić, ukarać za to, że go tu nigdy nie było. I nie chodziło tylko o Stevena...

Ktoś wypowiedział jej imię, objął ją ramieniem. Dała się wciągnąć w to przedstawienie, podczas którego prawie obcy ludzie wyrażali swoją troskę. W tej chwili nie wydawało się ważne, jak płytkie były ich uczucia, jak puste obietnice wsparcia.

Ciągle czuła na ręce dotyk jego palców. Roztarta ramię, potrząsając głową, jakby chciała w ten sposób wymazać jakiś obraz i odzyskać jasność widzenia. Nie mogła myśleć wyłącznie o sobie. Byli tu przecież ludzie, którzy potrzebowali zapewnienia, że nie stracą pracy. Chcieli dowiedzieć się, jaka będzie przyszłość firmy Stevena. Przez kilka miesięcy cedowała te sprawy na innych, teraz jednak należało podjąć jakieś decyzje. Ale na pewno nie dzisiaj...

Dzisiaj musiała skupić się na tym, żeby wszyscy dostali drinka, coś do jedzenia, żeby przyjaciele Stevena znaleźli chwilę na garść wspomnień. A przede wszystkim musiała unikać Guya Dymokea.

– Fran?

Podskoczyła, gdy usłyszała swoje imię. Z trudem wróciła do rzeczywistości.

– Czy wszystko odbyło się bez przeszkód? Spojrzała na kuzynkę i zmusiła się, żeby przywołać na twarz pokrzepiający uśmiech.

– Tak, ceremonia miała godną oprawę i przebiegła jak należy. Dziękuję, Marty.

– Powinnaś pozwolić, żebym z tobą pojechała.

– Wolałam, by Toby był z kimś, kogo kocha. – Nagle ogarnęła ją panika. – Gdzie on jest?

– Był trochę marudny, więc Connie zabrała go na górę i położyła do łóżeczka. Jeśli nam dopisze szczęście, powinien przespać całą stypę.

– Oby. – Za godzinę powinno być już po wszystkim. leszcze jedna godzina... Tyle powinna wytrzymać. Nie wolno jej się załamać, nie w obecności Guya Dymokea.

Guy przyglądał się, jak opiekuńczo trzyma dłoń szczupłej kobiety siedzącej na wózku inwalidzkim, jak troszczy się o przybyłych gości. Była doskonałą gospodynią, pilnowała, czy każdy dostał drinka i coś do jedzenia, jednocześnie cały czas udawało jej się trzymać go na dystans. Zdawało się, że dysponuje szóstym zmysłem, który ostrzegał ją, kiedy tylko za bardzo się do niej zbliżał.

Postanowił jej to ułatwić. Odszukał przyjaciół brata, których pamiętał z dawnych lat, przedstawił się tym, którzy go nie znali, porozmawiał z prawnikiem rodziny Tomem Palmerem o ustaleniach w sprawie odczytania testamentu. Jako wykonawca ostatniej woli brata będzie musiał przy tym być bez względu na to, czy zostanie zaproszony. Zresztą chciał się upewnić, że Franceska i jej syn naprawdę są zabezpieczeni.

– Nic nie jesz.

Obrócił się i napotkał spojrzenie kobiety na wózku, która podsuwała mu talerz z kanapkami.

– Dziękuję, nie jestem głodny.

– Nie przyjmuję żadnych wymówek. To należy do rytuału – odparła. – Zwykła reakcja człowieka na myśl o własnej śmiertelności. Potwierdzenie, że życie toczy się dalej. Rozumiesz? Jemy, pijemy i czujemy wdzięczność, że tym razem to ktoś inny wpadł pod autobus. Mówiąc w przenośni.

– W tym przypadku byłoby znacznie mniej zmartwienia, gdybym to ja wpadł pod ten autobus. Używając twojej przenośni.

– Tak mówisz? – Uniosła brwi z zaciekawieniem. – W takim razie zgaduję, że jesteś Guyem, bogatym bratem, o którym tak wiele się mówi. Nie jesteś podobny do Stevena – dodała, nie czekając na potwierdzenie.

– Jesteśmy przyrodni braćmi. Z jednego ojca i różnych matek. Steven jest... był podobny do swojej matki.

– Cóż... Chyba nie powinno się mówić źle o zmarłym na jego własnym pogrzebie – rzuciła dość obojętnym tonem. Nie czekając na jego reakcję, przedstawiła się: – Jestem Marty Lang. – Wyciągnęła rękę. – Kuzynka

Franceski. No więc w czym tkwi tajemnica? Czemu się dotąd nie poznaliśmy?

– To żadna tajemnica. Jestem geologiem i mnóstwo czasu spędzam w odległych rejonach świata. – Nie chciał rozwodzić się nad tym, dlaczego nie odwiedzał brata podczas pobytów w Londynie, więc szybko dodał: – Francesca musi być szczęśliwa, że ma tu ciebie. Z tego co wiem, jej rodzice mieszkają za granicą.

– Owszem. I to na dwóch różnych półkulach, żeby uniknąć rozlewu krwi.

– Nie rozumiem, dlaczego nie pojawiła się jego matka. – Matka Stevena była drugorzędną aktorką i nigdy nie przepuszczała okazji, żeby pokazać się na zdjęciach. – W czarnym jej przecież do twarzy.

– Przysłała kwiaty i usprawiedliwiła się, dlaczego nie może przyjechać. Może i jestem cyniczna, ale moim zdaniem po prostu uznała, że przyznawanie się do syna, który zrobił z niej babcię, nie poprawi jej wizerunku.

– To faktycznie mogłoby ją postarzyć – przytaknął. – Chyba nie jest stworzona do roli babci. Zresztą nie była też dobrą matką. – Za każdym razem, kiedy Steven wpadał w jakieś tarapaty, jego matka urządziła ojcu potworne awantury. Nie umiała mu wybaczyć, że z powodu ciąży musiała zrezygnować z jakiejś roli. Guy przypominał sobie rozpaczliwe łkanie nieszczęśliwego braciszka, który długo nie mógł dojść do siebie, gdy dowiedział się, że mama już nie wróci.

– Cieszę się, że Francesca może dziś liczyć na twoją pomoc – odezwał się.

– Ona była przy mnie, kiedy omal nie pożegnałam się z życiem w wypadku drogowym. – Uśmiechnęła się drwiąco. – No, ale ponieważ mieszkam w suterenie, nie muszę się specjalnie wysilać, żeby tu przyjść.

– W suterenie?

– Pośrednicy nieruchomości nazywają to chyba przyziemem. Od frontu jest kuchnia, łazienka i wejście dla gości, którzy mogą chodzić po schodach, ale z tyłu grunt się obniża. Salon i atelier są na poziomie ziemi, więc mogę łatwo dostać się do ogrodu i garażu. Nie mogę co prawda chodzić, ale wciąż prowadzę samochód.

– Znam rozkład domu – powiedział, chociaż wzmianka o atelier zaskoczyła go. – Kiedyś mieszkała tu moja babcia ze strony matki – wyjaśnił, widząc w jej oczach zdumienie.

– Naprawdę? Nie wiedziałam o tym. Myślałam, że Steven zapłacił... – Najwidoczniej uznała, że wkracza w sprawy, które z pewnością nie



powinny jej interesować.

– Chciałam powiedzieć... Cóż, jestem całkowicie samowystarczalna i zdarza się, że całymi dniami nikogo nie widuję. Fran przekonała Stevea, że samodzielne mieszkanie tylko podniesie wartość domu.

– Na pewno miała rację.

– Uroda nie jest jej jedynym atutem... Oczywiście pokryłam koszty przebudowy.

– Jasne.

– Jesteś pewien, że nie zdołam cię namówić na jedną z tajemniczych kanapek Connie?

– Kim jest Connie?

– Jeszcze jednym z kulawych kaczątek Franceski. Niezbyt dobrze radzi sobie z angielskim i nie zawsze odróżnia krem cytrynowy od majonezu, więc jej potrawy mogą być trochę ryzykowne...

– W takim razie tym bardziej podziękuję – zdecydował.

– Nie jestem głodny.

Uśmiechnęła się.

– Gdzie podział się twój duch przygody?

– Został na moczarach. Musi trochę odpocząć.

– Rozumiem. – Rozejrzała się po zatłoczonym salonie.

– Boże, oni tu chyba zapuścili korzenie. Muszę trochę się pokręcić. Wózek inwalidzki sprawia, że ludzie zaczynają czuć się niezręcznie i nagle ruszają do wyjścia. Boję się, że Fran nie zniesie tego dłużej.

Oboje spojrzeli w stronę Franceski. Z wymuszonym uśmiechem i szklistym ze zmęczenia wzrokiem patrzyła na dwóch mężczyzn, którzy wydawali się ją osaczać w kącie pokoju.

– Chyba trzeba ją ratować – powiedział, choć zdawał sobie sprawę, że wolałaby znosić najgorsze tortury, niż przyjąć jego pomoc. – Kim są ci ludzie? Naprawdę nie widzą, że jest u kresu sił?

Matty wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie Steven prowadził z nimi interesy. W ostatnich miesiącach wiele spraw było zaniedbanych.

– Nic dziwnego – mruknął, ruszając w ich kierunku. – My się chyba nie znamy? – powiedział, wyciągając rękę do jednego z mężczyzn, po czym stanął między nim a Franceską, odgradzając ją od natrętów. Nie było to zbyt grzeczne, ale tym się najmniej przejmował. – Jestem Guy Dymoke, brat Stevena. Przez pewien czas byłem poza krajem. Jesteście jego przyjaciółmi?

– Znajomymi. Prowadziliśmy razem interesy. – Mężczyźni przedstawili

się, ale kiedy próbowali szczegółowo wyjaśniać, jakie sprawy łączyły ich z jego bratem, przerwał im zdecydowanie.

– Miło z panów strony, że poświęciliście dziś tyle cennego czasu.

– Nie ma sprawy! Właśnie pytałem...

– To nie jest właściwy moment. Proszę zadzwonić do mnie – zaproponował, wręczając mężczyźnie wizytówkę.

Miał nadzieję, że Francesca skorzysta z okazji i wymknie się stąd, ona jednak stała jak wmurowana.

– Jak właśnie mówiłem pani Lang – podjął uparcie mężczyzna, udając, że nie rozumie aluzji – sprawa jest dość nagląca, a nikt w biurze nie potrafi...

Tym razem przerwał w pół zdania, gdy Matty zaczęła wózką o jego nogę.

– Ojej, przepraszam! Wciąż mam problemy z kierowaniem tym pojazdem – powiedziała, po czym zwróciła się do kuzynki: – Fran, kochanie... – Musiała chwilę poczekać, nim Francesca zareagowała. – Jesteś potrzebna w kuchni.

– Tak, już idę. – Otrząsnęła się z zamyślenia i nagle dostrzegła Guya. To wystarczyło, żeby podjęła decyzję. – Proszę mi wybaczyć...

– Ale... To pilna sprawa, naprawdę muszę...

– Nie w tym momencie. – Guy złagodził ostry ton uśmiechem. Zdecydowanie skierował ich w stronę wyjścia. – Francesca z pewnością docenia waszą obecność, ale przeżywa bardzo trudne chwile. Proszę omówić wszystkie problemy ze mną.

W końcu zrozumieli, że nie uda im się nic wskórać.

– Palanty – rzuciła Matty, odprowadzając ich wzrokiem. Jeden z mężczyzn wyraźnie utykał. – Mogę cię prosić, żebyś pozbył się reszty maruderów? Ja tymczasem zaparzę herbatę.

Nikt jej nie potrzebował, chociaż przyszła w samą porę, żeby powstrzymać Connie przed władowaniem kryształowych kieliszków do zmywarki. Dopiero teraz zrozumiała, że Matty chciała jej w ten sposób pomóc. To samo zrobił Guy, chociaż wzdragła się na myśl, że miał również jakieś pozytywne cechy charakteru.

Wkrótce goście zaczną wychodzić. Powinna tam wrócić, ale bała się, że nie zniesie dłużej tego napięcia. Po oczach ludzi widziała, że pod ich uprzejmymi kondolencjami kryją się niewypowiedziane pytania. Było im przykro, wyrażali swoje współczucie, ale przede wszystkim martwili się o własną przyszłość. Czy firma będzie nadal funkcjonować? Czy zachowają

pracę? Musieli myśleć o sobie, tak jak ci dwaj nietaktowni krety, którzy bez wątplenia chcieli się dowiedzieć, kiedy dostaną swoje pieniądze.

Niestety, to były pytania, na które zupełnie nie знаła odpowiedzi.

Przyszło jej do głowy, że została właścicielką firmy, o której nie miała zielonego pojęcia. Po urodzeniu Toby'ego wspomniała kilkakrotnie o powrocie do pracy, jednak Steven uważał, że ma wystarczająco dużo zajęć przy prowadzeniu domu i wychowaniu synka. Wziął utrzymanie rodziny na swoje barki.

Powstrzymując łkanie, zwinęła się w kłębek na zapadającej się kanapie, która stała w rogu kuchni. Przez wiele dni nie myślała o takich sprawach, wiedziała jednak, że po pogrzebie będzie musiała stawić czoło bieżącym problemom. Ale jeszcze nie w tej chwili. Nie dzisiaj.

Guy zamknął drzwi za ostatnim z żałobników, po czym ruszył do kuchni na poszukiwanie Franceski. Wątpił, czy będzie chciała przyjąć jego pomoc, lecz mimo to postanowił zostawić Matty swój numer. Kuzynka Franceski wydawała się wystarczająco bystra, by zadzwonić, jeśli...

Piłka potoczyła się prosto pod jego nogi. Odwrócił głowę i stanął twarzą w twarz z chłopczykiem, który zatrzymał się na podeście schodów. Nie było wątpliwości, kim jest malec. Miał w sobie coś ze Steve'a, nos, który odziedziczył po dziadku, i złote włosy matki.

Guy schylił się po piłkę, lecz przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć głosu, więc po prostu stał, trzymając ją w ręce.

Chłopiec zeskakiwał na dół po jednym stopniu i nagle onieśmielony stanął w połowie drogi. Guy przełknął ślinę i w końcu udało mu się wykrztusić:

– Cześć, Toby.

– Kim jesteś? – spytał zdziwiony malec. Przytrzymując się barierki, pokonał następny schodek. – Skąd wiesz, jak się nazywam?

Imię bratanka przeczytał w wycinku prasowym, który przysłała mu sekretarka.

Franceska Lang i Steve Dymoke z dumą zawiadamiają o narodzinach syna Tobiasa Langa Dymokea.

Wysłał im zabytkową srebrną grzechotkę, pamiątkę rodzinną, którą powinien dostać jego pierworodny. Miał nadzieję, że w ten sposób przekona Steve'a, jak bardzo go ceni. Jednak podarunek nie został przyjęty. Przesłanie było całkiem jasne. Trzymaj się z daleka.

– Jestem twoim wujkiem. Na imię mam Guy. – Podał dziecku piłkę. Chłopiec sięgnął po zabawkę, jednak w tym momencie stracił równowagę,

a zaraz potem Guy mocno trzymał go w ramionach.

– Co robisz?! Toby, przestraszony podniesionym głosem matki, rozpląkał się.

– Oddaj mi go! – Gwałtownie wyrwała mu dziecko, a kiedy mocno objęła synka, zupełnie się rozkleiła. – Co ty wyprawiasz? Wydaje ci się, że skoro Steven nie żyje, masz prawo wchodzić do jego domu jak do siebie, brać na ręce jego syna...

– Toby stracił równowagę, chwyciłem go, żeby nie upadł. – Zamierzał jeszcze dodać, że wszystko było w porządku, dopóki nie wpadła tu z krzykiem, ale w porę ugryzł się w język. Po co ją jeszcze bardziej denerwować? – Chciałem ci powiedzieć, że wychodzę.

– No to powiedziałaś. A teraz po prostu idź. – Nie siłała się choćby na pozory uprzejmości.

Wiedział, że jest zbyt wzburzona, aby go wysłuchać.

Zresztą nie zamierzał teraz wyjaśniać, dlaczego nie utrzymywał z nimi kontaktu.

– Chcę też, abyś wiedziała, że nie musisz martwić się problemami w firmie. Zajmę się tym, a jeśli będziesz czegoś potrzebowała...

– Niczym nie będziesz się zajmował – oznajmiła, unosząc wyzywająco brodę. – To wyłącznie moja sprawa.

I z pewnością niczego nie będę potrzebować. W drzwiach kuchni pojawiła się Matty.

– Czy ktoś ma ochotę na filiżankę herbaty? – spytała, wodząc wzrokiem od Guya do Franceski. – A może wolicie whisky?

– Może innym razem. Muszę już iść. – Podeszedł do niej, żeby się pożegnać, i korzystając z okazji, wsunął jej do ręki wizytówkę z numerem swojej komórki. – Cieszę się, że mogłem cię poznać, Matty.

– Mówisz to tak, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy i ostatni.

– Guy jest wyjątkowo zajęтым człowiekiem, Matty.

– Zostanę w Londynie przez tydzień lub dwa.

– Aż tak długo? – Pogarda w jej głosie nie budziła wątpliwości. – No cóż, w takim razie nie musimy się martwić, prawda?

Jest na granicy hysterii, pomyślał. Jego obecność z pewnością nie ułatwiała sytuacji. Matty prawdopodobnie też zdała sobie z tego sprawę, bo nagle powiedziała:

– Odprowadzę cię.

– Nie musisz. Guy zna drogę. Ten dom należał kiedyś do niego. Kiedy ceny nieruchomości były najwyższe, sprzedał go Stevenowi. – Dostrzegła zdumienie malujące się na jego twarzy i dodała: – O co chodzi? Myślałeś,

że nie wiem, ile ci zapłacił?

Cóż miał odpowiedzieć? Wyjaśnić, że się myliła? Miał jej tłumaczyć, że ukochany mężczyzna, o którego dbała, którego pielęgnowała w chorobie, okłamywał ją?

– On cię kochał, Guy – powiedziała, gdy skierował się do wyjścia. – Uwielbiał cię. Zawsze potrafił znaleźć dla ciebie usprawiedliwienie. W jego oczach byłeś po prostu bez skazy...

Tak bardzo chciał, żeby to była prawda, ale życzenia niewiele mogły pomóc. Uśmiechnął się do chłopca, który przestał już płakać i teraz spoglądał na niego zza długich, wilgotnych rzęs.

– Do widzenia, Toby – powiedział, czując, że wzruszenie ściska mu gardło. Chłopczyk wyciągnął do niego ręce i podał mu piłkę, którą wciąż trzymał w objęciach.

Nie był pewien, co ma teraz zrobić, a nie mógł liczyć na to, że Francesca mu pomoże. Nigdy wcześniej nie czuł się tak bezradny. W końcu podjął decyzję.

– Dziękuję, Toby – powiedział, odbierając zabawkę. Malec ukrył zawstydzoną buzię na ramieniu matki.

– Zadzwoń jutro, Francesko.

– Nie fatyguj się. – Nie czekając na odpowiedź, wyszła z holu, zabierając dziecko ze sobą.

Guy niechętnie ruszył w stronę wyjścia.

– Czy mogę ci to zostawić? – spytał, podając piłkę Matty.

– Toby dał ci ją, bo ma nadzieję, że tu wrócisz – odparła.

– Jego mama ma inne zdanie na ten temat.

– Być może, ale jakoś nie widzę nikogo innego, kto jest gotów wspierać ją w nieszczęściu...

– Steve był moim bratem.

– Nie widzę też chętnych, którzy pędziliby jej na ratunek przed natrętными wierzycielami – dokończyła, nie zwracając uwagi na to, że jej przerwał. Jej szczupła twarz emanowała inteligencją. Czuł, że zyskał w niej sojusznika.

– A mieli ku temu powody? – spytał. – To znaczy żeby zachowywać się natrętnie?

– Steven nie rozmawiał ze mną na tematy finansowe, ale przecież przez ostatnie pół roku z pewnością nie był w stanie zajmować się interesami.

– Szkoda, że mnie nie zawiadomiła.

– Nie pozwolilby jej. Pod koniec mimo wszystko zadzwoniła do twojego biura, ale już było za późno. A teraz, szlachetny rycerzu, możesz

jedynie zostać w pobliżu i pomóc jej pozbierać się do kupy.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Franceska trzęsa się tak bardzo, że musiała usiąść, zanim nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Powinna była odgadnąć, że Guy poruszy niebo i ziemię, aby zdążyć. Steven powiedział jej kiedyś, że jego brat nie przyjmuje do wiadomości przegranej. Podobno tylko raz w życiu był zmuszony wycofać się i zrezygnować z czegoś, czego pragnął.

– Dlaczego się nie położysz, Fran? Wyglądasz na wykończoną.

– Nic mi nie jest. Gdzie jest Connie?

– Sprząta w salonie.

– Jesteście wspaniałe. Naprawdę nie wiem, co bym bez was zrobiła.

– Chciałabym móc powiedzieć, że najgorsze już za nami.

– Bo przecież tak jest. Jeszcze tylko jutro muszę spotkać się z prawnikiem w sprawie testamentu.

– W każdym razie pamiętaj, że nie jesteś sama – ciągnęła Marty. – Masz mnie i Connie...

– Dam sobie radę, naprawdę. – Tak często ostatnio zmuszała się do uśmiechu i mówienia łagodnym, pokrępiającym tonem, że robiła to niemal automatycznie. Nie wolno jej było niepokoić Matty. Po wypadku kuzynka zaskakująco szybko wróciła do zdrowia, jednak wciąż nie odzyskała pełni sił.

– Connie bardzo chce ci pomóc. Być może boi się, że się gdzieś wyniesiesz i nie zabierzesz jej z sobą.

– Skądże! Nie mogłabym tego zrobić... – Mówiąc to, uświadomiła sobie, że Matty też błaga o słowa otuchy. – Ona przecież należy już do rodziny.

– Oczywiście. To właśnie jej powiedziałam. Guy Dymoke także wygląda na mężczyznę, na którego można liczyć. – Uśmiechnęła się, jakby pomysł wspierania się na Guyu wydał jej się szczególnie interesujący. – Przewidujesz jakieś kłopoty?

Franceska czuła, że opuszcza ją energia. Była doszczętnie wyczerpana, lecz mimo to zdobyła się na szeroki uśmiech.

– A jak ci się zdaje? Muszę poprowadzić firmę, a przecież w ciągu ostatnich trzech lat najbardziej ambitnym zadaniem, jakie na siebie wzięłam, było planowanie menu na przyjęcie.

– Nie przesadzaj. – Matty ujęła dłoń kuzynki i przez chwilę siedziała w milczeniu. – Jednak... muszę to wiedzieć, Fran. Czy szykują się jakieś kłopoty?

Tak bardzo chciała zapewnić ją, że nie. W żadnym wypadku. Tak jak powiedziała to Guyowi. Niestety, na razie niczego nie mogła być pewna. Steven nigdy nie rozmawiał z nią o interesach. Zbywał jej pytania, twierdząc, że nie powinna sobie tym zaprzętać głowy, aż w końcu rzeczywiście poszła za jego radą.

– Na razie nie chcę o tym myśleć – odparła, – Nie dzisiaj. Może napijemy się whisky?

– A co z domem?

Usłyszała strach w głosie kuzynki. Pytanie było uzasadnione, bowiem Matty sporo zainwestowała w remont sutereny. Była utalentowana ilustratorką i dzięki dobudowanemu atelier mogła znów zająć się pracą.

– Zawsze mnie zapewniał, że dom jest zabezpieczony.

– Oby to okazało się prawdą. Jednak jeśli okaże się, że firma jest w tarapatach.

– Przepraszam. To przecież jasne. Tak często powtarzał, że to pałac jego księżniczki. – Matty rozejrzała się wokół.

– Swoją drogą, jak mu się udało zebrać fundusze, żeby kupić go w chwili, gdy nieruchomości osiągnęły takie zawrotne ceny?

– Ojciec zostawił mu trochę pieniędzy. W niczym nie przypominało to fortuny, jaką Guy dostał po swojej matce, jednak wystarczyło na kupno domu. Pragnął dać mi wszystko, co najlepsze.

Zupełnie jakby chciał w ten sposób coś udowodnić. A przecież był tylko jeden człowiek, któremu pragnął zaimponować. .. Niepewna, czy ma czuć ulgę czy wściekłość, że Guy nigdy nie zainteresował się sukcesami odnoszonymi przez brata, oznajmiła zdecydowanie:

– A ten dom właśnie taki był. Najlepszy! Jednak mówiąc to, nie patrzyła kuzynce w oczy.

Guy wrócił do swojego przestronnego i przeraźliwie pustego apartamentu nad Tamizą. Na urządzenie mieszkania na najwyższym piętrze budynku poświęcił wiele czasu i pieniędzy, ale mimo to wciąż nie czuł się tu dobrze.

Napełnił szklankę whisky, zagłębił się w miękkim skórzanym fotelu i utkwiał wzrok w wychodzącym na rzekę oknie. Nie widział ani statków, ani świateł, które pojawiły się w chwili, gdy nad miastem zapadł zmierzch. Przed oczami wciąż miał obraz Franceski Lang. Nie wyglądała tak jak dzisiaj – w posępnym czarnym stroju z włosami upiętymi nad karkiem – lecz jak wówczas, gdy zobaczył ją po raz pierwszy.

Pił powoli whisky, ale alkohol wcale go nie rozgrzewał. Chyba nic na



świecie nie było w stanie go rozgrzać. Ciepło mógł znaleźć wyłącznie w ramionach tej jedynej na świecie kobiety, która dla niego była niedostępna. Kobiety, która dzisiaj patrzyła na niego, jakby zobaczyła wstrętnego robaka, zniecka wypełzającego spod kamienia. Spodziewał się, że powita go chłodno, lecz do głowy mu nie przyszło, że spotka się z jawną wrogością. Każde jej słowo odbierał jak dotkliwy cios. Całe popołudnie zbierał te uderzenia i teraz czuł się bardzo obolały.

Odstawił szklaneczkę, podszedł do okna i oparł czoło o chłodną szybę. Jedyne, co mu pozostało, to wspominać bez końca ich pierwsze spotkanie.

Gdyby umiał przewidzieć, co się święci, miałby się na baczności, jednak w chwili gdy Francesca pojawiła się w restauracji, stracił cały rezon, a także serce. Oślepiła go do tego stopnia, że był zupełnie bezbronny. Oczywiście bystry Steve natychmiast zorientował się w sytuacji i wręcz rozkoszował się faktem, że po raz pierwszy w życiu miał coś, co dla przyrodniego brata jest nieosiągalne.

Nawet go za to nie winił. Pragnął tylko znaleźć się gdzie indziej, jak najdalej od restauracji. Niestety nie miał szans na ucieczkę. Musiał zacisnąć zęby i przetrwać ten koszmar.

Pogratulował Steve'owi, musnął wargami policzek Franceski, witając ją w rodzinie. Do dziś pamiętał męczarnie, jakie wtedy przeżywał.

Bez przerwy w myślach odtwarzał tamten wieczór. Nie potrafił pozbyć się wspomnień, które wracały za każdym razem, gdy zamknął oczy...

Mógł tylko życzyć im jak najlepiej i cieszyć się, że Steve znalazł wreszcie to, czego zawsze szukał. Własną rodzinę. Kogoś, kto go kocha i zawsze będzie przy nim.

Wiedział, że potem będzie musiał jakoś nauczyć się z tym żyć.

Ale jeszcze wcześniej trzeba było się zmusić do prowadzenia normalnej rozmowy.

– Gdzie chcecie mieszkać? – spytał. – Mieszkanie Steve'a jest chyba za małe dla rodziny z dzieckiem.

– Rozglądamy się za czymś odpowiednim... – Steve obojętnie wzruszył ramionami i dodał: – Wczoraj poszliśmy z Fran popatrzeć na dom na Elton Street.

Serce mu zamarło. Zmusił się, żeby spojrzeć na Franceskę.

– Podobał ci się ten dom?

– Jest bardzo piękny – odparła, nie patrząc mu w oczy.

– Z miejsca się w nim zakochała – powiedział Steve dobitnie. – Chciałbym jutro do ciebie wpaść i porozmawiać o tym.

Może zresztą to on unikał patrzenia jej w oczy? Może bał się

powtórzenia momentu, w którym cały jego świat runął w gruzy?

Tym razem jednak odważnie spojrzął jej w twarz.

– Chciałabyś tam mieszkać? – spytał.

– Chyba od razu poczułabym się tam jak w domu – odpowiedziała cicho.

Z wielkim trudem zapanował nad sobą. Tak niewiele brakowało, by przekroczył granice i zaproponował: „Chodź ze mną. Podaruję ci wszystko, czego zapragniesz. Dom, serce, życie...”

– W takim razie jestem pewien, że Steve zrobi wszystko, żeby ci go dać.

– To będzie zależało od ceny. W przeciwieństwie do ciebie, braciszku, nie dysponuję nieograniczonymi środkami.

– Nikt nie ma nieograniczonych środków – odparł. Teraz już zrozumiał, skąd to zaproszenie na kolację. Ostatnio jego brat zadzwonił – prawdę mówiąc, tak było za każdym razem – żeby pożyczyć pieniądze. Teraz najwidoczniej chodziło o to samo.

– Ustaliliście już datę ślubu? – spytał, zmieniając temat. Steve nie próbował naciskać. Najwyraźniej nie chciał, aby Francesca zorientowała się, że prosi brata o pomoc finansową. Zresztą przecież nigdy nie musiał naciskać. Przedstawiał swoje żądania, a poczucie winy, jakie ogarniało Guya, załatwiało resztę.

– Ślubu? Czy któreś z nas mówiło o tym, że zamierzamy się pobrać?

– To chyba oczywiste? – Spojrzął podejrzliwie na Steve’a. – Chyba że jest jakiś istotny powód, dla którego nie możesz tego zrobić? – Uśmiechnął się z trudem. – Czy jest coś, o czym nie wiem?

– Odpręż się, Guy! – Steve roześmiał się. – Nie ukrywam nigdzie żony. Fran jest pierwszą kobietą, z jaką pragnę założyć rodzinę.

– W takim razie w czym tkwi problem? – Gdyby Francesca Lang należała do niego, nic by go nie powstrzymało, żeby przysiąc jej dozgonną miłość przed tyloma świadkami, ilu zdołałby zgromadzić. Najlepiej przed całym światem... – Przecież zamierzacie razem zamieszkać, będziecie mieli dziecko...

– Na miłość boską, posłuchaj samego siebie! W dzisiejszych czasach takie formalności są zupełnie bez znaczenia. To anachronizm. Tylko prawnicy nabijają sobie kieszenie, kiedy coś się popsuje.

Rzucił okiem na Franceskę, ona jednak patrzyła w talerz.

Nie wiedząc, co myśli na ten temat, wzruszył ramionami.

– Sądzę, że nawet w dwudziestym pierwszym wieku można dostrzec jakieś dobre strony małżeństwa. – Właściwie poza przysięgą miłości aż do

śmierci nie byłby w stanie wymienić żadnej z nich. Ale to przyrzeczenie i tak wydawało mu się najważniejsze.

– Może tylko takie, że jest okazja wystroić się i wziąć udział w przyjęciu. Ale w tym celu nie musimy przecież iść do kościoła, nie uważasz? – zakpił Steve. – Chyba pamiętasz, przez co musiał przechodzić tata, gdy się rozwodził z moją matką? Fran ma podobne doświadczenia ze swoimi rodzicami.

– Jesteś w błędzie, jeśli myślisz, że brak ślubu uchroni was przed skutkami rozpadającego się związku. Z kolei gdy w grę wchodzi dzieci i majątek...

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć, ale to dotyczy wyłącznie bogatych. – Nie musiał dodawać „takich jak ty”. Obaj wiedzieli, że tak właśnie pomyślał.

– To oczywiście wasza decyzja. – Francesca przez cały czas siedziała w milczeniu. Ciekawiło go, czy z równym zapałem popiera stanowisko Stevea, jednak nie odważył się ponownie na nią spojrzeć. Bał się zobaczyć w jej wzroku miłość. Miłość do innego mężczyzny. – Po prostu uważam, że powinniście to przemyśleć.

– Już to zrobiliśmy. – Steve uniósł dłoń Franceski do ust. – Ale jeśli chcesz odegrać rolę starszego brata, możesz nam postawić szampana.

Przesłanie było bardzo jasne. Steve wyraźnie mówił: „To nie twoja sprawa. Ona nosi moje dziecko... „.

Przez cały ten koszmary wieczór myślał wyłącznie o tym. Gotów był oddać wszystko, żeby znaleźć się na miejscu brata. Zrezygnowałby z kariery, firmy, którą stworzył z grupą przyjaciół, majątku, który dostał w spadku po swojej matce, żeby tylko móc dzielić życie z tą kobietą.

Kompletne szaleństwo. Przecież dopiero ją poznał. Zamienił z nią najwyżej kilkanaście słów. Ledwie poczuł pod wargami chłodną skórę jej policzka. W chwili gdy dowiedziała się, kim jest, jej uśmiech wyraźnie przygasł. Steve z pewnością zapoznał ją dokładnie z krzywdami, jakich doznał. Tymi prawdziwymi i urojonymi. Opowiedział jej o starszym przyrodnim bracie, który miał w życiu więcej szczęścia i dostawał wszystko, łącznie z matczyną miłością. Steve potrafił mówić w bardzo przekonujący sposób.

– Dasz sobie radę sama?

– Będę musiała przywyknąć do tego, Matty. Mam wrażenie, że dzisiaj jest dobry dzień, żeby zacząć.

Fran wygładziła kołnierzyk i rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze. Czarny kostium, gładko uczesane włosy. W każdym calu wyglądała na

bizneswoman. Cała sztuka polegała na tym, żeby pozbyć się uczucia łaskotania w żołądku. Musiała być pewna siebie, sprawiać wrażenie, że wie, o czym mówi, a wtedy ludzie z pewnością jej uwierzą. To prawda, minęły trzy lata od chwili, gdy była w biurze firmy, ale przecież jej mózg nie obumarł. No, w każdym razie nie całkowicie...

– Najpierw porozmawiam z prawnikiem, a potem pójdę do biura – powiedziała.

– Co on tu robi?

Guy zdążył wejść do gabinetu, kiedy sekretarka zaanonsowała Franceskę. Zatrzymała się w drzwiach. Na jej ustach nie było ani śladu uśmiechu.

– Co on tu robi? – spytała, zwracając się do Toma Palmera, prawnika rodziny, który wyszedł zza biurka, żeby ją powitać.

– Guy jest twoim... jest wykonawcą ostatniej woli Stevena.

Teraz spojrzenie jej pięknych szarych oczu spoczęło na nim. Poczłł chłód.

– A więc dlatego przygnałeś tu z końca świata – rzuciła. – Żeby nic nie stracić.

– Jestem przekonany, że Steven cały majątek zostawił tobie i Tobyemu. Moim obowiązkiem jest jedynie dopilnować, żeby wszystkie jego życzenia zostały spełnione.

– Usiądź, Fran, proszę – wtrącił spokojnie Tom, który bez wątpienia niejednokrotnie był świadkiem podobnych rodzinnych nieporozumień. – Masz ochotę na kawę? Może wolisz herbatę?

– Nie, dziękuję. Miejmy to już za sobą. Czeka mnie dziś ciężki dzień.

– Rozumiem. No cóż, testament jest dość prosty. – Otworzył teczkę. – Na początek Ust, który Steven zostawił dla ciebie, Guy.

Bez słowa schował kopertę do kieszeni.

– Nie zamierzasz go przeczytać? – spytała.

– Nie teraz – odrzekł. Jeśli Steve, najgorzej zorganizowany człowiek na świecie, postanowił napisać do niego na łożu śmierci, Guy wolał przeczytać list bez świadków. – Co dalej, Tom?

Prawnik bezzwłocznie zaczął odczytywać testament.

W dniu, kiedy jeszcze mógł stawiać jakieś warunki, Guy zmusił brata, żeby zapisał cały swój majątek Francesce. Od tamtego czasu Steven nie wprowadził do testamentu żadnych zmian. Widać było, z jaką ulgą Francesca słuchała postanowień legatu. Lekko przymknięte oczy, minimalnie przygarbione plecy wskazywały, że napięcie zaczęło ją

opuszczać.

– To już wszystko? – spytała.

– Nie ma tego wiele – odezwał się Tom. – Niestety, jak wiesz, w zeszłym roku Steven potrzebował pieniędzy na jakiś interes i w tym celu wybrał kapitał z polisy na życie.

– Tak? – wykrzyknęła zdumiona. – No tak, oczywiście. Rozmawiał o tym ze mną – ciągnęła, próbując zamaskować zażenowanie.

Polisa na życie to był kolejny warunek, jaki Guy postawił bratu. Jak widać, skończyło się na dobrych intencjach.

– Pytałam, czy to wszystko, bo chciałam wiedzieć, czy mogę już iść. Muszę pojechać do biura i zacząć porządkować papiery.

Jest naprawdę niesamowita, pomyślał Guy. Dopiero co doznała wstrząsu, ale przyjęła cios niezwykle spokojnie i gdyby nie to jedno króciutkie słowo, nikt nie uwierzyłby, że spodziewała się usłyszeć coś innego.

– Jeszcze chwilę – odparł Tom, wyraźnie zadowolony, że klientka nie wpadła w histerię. – Potrzebuję twojego podpisu, żebym mógł zacząć przygotowywać wycenę masy spadkowej. To powinno pójść dość szybko.

– Wycenę? – Podniosła wzrok znad dokumentu, który przed nią położył.

– Firmy. Dla celów podatkowych. – Zobaczył, że nie zrozumiała, więc dodał: – Chodzi o podatek spadkowy. Ostrzegalem Stevea, kiedy przyszedł do mnie podpisać testament. Wtedy oczywiście nie było żadnego pośpiechu, ale sugerowałem, że powinien porozmawiać z tobą na ten temat. Wystarczyłoby dziesięć minut w urzędzie stanu cywilnego i byłoby po sprawie.

Widać było, że Francesca nic nie pojmuje. Najwyraźniej Steven nigdy nie przeprowadził z nią tej rozmowy. Guy zaczął się zastanawiać, ile jeszcze ciosów na nią spadnie i ile jeszcze wytrzyma, – Po to, żeby zalegalizować związek. Można to było zrobić, kiedy dziecko przyszło na świat...

– Podatek spadkowy? – spytała, ignorując słowa Toma.

– Nie sądzę, żeby stanowiło to jakiś wielki problem, chyba że wyniki finansowe firmy są znacznie lepsze niż w czasie ostatniego audytu – wyjaśnił Tom. Prawdę mówiąc, sam nie był pewien, która sytuacja byłaby korzystniejsza dla Franceski. – Jednak ponieważ nie jesteś żoną Steve'a, każdy zapis na twoją rzecz podlega opodatkowaniu.

Przez chwilę siedziała w absolutnym milczeniu, zastanawiając się nad tym, co usłyszała. Jej skóra przybrała barwę popiołu.

– A więc gdybyśmy wzięli ślub, nie musiałabym płacić podatku spadkowego?

– Cóż... tak. Tak się przedstawia sytuacja.

– Mówisz o firmie. A dom?

– O dom nie musisz się martwić, Fran.

– Chcesz powiedzieć, że podatek spadkowy nie obejmuje domu?

– Mam na myśli raczej to, że Steven nie był właścicielem domu.

Pokręciła głową.

– Mylisz się. Steven kupił go od Guya. Trzy lata temu.

– Odwróciła się do niego. – Powiedz mu.

– Mam wrażenie, że nastąpiło nieporozumienie, Francesko. Nie wiem, co ci powiedział Steve, ale on nie kupił ode mnie domu. Dziesięć lat temu dom wraz z częścią posiadłości został sprzedany agencji nieruchomości.

– Ale on mówił... ty powiedziałaś... – Domyślał się, że próbowała przypomnieć sobie rozmowę w restauracji.

– Tamtego wieczoru... Wybierał się do ciebie, żeby porozmawiać na ten temat.

– Poprosił mnie o pomoc w zapłaceniu pierwszej raty. To wszystko. Aż do wczoraj nie miałem pojęcia, że w twoim mniemaniu ja byłem właścicielem domu. Nie wiedziałem również, że Steve go w końcu nie kupił.

– Ale po co miałby pożyczać od ciebie? Przecież miał pieniądze... – urwała gwałtownie. – Ile?

Nie miał ochoty zagłębiać się w ten temat, – Ile mu dałeś? – powtórzyła stanowczo.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów.

– Ale on nie kupił za to domu? – Z tym pytaniem zwróciła się do Toma. Prawnik pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, w tym czasie nawet nie wystawiono go na sprzedaż. Steve podpisał umowę najmu odnawialną co roku.

– Przecież to nasz dom. Rodzinny dom Tobyego. Matty wydała tysiące funtów na rozbudowę i przeróbkę sutereny. Gdybym wiedziała, że to nie jest nasza własność, nigdy bym jej do tego nie zachęcała. – Wstrzymała oddech. – Oni pewno nic nie wiedzą o tych zmianach? Mam na myśli właścicieli...

– To mało prawdopodobne – powiedział łagodnie Guy.

Trudno się dziwić, że jest zupełnie zdezorientowana, myślał, patrząc na Franceskę. Nawet dla niego był to bardzo ciężki cios, a ona przecież aż do tej pory wierzyła, że dziedziczny dom wart ponad dwa miliony funtów. I

nagle okazało się, że nie ma zupełnie nic poza firmą, której sytuacja nie przedstawiała się zbyt optymistycznie, i krótkoterminową umową, która wcale nie musi zostać przedłużona.

Franceska czuła się zupełnie oszołomiona. Doznawała dziwnego wrażenia, jakby powoli szła na dno, całkowicie sparaliżowana, niezdolna do wykonania ruchu, który mógłby ją uratować.

Przez chwilę już wydawało się, że może się odprężyć, otrząsnąć z przygnębiającego poczucia całkowitej katastrofy. A teraz...

– Jest jeszcze jedna sprawa.

– Jeszcze coś? – Spojrzała na Toma Palmera. Aż do tej pory na jego twarzy malował się wyraz powagi, charakterystyczny dla prawników. Teraz jednak Tom wydawał się wręcz skępowany.

Czy może być jeszcze gorzej? – pomyślała.

– Kiedy ostatni raz widziałem się ze Stevenem, prosił o sporządzenie kodycyłu. Wyjaśniłem mu, że żadanego zapisu nie mogę umieścić w testamencie i w końcu poszliśmy na kompromis. Podyktował mi swoje życzenia, a ja obiecałem, że je odczytam po zapoznaniu cię z testamentem.

Tom odczekał chwilę, a ponieważ żadne z nich się nie odezwało, wyjął list z teczki.

– Zanim zacznę, chcę zwrócić uwagę, że ten zapis nie jest zobowiązujący – uprzedził. – To wyłącznie jego... – urwał z niepewnym wyrazem twarzy, – Ostatnie życzenie? – dokończyła.

– Po prostu przeczytaj to – wtrącił Guy.

– W porządku. – Tom odchrząknął. – „Cóż, Guy. Znowu się zaczyna”...

– Prawnik zawiesił głos. – To jego własne słowa – wyjaśnił.

– Tom!

– Przepraszam. No więc...

„Cóż, Guy. Znowu się zaczyna. Ja coś zawałam, a ty odgrywasz rolę starszego brata i ratujesz moją skórę. Tyle że w obecnej sytuacji nie będzie to już możliwe. To Fran i Toby potrzebują twojej pomocy”.

– Na pewno nie w tym życiu! – mruknęła Franceska.

– „Najpierw muszę się do czegoś przyznać – czytał dalej . Tom. – Pewno już sam się połapałeś, że pieniądze, które mi dałeś, wydałem na brylantowe kolczyki dla Fran. Kupiłem je zamiast pierścionka, którego nie chciała. I na prywatną klinikę położniczą. Dla mojej rodziny wszystko, co najlepsze. Nauczyłem się tego od ciebie. Niestety nie miałem pieniędzy. Ale przecież ty mnie nigdy nie zawiodłeś”.

– Nie musiał tego robić! – zaprotestowała Franceska. – Chciałam iść do

publicznego szpitala. Mogłam się obejść bez brylantów i wielu innych rzeczy...

Tom cierpliwie czekał, aż skończy, lecz Francesca przerwała gwałtownie, trawiona wstydem, że Steven wziął pieniądze od brata, żeby dawać jej wszystko, czego zapagnęła. Czowała się winna, bo przyjmowała prezenty bez wahania. Cały Steven! Wciąż powtarzał, że pieniądze są po to, by się nimi cieszyć. Wydawał je, jakby spadały mu z nieba. Być może tak właśnie było. Być może zawsze mógł liczyć na Guya...

Tom i Guy wpatrywali się w nią, uniosła więc rękę i gestem dała znać prawnikowi, żeby czytał dalej.

– „No więc, Guy, powiem ci teraz, co chcę zrobić. To była jedna z ostatnich rzeczy, które załatwiłem. Chciałem sprawić Fran niespodziankę i wziąć z nią ślub na Karaibach. Niestety, okazuje się, że zbyt optymistycznie oceniłem swój stan. Ja już tam nie pojedę, ale Toby powinien mieć ojca, a Fran będzie potrzebować kogoś, kto pomoże jej opiekować się wszystkimi przybłędami. No i jak zwykle, padło na ciebie.

Tom twierdzi, że nie można sporządzić kodycyłu, w którym zapisałbym ci Fran i Toby'ego w spadku, ale jestem pewien, że mnie nie zawiedziesz. Bilety są u Toma, więc wystarczy tam pojechać i powiedzieć »tak«. Myślę, że żadne z was nie powinno mieć z tym problemu.

Steve”.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy Tom skończył czytać, w gabinecie zapadła głucha cisza, jak gdyby wszyscy wstrzymali oddech. W końcu Guy przerwał milczenie.

– Czy to prawda, Tom? Rzeczywiście masz bilety? – Tak, ale...

Guy wyciągnął rękę i prawnik z ociąganiem podał mu kartonową teczkę biura podróży. Fran z niedowierzaniem patrzyła, z jakim spokojem otwiera ją i przegląda dokumenty.

– To już w przyszłym tygodniu, Francesko. Odpowiada ci ten termin? – spytał. Równie obojętnie mógłby mówić o wyjściu do restauracji lub biletach do teatru, pomyślała. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, a oczy były zimne jak stal.

Poczuła nagłą falę gorąca i gwałtowny ból, który ścisnął jej żołądek. Wiedziała, co wywołało taką reakcję. Strach.

– To żart. – Podniosła wzrok na prawnika, szukając w jego oczach potwierdzenia. – Steven uwielbiał robić takie figle... – Jeśli liczyła na to, że roześmieją się i przyznają jej rację, zawiodła się. Tom wpatrywał się w biurko, jakby marzył, żeby znaleźć się gdzieś indziej. Guy nie spuszczał z niej wzroku, najwyraźniej czekając na odpowiedź.

– Pozwól, że to obejrzę.

Podał jej zawartość teczki. Patrzyła na bilety, rezerwację apartamentu dla nowożeńców, informację o ceremonii ślubnej. Wszystko się zgadzało. Tyle że na dokumentach widniało nazwisko Guya Dymoke'a.

– Nie do wiary.

– To tylko formalność, Francesko. Papierowe małżeństwo. Chwila wytchnienia dla ciebie, żebyś mogła uporządkować wszystkie sprawy.

– Nie potrzebuję wytchnienia. I z całą pewnością nie potrzebuję ciebie. Muszę mieć tylko gdzie mieszkać.

– Ty i Toby, ale także Matty i Connie – poprawił.

– No więc dobrze! Jeśli ci to poprawi humor, możesz przedłużyć umowę najmu.

– Podejrzewam, że będę musiał zrobić trochę więcej.

– Już wystarczająco dużo zrobiłeś, Guy – warknęła, przedzierając bilety.

Szarpnął głową, jakby go uderzyła. No i dobrze. Chciała go rozwścieczyć, chciała, żeby dzielił jej ból, żeby poczuł... cokolwiek.

Jak Steven śmiał zapisać ją swojemu bratu w testamencie, jakby była jego własnością?

Jakim prawem Guy przyjął ten spadek, jak gdyby to był... jego

obowiązek? Bez żadnych emocji, obojętnie, beznamiętnie. Steven zawsze mówił, że jego brat nigdy nie okazuje uczuć.

– O co chodziło Stevenowi, kiedy pisał, że takie formalne małżeństwo nie będzie dla ciebie problemem? – spytał Guy. – Skoro nie chciałaś wyjść za Stevea z miłości... A może to on nie chciał się żenić?

– Co takiego?

Był wyczulony na jej nastroje, dostrzegał najdrobniejsze zmiany w wyrazie jej twarzy, każdy najmniejszy grymas. Teraz też zauważył, że się nieznacznie wzdrygnęła. Doskonale pamiętał ich rozmowę tamtego wieczoru, kiedy Steve przyszedł prosić o pieniądze.

– Mam coś, czego rozpaczliwie pragniesz, Guy. I nawet nie muszę się z nią żenić... – rzucił Steven, gdy już schował czek do kieszeni.

Guy po raz pierwszy w życiu stracił wtedy panowanie nad sobą i wymierzył bratu cios w szczękę.

– Jak śmiesz oskarżać Stevena? – Odwróciła się do niego z wściekłością. – To wyłącznie moja wina. Kiedy dowiedział się, że jestem w ciąży, błagał, żebym za niego wyszła, ale... – Urwała gwałtownie i rzuciła niespokojne spojrzenie na Toma Palmera. Wyglądała, jakby znalazła się w pułapce.

– Czy możemy porozmawiać? – głos jej się załamał. Wiedział, że dotarli do punktu zwrotnego. Francesca z ataku przeszła do obrony. Gdyby chodziło o kogoś innego, zadałby teraz ostateczny cios.

– Zdawało mi się, że właśnie rozmawiamy.

– Guy... – Spojrzała na niego błagalnie. – Proszę... Cholera...

– Tom? Czy jesteśmy ci jeszcze potrzebni?

– Jest kilka dokumentów, na których musicie złożyć podpisy, ale wystarczy, jeśli zrobimy to w przyszłym tygodniu.

Franceska odwróciła się, żeby pożegnać się z prawnikiem, ale Guy nie był w nastroju do uprzejmości. Nim zdążyła wyciągnąć rękę, chwycił ją za ramię i zdecydowanie poprowadził do wyjścia. Nie odezwał się, póki nie znaleźli się na parkingu.

– Wsiadaj, Francesko – powiedział, otwierając drzwiczki samochodu.

– Dokąd chcesz jechać?

– Tam, gdzie będziesz mogła mi wyjaśnić, co właściwie nie było winą Stevea – odrzekł. – Może do parku. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, rozprostować nogi. – Rzucił na nią okiem i natychmiast pożałował swojego gwałtownego zachowania. – Trochę trwa, nim przywyknę do miasta – dodał.

– Taka zmiana musi być trudna – zauważyła, skwapliwie podchwytyjąc

nowy temat. – Lubisz pracę w terenie? Zawsze wyobrażałam sobie, jak wspinasz się po ścianie skalnej, odłupując odłamki skał. Myślę, że wspaniale jest mieć taki konkretny zawód. – W jej głosie pojawiła się tęskna nuta.

– Moim zdaniem najważniejszą pracę na świecie wykonują matki. Nie ma wspanialszego zajęcia. – Przyszło mu do głowy, że być może to nie ona dokonała wyboru. – A co ty chciałaś robić? To znaczy zanim poznałaś Steve'a?

– Och, nie wiem. Pewno to samo, co większość ludzi po zarządzaniu. – Wzruszyła ramionami. – Może zostać Amaryllis Jones swojej generacji – powiedziała, wymieniając słynną założycielkę sieci sklepów z produktami do aromaterapii.

– A potem poznałaś Steve'a...

– Potem poznałam Stevena i zaszłam w ciążę – odpowiedziała. – Dość kiepskie referencje dla osoby, która chce zaimponować światu swoimi zdolnościami organizacyjnymi.

Kierowca za nimi zatrąbił niecierpliwie.

– Czy Amaryllis Jones nie ma dzieci? – spytał Guy.

– Światło się zmieniło – zwróciła uwagę, unikając odpowiedzi.

– Ma, prawda? – Spokojnie ruszył do przodu.

– Chyba czworo. Słuchaj, ty chcesz się przejść, a ja powinnam iść do firmy. Wskoczę tutaj i dalej pojedę metrem. W ten sposób będzie szybciej...

Rzuciła okiem na zegarek, jakby chciała podkreślić, że powinna natychmiast znaleźć się w biurze. Zdecydowanie żałowała, że zaproponowała rozmowę o tym, co jej leżało na sercu.

– Zamierzasz zastąpić Steve'a i poprowadzić firmę? – zapytał, ignorując jej sugestię.

– Ktoś musi sprawować nad wszystkim pieczę, dodać otuchy pracownikom, uspokoić klientów.

– Czym zajmuje się firma? – spytał.

– Importem towarów, których właściwie nikt nie potrzebuje, ale wszyscy lubią kupować. Z ostatniej podróży Steven wrócił wyraźnie podekscytowany. Powiedział, że na razie interesy rozkręcają się powoli, ale kiedy już poczuje się lepiej, wreszcie wszystkim pokaże.

Tymi „wszystkimi” był oczywiście Guy.

– Może zostawił jakieś notatki – wpadł jej w słowo Guy. – Przejrzałaś jego biurko? Zajrzałaś do laptopa?

Patrzyła na niego tępo. O czym on mówi? Pielęgnowała ukochanego

mężczyznę podczas śmiertelnej choroby. Szukanie notatek w jego biurku było ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślała.

– A może zrobił to ktoś inny? – pytał.

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Powinnam dziś wziąć ze sobą laptop. No i taka ze mnie bizneswoman...

– Opuść sobie trochę. Już to, że jedziesz dzisiaj do biura, wymaga wielkiej siły i hartu ducha – powiedział. – Możemy razem zajrzeć do jego plików.

– My? Niby dlaczego miałbyś zawracać sobie tym głowę?

– Jestem egzekutorem testamentu – przypomniał jej bezbarwnym głosem. Znów wrócili do punktu wyjścia. – Będę musiał dokładnie przyjrzeć się interesom Steve'a. Trzeba znaleźć najlepszy sposób, żeby firma mogła funkcjonować. Oczywiście jeśli zamierzasz dalej ją prowadzić.

– To wszystko, co mi zostało. Jeśli mam zapewnić Tobyemu dom, muszę się tego podjąć. No, ale to nie twoje zmartwienie.

– Myślę, że porozmawiamy o tym, kiedy już powiesz mi to, czego nie chciałaś wyjawić w obecności Toma Palmera.

A tak liczyła, że Guy nie będzie pamiętał, dlaczego tak pośpiesznie opuścili biuro prawnika.

Zdawała sobie sprawę, że nie powinna stracić panowania nad sobą. Prawdopodobnie obaj mężczyźni zorientowali się, że Steve ją okłamał. No cóż, to był cały Steven. Uroczy, ale bardzo słaby. Wszyscy go znali od tej strony, a mimo to ciągle mu wierzyli. Nawet Guy dał się nabrać...

Odsunęła te niewesołe rozważania. Żyła jak w bajce. Steve ją wręcz rozpieszczał. Nigdy nie wątpiła, że ona i Toby są dla niego najważniejsi. Dlatego teraz, gdy umarł, nie zamierzała pozwolić, żeby ktokolwiek – a przede wszystkim Guy Dymoke – krytykował go, oceniał czy obwiniął.

Spojrzała na niego spod oka. Jego twarz wydawała się bez wyrazu. Miał długi, cienki nos, odrobinę zbyt duży, wydatne kości policzkowe, usta pełne, zmysłowe i...

Guy zatrzymał samochód i tyłem wjechał na wolne miejsce parkingowe.

– O! Przywiozłeś mnie do domu? – zdziwiła się. – Chcesz laptop Stevena...

– To też. – Nie dodał nic więcej, nie poruszył się, nawet na nią nie patrzył. Nagle, przestraszona, nerwowo przełknęła ślinę. Wiedziała, że

kiedy wejdzie z nią do domu, będzie musiała mu wszystko opowiedzieć. Z pewnością go rozgniewa... Będzie nią gardził...

Nie powinna się temu dziwić. Sama czuła do siebie pogardę.

– Guy? – odezwała się niepewnie. Nadal trzymał ręce na kierownicy.

– Chcę, byś wiedziała, że kochałem Steve'a. Prawdopodobnie opowiadał ci, że próbowałem go zdominować, układać mu życie, że miałem wszystko, podczas gdy on nie miał nic...

Ciche, wiele mówiące westchnienie wyrwało się nagle jej z płuc.

– Pewno właśnie taki byłem i faktycznie odziedziczyłem po matce majątek, przez który Steve czuł się mniej kochany i mniej ważny. Niestety prawda jest taka, że istotnie nie zaznał zbyt wiele matczynej miłości. Jego matka nie miała za grosz instynktu macierzyńskiego, choćby odrobiny ciepła. Starłem się jakoś mu to wynagrodzić, ale nic nie mogło wypełnić pustki, którą po sobie zostawiła, ani naprawić szkód, jakie mu wyrządziła. Miałem nadzieję, że przy tobie i przy Tobym odzyska poczucie wartości, odnajdzie się.

– Czemu więc nigdy go nie odwiedzałeś?

– Ponieważ jestem jedyną osobą, która wie o wszystkich głupstwach, jakie kiedykolwiek popełnił. Wyciągałem go z tarapatów od chwili, gdy dorósł na tyle, żeby w nie wpadać. Jak uciążliwy wyrzut sumienia wisiałem mu nad głową, nakłaniając, żeby wreszcie zrobił coś ze swoim życiem.

Kiedy na nią spojrział, poczuła suchość w gardle. Znowu musiała przełknąć ślinę.

– W dodatku wiedział, jaki byłem wściekły, że nie ożenił się z tobą. Podobno to była twoja decyzja, ale przecież dobrze go znałem, .. Tym razem jednak mówił prawdę, zgadza się?

Nie odpowiedziała. Otworzyła drzwiczki i wysiadła z auta.

– Lepiej wejdźmy do środka.

Włożyła klucz do zamka. Matty była u siebie, zajęta pracą, Toby powinien wrócić z przedszkola dopiero za pół godziny. Rzuciła okiem na zegarek i ruszyła w stronę kuchni, gdzie Connie przygotowywała się do wyjścia.

– O, Fran. Już wróciłaś. Idę odebrać Toby'ego. Chcę zabrać go do parku. Nakarmimy kaczki i zjemy lody. A może wolisz, żebyśmy wrócili do domu?

– Nie, idźcie do parku. Starczy ci pieniędzy? – Nie czekając na odpowiedź, otworzyła torebkę i podała gosposi banknot. – Nie musisz się spieszyć z powrotem. – Widać poczuła, że powinna wyjaśnić, dlaczego tuż

po pogrzebie Stevena zaprosiła do domu obcego mężczyznę, bo dodała: – To Guy, brat Stevena. Chcemy przejrzeć dokumenty. – Odwróciła się do Guya, który zatrzymał się w progu. – Connie jest dla nas nianią, gospodynią, zastępczą mamą. Nie wiem, jak byśmy sobie bez niej poradzili.

– Mieszka tutaj? – spytał, gdy tylko za Connie zamknęły się drzwi.

– Tak. Dzięki Bogu, dom jest bardzo duży. Spojrzała na niego niepewnie. Teraz, gdy zostali sami, przytulna kuchnia nie wydawała się już taka bezpieczna.

– Napijesz się kawy? – spytała, żeby przerwać przedłużającą się ciszę.

– Może ja przygotuję kawę, a ty pójdziesz po laptop?

– Chcesz pracować tutaj? – zdumiała się.

– Pomyślałem, że moglibyśmy usiąść przy kuchennym stole. Tu będzie nam wygodniej. Gabinet jest za mały dla dwóch osób.

– Skąd... Och, no tak. – Ciągle zapominała, że doskonale znał ten dom.

– Dobrze. Kawa jest...

– Znajdę.

– No tak... – powtórzyła. – Zaraz wracam. Tylko się przebiorę.

– Nie ma pośpiechu. Nigdzie się nie wybieram. Wyszła do holu i zdjęła pantofle na wysokich obcasach.

Jeśli chciał mnie uspokoić tą uwagą, pomyślała, biegnąc na górę, zupełnie mu to nie wyszło.

Guy znalazł kawę, zagotował wodę i właśnie napełniał ekspres wrzątkiem, kiedy Franceska wróciła do kuchni. Nie patrząc na niego, zajęła się przenośnym komputerem.

– Bateria siadła.

Przeszukał torbę, znalazł przewód, włożył wtyczkę w najbliższe gniazdko i włączył laptop.

– Jakie jest hasło? – spytał.

– O matko. Nie mam pojęcia.

Czy to normalne? – zastanowił się. Być może. Kiedyś sam był w poważnym związku, ale nie mieszkał ze swoją partnerką, było więc mnóstwo rzeczy, których o nim nie wiedziała. Co innego, kiedy mieszkasz z kimś przez trzy lata...

To nie twój interes, upomniał się w duchu, po czym spróbował opcji „zapomniałem hasła”.

Podpowiedź brzmiała „pierwsza miłość”. Podniósł wzrok na Franceskę.

– Mało prawdopodobne, że myślał o mnie. Może „Toby”?

Pokręcił głową. Pierwsza miłość... I nagle wszystko stało się jasne. Wpisał imię, a kiedy dostał następną wskazówkę, zmienił wielką literę na początku i hasło zostało zaakceptowane.

– I co to było? – spytała.

– „Harry”, napisane małymi literami.

– Kto to jest Harry?

– To był szczeniak, którego dostał od taty na piąte urodziny. Brązowo-białą spaniel. Steve zakochał się w nim od pierwszego wejrzenia.

– Nigdy... Nigdy o nim nie wspominał. – Opuściła oczy na ekran, jakby uświadomiła sobie, że przemilczał więcej znacznie ważniejszych spraw.

– Steve nigdy nie mówił o Harrym od chwili, gdy szczeniak został zabity. Zupełnie jakby wymazał jego istnienie z pamięci.

– O Boże – westchnęła cicho. – Co się stało?

– To się wydarzyło w czasie letnich wakacji, które spędzaliśmy w Kornwalii. Szliśmy na plażę, a Steve prowadził Harrygo na takiej długiej smyczy, która pozwala psu swobodnie biegać, mimo że wciąż jest na uwięzi. Powinno się ją blokować, gdy idzie się drogą, żeby pies trzymał się przy nodze. A trzeba ci wiedzieć, że Harry nie był najbardziej posłusznym psem na świecie.

– Trochę jak jego pan.

– Nawet więcej niż trochę.

Oboje uśmiechnęli się do swoich wspomnień.

– Nagle Harry rzucił się na kota, który czmychnął na drugą stronę szosy. Pies skoczył za nim i wpadł prosto pod koła samochodu.

Franceska drżącą dłonią zakryła usta.

– Biedny Steven – szepnęła. – Moje biedne kochanie. – Aż do tej pory, jeśli nie Uczyć nieoczekiwanego wybuchu w biurze Toma Palmera, całkowicie panowała nad swoimi uczuciami. Wyglądała mizernie i blado, ale jej oczy pozostawały suche. Teraz, gdy spojrzał na nią kątem oka, dostrzegł, że wypełniły się łzami. Nie wiedział, jak to się właściwie stało... Czy to Franceska odwróciła się do niego, czy też on wyciągnął do niej rękę, dość, że nagle znalazła się w jego ramionach, zanosząc się płaczem.

To był jeden z tych momentów, kiedy słodycz zaprawiona jest nutą gorzkości. Przytulał ją do siebie, jego ręce dzielił od jej ciała tylko cienki jedwab bluzki, wdychał jej upojny zapach, i to na jawie, a nie w wyobraźni...

Zdawał sobie jednak sprawę, że pozwoliła się objąć, bo potrzebowała pocieszenia. A łez, które przesiąkały przez koszulę i moczyły jego pierś, nie wywołał żal za szczeniakiem, lecz myśl, jak bardzo Steve musiał

cierpieć, gdy pies zginął z jego winy.

Trzymał ją w ramionach i pozwalał jej płakać. Nie odezwał się ani słowem, bo niby co miał jej powiedzieć? No już... nie trzeba... wszystko będzie dobrze? Pamiętał, jak powtarzano mu takie puste słowa, gdy umarła jego mama. Nie rozumiał, co się z nią stało, wiedział tylko, że już do niego nie wróci.

Nic już nie będzie dobrze... Ani dla niej, ani dla Toby'ego.

– Przepraszam – wymamrotała, z twarzą wciąż wtuloną w jego pierś. – To przyszło tak znenacka.

– Wszystko w porządku – uspokoił ją. – Płacz jest naturalną reakcją.

– Czuję się zażenowana, gdy zdarza mi się płakać publicznie – powiedziała, odsuwając się od niego. Otarła policzek dłonią, pociągnęła nosem i rozejrzała się w nadziei, że gdzieś stoi pudełko chusteczek. – Naprawdę bardzo cię przepraszam.

Pragnął wyznać jej, jak sam płakał, gdy uświadomił sobie, że nigdy już nie uściśnie brata. Miał ochotę przyciągnąć ją z powrotem do siebie, lecz kiedy wysunęła się z jego objęć, natychmiast cofnął ręce i sięgnął do kieszeni po czystą chustkę. Przyjęła ją z dziwnym wyrazem twarzy.

– Ty i Steven jesteście chyba ostatnimi mężczyznami na świecie, którzy używają chusteczek z materiału – zauważyła, osuszając oczy i wycierając nos.

– Wpojono nam to we wczesnym dzieciństwie. Niania była ze starej szkoły. Wykrochmalony fartuch, dwa kawałki chleba z masłem na podwieczorek, do łóżka o szóstej – mówił to lekkim tonem, celowo bagatelizując niemiłe wspomnienia. – W szkole te zasady były egzekwowane jeszcze bardziej surowo.

– Czy dobrze rozumiem, że to była szkoła z internatem?

– Owszem. Mój ojciec należał do pokolenia, które wiedziało, jak trzymać dzieci na dystans.

– Jak to strasznie brzmi! Kiedy Toby się urodził, Steve zapisał go do Eton, ale od razu mu powiedziałam, że tylko traci czas. Nie ma mowy, żebym go tam puściła.

– Cóż, różnica polega na tym, że Toby ma matkę.

– Pewno tak. Ile miałaś lat, kiedy umarła twoja mama?

– Cztery. Zrzucił ją koń. Zginęła na miejscu. Matka Steve'a była do niej bardzo podobna, chociaż podejrzewam, że umiejętnie podkreślała to podobieństwo.

– Mieliście z sobą naprawdę wiele wspólnego. To znaczy ty i Steven.

– Można by tak pomyśleć. Powinienem spędzać z nim więcej czasu, ale



już chodziłem do szkoły, gdy jego mama w końcu odeszła.

– W końcu?

– Właściwie nigdy nie była stałym elementem jego życia. Kiedy polowała na milionera, który miał dom w Londynie i posiadłość ziemską, nie przyszło jej do głowy, że tata spędza w mieście tylko tyle czasu, ile to absolutnie konieczne.

– W jego życiu w ogóle nie było stałych elementów. Nawet ty wciąż znikales. Mówił, że jak jakiś bóg zstępowałeś z Eton na ziemię podczas wakacji. Byłeś idealny i niezrównany. Naprawdę byłeś takim niedościgłym wzorem?

– Nie, po prostu miałem więcej szczęścia. – Tak było przez całe życie, póki to nie on, a Steve spotkał Franceskę... – Po chwili spytał: – Dlaczego za niego nie wyszłaś?

Nie odpowiedziała od razu. Ostrożnie naląła kawy do dwóch kubków.

– Chcesz śmietanki lub cukru? – zaproponowała.

– Nie, dziękuję.

Sięgnęła do lodówki i dodała trochę śmietanki do swojego kubka. Nie miał wątpliwości, że przeciąga te czynności, żeby zastanowić się nad odpowiedzią.

Nie ponaglał jej. Był pewien, że w końcu mu powie.

Nie usiadła, lecz wzięła swój kubek i podeszła do drzwi, które prowadziły na małą werandę stworzoną na dachu rozbudowanego parteru – Będzie trzeba wezwać rzeczoznawcę i zbadać, czy jest tu bezpiecznie, pomyślał. A także sprawdzić, jak się ma sprawa z pozwoleniem na przebudowę.

Wziął swoją kawę i wyszedł za Franceską na oświetloną jesiennym słońcem werandę. Stał tu mały stolik, parę krzeseł i kilka doniczek z kwiatami i ziołami. Musiał przyznać, że tarasik sprawiał bardzo sympatyczne wrażenie. Dokoła postawiono barierkę, a mała furka odgradzała schody prowadzące do ogrodu, gdzie dostrzegł nową huśtawkę i inne zabawki ogrodowe w jaskrawych barwach.

– To urodzinowy prezent Toby'ego – wyjaśniła, widząc jego spojrzenie. – Od Stevena. – Odstawiła kubek i odwróciwszy się twarzą do ogrodu, oparła ręce o barierkę.

Wydawało mu się, że dobrze wie, co należy powiedzieć w takiej chwili. Przecież sam przez to przechodził. Jednak czuł tylko ból, że inne dziecko też musi przeżywać taką niewyobrażalną stratę. W tej właśnie chwili postanowił, że tym razem pozostanie tu, gdzie jego miejsce. Nie zawiedzie Toby'ego tak, jak zawiódł swojego brata.

O to właśnie prosił go Steve. „Bądź przy nich”. Będę, przysiągł w duchu. Na pewno.

Czemu wciąż milczy? – zastanawiał się. Z przerażeniem pomyślał, że może ma do wyjawienia coś strasznego. Czy może... ? Ale nie... Chłopiec miał rysy Steve’a, co do tego nie było wątpliwości. Czyli nie chodzi o to... Więc dlaczego tak długo zwleka z odpowiedzią?

W końcu Franceska odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– Nie wyszłam za Stevena, bo już byłam zamężna.

Teraz zrozumiał.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Cisza, która zapadła po jej wyznaniu, zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Francesca bała się, że Guy nigdy więcej nie odezwie się do niej.

Nie winiła go za to. Głośno wypowiedziane słowa jej również wydały się szokujące. Ukryła tę prawdę tak głęboko, że przez długi czas nie pamiętała tych dziesięciu minut, kiedy jako pełna ideałów dziewiętnastolatka stanęła przed urzędnikiem stanu cywilnego i wzięła udział w niewiele znaczącej ceremonii.

Wszystko to wydarzyło się wieki temu.

Guy stał jak osłupiały. Gdyby chodziło o Steve'a... wszystko było możliwe. Ale Francesca?

Pytania cisnęły mu się na usta. Za kogo wyszła? Kiedy? Co się Stało?

Jedno pytanie było szczególnie natrętne, choć jeśli miał być szczery, wolałby nie poznać odpowiedzi. W końcu jednak je zadał:

– Czy Steve wiedział?

Widział, jak nerwowo przełyka ślinę i zanim jeszcze pokręciła przecząco głową, już znał odpowiedź.

– Cóż – odezwał się, kiedy wreszcie zdołał wydobyć głos. – On cię okłamał w sprawie domu. Myślę, że rachunki między wami zostały wyrównane.

Nie odezwała się. Zresztą nie oczekiwał odpowiedzi. Co tu można było powiedzieć? Właściwie powinien teraz stąd odejść. W gruncie rzeczy potrzebowała jedynie pieniędzy, a tym mógł zająć się Tom Palmer.

Nie potrafił jednak zostawić tej sprawy w spokoju.

– Nie zastanawiałaś się nad rozwodem? Czy to wbrew twoim zasadom? Och, przepraszam. Ustaliliśmy właśnie, że nie masz zasad...

– To nie było zwykłe małżeństwo – gwałtownie wpadła mu w słowo.

– Nie? Może spróbujesz mi wyjaśnić różnicę między zwykłym a niezwykłym małżeństwem? Te pojęcia wydają mi się dość obce.

– Chciałam powiedzieć, że to było tylko małżeństwo na papierze. Kiedy byłam na pierwszym roku, wyszłam za kolegę ze studiów. Bał się, że odeślą go do jego kraju, gdzie groziło mu niebezpieczeństwo.

– Ależ to...

– Wiem. Nielegalne. Jednakże... jego ojca zamordowano, matkę uwięziono. Był w skrajnej rozpacz. – Wzruszyła ramionami. – Przynajmniej tak mi opowiadał. Chwilę trwało, nim zorientowałam się, że to wszystko kant. Łatwowiernym studentom, pasjonującym wę prawami

człowieka, wydawało się, że są szlachetni, a tymczasem byli po prostu wykorzystywani przez różnych cwaniaków.

– Chcesz powiedzieć, że on wcale nie był studentem?

– Widywałam go w kampusie. Miał wystarczająco dużą wiedzę, by przekonać mnie, że studiuje prawo. Nie było powodu, żebym mu miała nie wierzyć.

– Przecież musiałaś z nim zamieszkać. A przynajmniej udawać, że żyjecie razem.

– Tylko wówczas, gdyby urząd imigracyjny postanowił zbadać tę sprawę. Zresztą nie widziałam go od czasu, gdy rozstaliśmy się przed ratuszem. On ścisnął w garści świadectwo ślubu, które mógł przedstawić władzom, ja ze wzruszenia, że uczyniłam coś wspaniałego, przyciskałam rękę do piersi.

– Nie pomyślałaś, żeby pójść na policję, kiedy poznałaś prawdę?

– Mówiłam ci, że nie od razu się zorientowałam. Powiedział mi, że będzie musiał wyjechać do Londynu. Załatwienie wszystkich spraw miało mu zająć kilka tygodni. Dopiero kiedy nie wrócił na następny semestr, zaczęłam się martwić, że mimo wszystko został deportowany. Wtedy spytałam o niego kogoś z wydziału prawa. Oczywiście okazało się, że nikt o nim nie słyszał. Nie jestem głupia... – Wzruszyła ramionami. – No, dobrze, jestem głupia, lecz przecież wiedziałam, że popełniłam przestępstwo. No więc postanowiłam przestać o tym myśleć... Zapomnieć, że to się w ogóle wydarzyło. Obiecałam sobie, że wszystko załatwię, kiedy skończę studia.

Pobielale kostki dłoni, którą wciąż zaciskała na barierce, zadawały kłam rzekomej beztrosce.

– Oczywiście nie zrobiłam tego. Pochłonęła mnie praca, a na to, żeby wynająć kogoś, kto by go odnalazł, miałam za mało pieniędzy. Zresztą i tak nie wiedziałabym, gdzie go szukać. Ciągle uważałam, że to nie jest takie ważne.

– A potem spotkałaś Steve'a.

– Nawet wówczas... Dopiero gdy okazało się, że jestem w ciąży. Steven był taki podekscytowany, chciał, abyśmy natychmiast się pobrali. Wtedy poszłam do prawnika, ale dowiedziałam się, że muszę odczekać pełnych pięć lat, zanim będę mogła wystąpić o rozwód bez jego zgody.

– Czemu po prostu nie powiedziałaś o tym Steve'owi?

– Nie zrozumiesz tego.

– Może jednak spróbujesz mi wyjaśnić?

– To bardzo trudne.

– Nie wątpię.

– Zrozum, Guy... – zaczęła. – Steven był we mnie ślepo zakochany. Ustawił mnie na piedestale. – Spojrzała na niego ze smutkiem. – To potwornie niewygodna pozycja.

– Szczególnie gdy się na nią nie zasługuje.

– Mówiłam ci, że nie zrozumiesz! – wybuchnęła. – Ty jednak dobrze się tam czujesz, prawda? Możesz patrzeć z góry na nas wszystkich, co?

– Ja nie... – przerwał. Sam się o to prosił. Nie ma co, zasłużył sobie na to. – Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Trochę już na to za późno, nie uważasz? Zresztą nie. W tym roku minęło tych pięć lat. Kilka miesięcy temu rozwód został orzeczony.

Zdawał sobie sprawę, że to głupie, ale ulga, jaką poczuł, była wprost niewyobrażalna.

Franceska odwróciła się tyłem i zapatrzyła się na ogród.

– Co za ironia losu, że Steven zarezerwował tę ceremonię ślubną. To ja zamierzałam zabrać go na tropikalną wyspę i wyznać mu prawdę... Możliwe, że znalazł folder, który przyniosłam do domu, i pomyślał, że chcę mu zasugerować wyjazd...

– Byłaś pewna, że się zgodzi? – spytał brutalnie. – Nawet po tym, gdy dowie się, co zrobiłaś? Czy może zamierzałaś to odrobinę wyretuszować? – Widząc, jak drgnęła, żałował, że nie może cofnąć tych słów.

– Chciałam przyznać się do błędu, zrzucić to z siebie. Umocnić nasz związek. Pomyśleć o bracie lub siostrze dla Toby'ego.

Jej oczy ponownie wypełniły się łzami, lecz tym razem zdołała je powstrzymać. Zatoczyła ręką, wskazując dom, ogród, wszystko wokół.

– Steven wciąż czuł się tak niepewnie. Wydawało mu się, że musi dać mi to wszystko, żeby mnie przy sobie zatrzymać. Zasługiwał na to, by dowiedzieć się, że nigdy bym go nie zostawiła... – Puściła barierkę, jak gdyby po zrzuceniu ciężaru z serca nie potrzebowała już oparcia. – Myślę, że teraz lepiej będzie, jeśli weźmiemy się do pracy. Mimo wszystko chciałabym dzisiaj pojechać do biura.

Zdecydowanym krokiem weszła do środka, pozostawiając mu decyzję, czy do niej dołączy, czy odejdzie. Odsunął się, żeby ją przepuścić, a po chwili zabrał kubki z wystygłą kawą i poszedł za nią. Franceska stała przy stole z pochyloną głową, żeby ukryć łzy, które płynęły jej po policzkach, i z teczki Stevena wyjmowała jakieś papiery, notesy i katalogi.

– Może przejrzysz laptop? – zasugerowała.

– Jeśli tego chcesz – odparł energicznym tonem, udając, że nic nie spostrzegł.

Wyciągnęła z kieszeni jego chusteczkę i wytarła nos.

– Raczej nie mam wyboru. A im prędzej to zrobimy tym szybciej będziesz mógł odejść.

Od odpowiedzi uratował go Toby, który wpadł do kuchni i nagle onieśmielony zatrzymał się tuż przed Guyem.

– W chwili gdy usłyszał, że jest tu wujek Guy, przestał się interesować kaczkami – powiedziała Connie, wchodząc za dzieckiem. Mina gwałtownie jej zrzędała, gdy zobaczyła wyraz twarzy Franceski. – Nie powinnam mu o tym wspominać?

– Nie ma sprawy – wtrącił Guy pospiesznie. – Cześć, Toby! – Uśmiechnął się do chłopca. – Gdybym wiedział, że się dziś zobaczymy, przyniosłbym twoją piłkę.

– Nie szkodzi. – Chłopczyk podszedł bliżej. Oczy mu się zaświeciły, gdy zobaczył laptop. – Mogę się nim trochę pobawić?

– No proszę! Początkujący geniusz – zawołał, nim Franceska zdążyła się odezwać. Tobyemu nie trzeba było wielkiej zachęty. Kiedy Guy wyciągnął rękę, malec natychmiast wdrapał mu się na kolana. – W porządku, panie Einsteinie! Zobacz, co zrobimy. Komputer ma nagrywarke płyt CD, więc możemy skopiować dokumenty. Zabiorę je do domu, żeby na razie dać twojej mamie spokój. Chcesz mi pomóc?

– A mogę? – Toby podniósł na niego zachwycone spojrzenie. – Naprawdę?

– Oczywiście. – Wyjął czystą płytę z torby. Już chciał ją podać Toby'emu, gdy dostrzegł stan jego rączek. – Wciśnij ten guzik, dobrze? – Umieścił płytę w szufladce i poprosił: – A teraz popchnij ją delikatnie, aż usłyszysz kliknięcie.

Toby kilka razy musiał próbować, nim szufladka się zatrzasnęła. Kiedy w końcu mu się udało, spojrzał pytająco na Guya.

– Świetnie sobie poradziłeś. Dobra, teraz wezmę twój palec. – Objął rączkę chłopca i położył palec na jego małym paluszku. – I wciśniemy ten klawisz. Tylko raz. Leciutko. – Paluszkiem Toby'ego uderzył w klawisz i na ekranie pokazał się spis dokumentów.

– Och!

– Podoba ci się? Chcesz spróbować jeszcze raz?

Zrobili to kilkakrotnie, po czym wspólnymi siłami zaznaczyli potrzebne pliki i skopiowali je na płytę. Zajął to znacznie więcej czasu, niż gdyby robił wszystko sam, ale jakie to miało znaczenie? Tyle czasu już zmarnował, nie utrzymując z nimi kontaktu i wykonując ważne zadania. A to przecież było najważniejsze...

Kiedy skończyli, podniósł głowę i zorientował się, że Francesca i Connie cały czas im się przyglądają.

– Co się dzieje? – spytał, widząc ich zmartwiałe twarze.

– Nic. – Francesca nerwowo przełknęła ślinę. – Tyle że ludzie rzadko pozwalają małym chłopcom bawić się sprzętem wartym tysiące funtów.

– Tak? To przecież nie było trudne. A w ogóle to nie była zabawa. My pracowaliśmy.

– Ach tak, rozumiem. Connie, nasz pan Einstein powinien chyba uciąć sobie drzemkę.

– No to zmykaj, współniku. Następnym razem przywiozę ci twoją piłkę. – Postawił Tobyego na ziemi.

– I zagrasz ze mną?

Gardło mu się ścisnęło. Być może Steve chronił komputer przed lepkiemi paluszkami synka, lecz z pewnością potrafił całymi dniami grać z nim w piłkę. Kto teraz pobawi się z chłopcem, jeżeli i on wyjedzie...

– Z przyjemnością – odparł. Z trudem powstrzymał by, kiedy chłopczyk podniósł rączki, żeby się do niego przytulić.

Guy już wyszedł, Toby ciągle spał, a Connie zabrała się do prasowania. Francesca zignorowała niepokojący zapach bielizny i przeniosła wszystkie papiery do gabinetu Stevena. Prawdę mówiąc, miała ochotę położyć głowę na jego biurku i się rozplakać. Ponieważ jednak niewiele by to pomogło, zabrała się do pracy, którą przerwała, żeby obserwować Guya i Tobyego.

Guy wrócił do swojego biura, odebrał kondolencje od pracowników, po czym sprawdził, czy czekają na niego jakieś wiadomości. Jak się okazało, dzwonili mężczyźni, których spotkał po pogrzebie. Nie widział powodu, żeby odkładać tę sprawę, natychmiast więc usiadł przy telefonie. Ku swemu zaskoczeniu dowiedział się, że wcale nie chodziło im o pieniądze. Chcieli odkupić prawa do wynegocjowanej przez Steve'a transakcji w sprawie importu z Chin towarów z jedwabiu. Wygląda na to, że idzie ku lepszemu, pomyślał. Zanotował szczegóły i obiecał, że ktoś się do nich odezwie.

Później polecił, żeby mu nie przeszkadzać, i zamknął się w gabinecie. Uruchomił komputer, włożył do napędu płytę ze skopiowanymi plikami, a na biurku położył list Stevea.

Wyznanie Franceski poraziło go jak wybuch granatu, natomiast po liście spodziewał się, że może mieć siłę rażenia bomby. Na wszelki wypadek odsunął go na bok.

Całe popołudnie spędził, przeglądając informacje o finansach firmy. Nie było to zbyt radosne zajęcie.

Z początku interesy szły całkiem dobrze. Spółka osiągała niezły zysk, co pozwalało Steve'owi i Francesce prowadzić dość wystawne życie. Jednak w okresie zastoju ledwie starczało na pensje dla pracowników, a czasami nawet i z tym były problemy. Guy podejrzewał, że Steve zlikwidował polisę, żeby zredukować debet w banku. Tyle że w żaden sposób nie próbował ograniczyć innych kosztów.

Wśród wydatków osobistych najczęściej pochłaniały opłaty za wynajem domu, podatki i rachunki za media. Z tym nie da się nic zrobić, uznał. Trochę mniej szło na zarobki Connie i chesne za prywatne przedszkole Toby'ego. Utrzymanie Franceski na jej piedestale też wydawało się dość kosztowne... Dzięki Bogu, że postanowiła z niego zstąpić.

W końcu uznał, że nie może już tego odkładać i otworzył kopertę, którą przekazał mu prawnik. Gdy zaczął czytać napisany odręcznie list, miał wrażenie, że słyszy głos brata tak wyraźnie, jakby siedział tuż obok.

„Guy, skoro to czytasz, domyślam się, że wyciągnąłem nogi, zanim zdążyłem wszystko załatwić i – jak zwykle – ty będziesz musiał się tym zająć. Dobrze chociaż, że zdążyłeś nabrać wprawy.

Wiesz już, o co cię poproszę. Zaraz się dowiesz, dlaczego to robię. Chcę, żeby Toby miał dwoje rodziców. Żeby kochał go ktoś, kto wie, przez co ja przeszedłem i kto nigdy nie pozwoli, by jemu przytrafiło się to samo. Fran pewno patrzy na to inaczej, ale zostawiłem ją zupełnie bez niczego.

Przyznaję, że nie byłem najlepszym towarzyszem życia, ale Fran zawsze postępowała bardzo lojalnie i uczciwie. Nie zasługiwałem na nią, ale możesz mi wierzyć, że dzień, w którym zdarzył się nam wypadek i zaszła w ciążę, był najszcześniejszym dniem w moim życiu.

Żałuję tylko, że nie potrafiłem spełnić jej oczekiwań. Nie wyobrażasz sobie, jak mi ulżyło, gdy otworzyłem list od prawnika i odkryłem, że była już mężatką. Dobrze było dowiedzieć się, że nie była idealna. Mówiłem ci, że to ona podjęła decyzję w sprawie ślubu. Nie mam pretensji, że mi nie wierzyłeś... Nigdy jej nie zdradziłem, że przeczytałem ten list i poznałem prawdę. Zresztą to, co ja ukrywałem, było znacznie gorsze.

Opiekuj się nią, Guy. I moim synkiem. Obowiązek, honor – jesteś lepszy ode mnie w tych sprawach. Ona zresztą także. Wiem, że zrobi to, co należy.

No dobra. Chcę skończyć, zanim Fran tu wróci. Powiedziałem prawnikowi, żeby trochę podkoloryzował życzenia umierającego, ale ten



mięczak pewno tego nie zrobi Będziesz musiał sam to załatwić. Powiedz jej, że to dla Tobyego. To powinno załatwić sprawę. Jeśli nadal będzie się opierać, dorzuc jeszcze Matty i Connie. Bez Franceski wpadną w prawdziwe kłopoty.

A teraz sprawa pieniędzy. Trochę za późno na przeprosiny, zresztą zrobiłbym to ponownie, gdyby nadarzyła się okazja. Uczciwie mówiąc, ciągle nie mogę uwierzyć, że tak łatwo dałeś się nabrać. Zwykle jesteś bystrzejszy i znacznie mniej ufny. Pewno nie próbowałbym nawet, gdybym nie dostrzegł, jak tamtego wieczoru patrzyłeś na Fran. Zazwyczaj potrafisz ukrywać uczucia, ale wtedy, gdy za nią stanąłem, wyglądałeś jak rażony gromem... Mogę się już przyznać, że śmiertelnie się przeraziłem. Dobrze wiedziałem, że niczym na nią nie zasłużyłem. Tymczasem ty... Cóż, wystarczy chyba powiedzieć, że zdaję sobie sprawę z twojej wartości. Nie mogłem jednak ryzykować, żebyś tu wrócił i zorientował się we wszystkim, dlatego też sprowokowałem tamtą kłótnię. Nadal pamiętam cios, który mi wtedy wymierzyłeś, ale warto było cierpieć, jeśli to mogło trzymać cię z daleka.

*Nie potrafię nawet wyrazić, jak przez te wszystkie lata za tobą tęskniłem.*

*Steve”*

– Kretyn – mruknął Guy. – Ja też za tobą tęskniłem, bracie.

Odrzucił list i podniósł się zza biurka. Musiał pomyśleć.. . i odetchnąć świeżym powietrzem.

Zostawił auto w biurze i ruszył w stronę Green Park, ale spacer po londyńskim parku nie osłabił pragnienia, żeby spełnić prośbę brata. Żeby poruszyć góry, zawrócić rzeki, zmienić świat Franceski Lang.

Był przekonany, że nie pozwoli, by wtrącał się do jej życia, w którym do tej pory był nieobecny. Wierzyła przecież, że ta nieobecność wynikała z jego małostkowości. Nie cierpiała go i nawet trudno było się jej dziwić. Niestety od chwili przyjazdu nie zrobił nic, co mogłoby zmienić jej nastawienie.

Mógłby oczywiście pokazać jej list. Ogarnęło go przemożne pragnienie, żeby się oczyścić w jej oczach, pokazać z najlepszej strony. W ten sposób jednak zdeprecjonowałby Stevea. I zdradził swoje uczucia do Franceski.

To z pewnością nie było jej potrzebne. Powinna uwierzyć, że chce się z nią ożenić z poczucia obowiązku... i winy. No i że nadal będzie

zachowywał dystans.

Franceska napełniła winem dwa kieliszki i jeden z nich podała Marty.

– Dziś miałam dzień, jakiego nie chciałabym przeżyć ponownie. Piję za jego koniec – powiedziała, unosząc kieliszek.

– Było tak ciężko?

– Szczerze? – spytała.

– Tak będzie najlepiej – odparła Matty.

– Cóż, dobrą wiadomością jest to, że nie będę musiała sprzedawać domu, żeby zapłacić podatek spadkowy.

– To rzeczywiście dobrze. A jaka jest zła wiadomość?

– Nie będę musiała go sprzedawać, bo nie należał do Stevena.

Zapadła martwa cisza. Przez chwilę Fran żałowała, że nie zachowała tych nowin dla siebie. Jednak musiała z kimś porozmawiać...

– Jak pamiętam, mówiłaś mi, że kupił go od Guya. – Matty w końcu odzyskała mowę.

– Tak mi powiedział. Najwyraźniej jednak mijał się z prawdą. Dom kiedyś należał do rodziny, ale kilka lat temu ich ojciec musiał go sprzedać. Akurat tak się złożyło, że był do wynajęcia, kiedy szukaliśmy mieszkania.

Matty zakrztusiła się winem i zaklęła pod nosem.

– Co Guy na to powiedział?

– To z pewnością nie jego sprawa, Matty.

– Słuchaj, nie chcę wprowadzać zanadto nerwowej atmosfery, ale chyba potrzebny ci ktoś, kto stanie po twojej stronie...

– Na pewno nie on! – odparła.

– A jest ktoś inny? – Nie rozumiesz...

– Rozumiem doskonale. Guy Dymoke to szatan we własnej osobie i jego imienia nie należy wypowiadać. Można by pomyśleć, że kiedyś mieliście z sobą gorący, lecz fatalnie zakończony romans...

– Nie! – krzyknęła. Zdawała sobie sprawę, że przesadziła, i dodała spokojnym tonem: – Spotkaliśmy się tylko jeden jedyny raz. Zjedliśmy z nim kolację. Powiedzieliśmy mu wtedy o dziecku.

– Och, nie tłumacz się! Wcale bym cię nie winiła. Sama uważam, że jest strasznie seksowny. Trzepotałam rzęsami, ile wlezie, ale chociaż był czarujący, od razu wiedziałam, że tracę czas. Był zbyt zapatrzony, żeby w ogóle dostrzec moje zabiegi.

– Zapatrzony? W kogo? – Poczowała, że twarz ją pali. – Zresztą to nie ma znaczenia – dodała szybko. – Raczej dręczyły go wyrzuty sumienia. Stosunki między Guyem i Stevenem nie były łatwe, a ja jeszcze bardziej je

utrudniłam. Uważał, że powinniśmy się pobrać, a ponieważ myślał, że to Steve nie chce się wiązać, dał mu się mocno we znaki. Przynajmniej to udało mi się wyjaśnić.

– Powiedziałaś mu o swoim małżeństwie?

– Musiałam.

– Rozumiem... Chciałaś, żeby to on poczuł się winny.

– Chociaż tyle osiągnęłam. Teraz z pewnością żałuje, że nie poświęcił trochę czasu, aby naprawić stosunki.

– Skąd wiesz, że nie próbował? Może to Steve nie chciał tych kontaktów? Prawdopodobnie był mu winny pieniądze. – Kiedy Fran nie reagowała, dokończyła: – Tak właśnie było, prawda?

W głosie Matty zabrzmiała wyraźna nuta paniki. Zapewne dotarło do niej, jak poważnie są zagrożone.

– Nie, oczywiście, że nie – zapewniła kuzynkę pospiesznie. – Zresztą postawię firmę na nogi. Zanim się zorientujesz, interes ruszy pełną parą. Potrzebowałam takiego wyzwania. Wszystko będzie dobrze.

– A co z wynajmem? Kiedy kończy się umowa? Czy prawnik coś na ten temat powiedział?

Tom Palmer w ogóle niewiele mówił. Gdyby go nie przycisnęła, nadał żyłaby w błogim przeświadczeniu, że odziedziczył dom. Nagle przyszło jej do głowy, że chyba wciąż nie wszystko jej powiedział. Przypomniała sobie porozumiewawcze spojrzenia, jakie wymieniali z Guyem, jakby planowali, że omówią wszystko później, gdy już pozbędą się rozhisteryzowanej kobiety...

Mimo wszystko zdobyła się na uspokajający uśmiech.

– Nie martw się, Matty. Guy powiedział, że wszystkim się zajmie.

Muszę tylko za niego wyjść, dodała w myśli.

– A więc chyba nie jest taki zły.

– Co? Och, sama nie wiem. W jednej chwili dałabym głowę, że mnie nie cierpi, a zaraz potem jest taki miły dla Toby'ego...

– Nie odpychaj go, Fran. Toby'emu przyda się towarzystwo życzliwego mężczyzny.

– Stevena nie traktował zbyt życzliwie...

– Znasz tylko wersję Steve'a. – Który oszukał cię w sprawie domu, dopowiedziała w duchu. – Niemniej to brat Stevena. Wuj Toby'ego. W dodatku jest szalenie przystojny. To mężczyzna, z którym miło będzie usiąść na kanapie w zimowy wieczór, kiedy nie ma nic w telewizji.

– Trochę za wcześnie, żeby mówić o takich sprawach.

– Dla ciebie może i tak. Ale nie dla mnie. – Matty roześmiała się. – Nie

bój się, będę grzeczna.

– Nie martw się o mnie – zdołała powiedzieć Fran, ale jej śmiech nie brzmiał zbyt szczerze. – Byłabym szczęśliwa, gdyby cię porwał i zapewnił życie w luksusie.

Chociaż czy zniosłaby to, że są razem? Czy potrafiłaby żyć z tą myślą?

– Nie chodzi wyłącznie o mnie – zwróciła jej uwagę Matty. – Są Toby i Connie.

– Wszystko będzie dobrze – ponownie zapewniła ją Fran. – Porozmawiam z Tomem Palmerem. Jeśli okaże się to konieczne, będzie negocjował z właścicielem domu. Nie ma żadnego powodu, aby nie przedłużyli nam umowy.

– W porządku. No, a jak ci poszło w firmie?

– W ogóle tam nie dotarłam. Po wizycie u prawnika wróciliśmy tutaj.

– My?

– Guy i ja. – Matty uniosła brwi, więc pospieszyła z wyjaśnieniem: – Uznaliśmy, że przede wszystkim trzeba przejrzeć papiery Stevena. Guy skopiował część plików z laptopa, a ja zajęłam się przeglądaniem teczki Stevena. Guy jest wykonawcą ostatniej woli Stevena – wytłumaczyła, widząc zdumienie Matty. – Tyle że ta ostatnia wola nie ma teraz wielkiego znaczenia...

Jęknęła w duchu, myśląc, jak bezdusznie zabrzmiała ta uwaga.

– W zeszłym tygodniu wystawiłam kilka czeków na różne opłaty, w tym także przedszkole Toby’ego – ciągnęła. – Muszę sprawdzić, czy bank będzie je honorował.

– Walkę z bankiem powinnaś zostawić prawnikom.

– Nie, Matty. Dopuszczałam do tego, by życie płynęło obok mnie, a powinnam wziąć je za kark i panować nad tym, co się dzieje. – Podniosła wzrok na sufit. – Boję się, że wszystko może się rozsypać jak domek z kart, jeśli czegoś szybko nie zrobię.

– To znaczy, czego? – spytała Matty. Niepokojące jednak było to, że nie próbowała pocieszać kuzynki. – Masz w ogóle jakiś pomysł?

– Prawdę mówiąc, ułożyłam trzypunktowy plan. Po pierwsze – mówiła, odliczając na palcach – w poniedziałek pójdę do banku, aby zobaczyć, na czym stoję. Muszę ograniczyć wydatki do absolutnie niezbędnych. – Uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Następnie muszę dowiedzieć się, co Steve obmyślił, zanim się rozchorował. Miał jakiś plan, ale powtarzał, że będzie musiał z tym poczekać, aż poczuje się lepiej. – Nie pytała go o nic, bo nie chciała, aby się zorientował, że taki moment nigdy nie nastąpi. – Przejrzałam wszystkie jego rzeczy i próbowałam zorientować się, co to

mogło być, ale znalazłam wyłącznie jakieś papiery napisane po chińsku.

– Może idź z nimi do chińskiej restauracji? – parsknęła Matty, ale zaraz się poprawiła: – Przepraszam, nie pora teraz na żarty. No dobrze, a jaki jest punkt trzeci?

Ślub z Guyem, odparła w duchu, a głośno powiedziała:

– Zagram w totolotka.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Całkiem łatwo było oznajmić, że poważnie traktuje przestrożę, jakiej los jej udzielił. Znacznie trudniej o ósmej rano zmierzyć się z całym światem, który – jak się Francesce zdawało – razem z nią szturmował wejście do metra.

Zanim poznała Stevena, przez dwa lata pracowała w marketingu, jednak nie było to zbyt fascynujące doświadczenie. Jako najmłodszy członek zespołu najczęściej chodziła po kawę, kanapki lub stała przy kserokopiarce. Prawdę mówiąc, nie trzeba było jej zbytnio namawiać, żeby po urodzeniu Toby'ego nie wracała do pracy. Żony znajomych Stevena także nie pracowały i stosunkowo łatwo było wpaść w rytm zajęć na siłowni, wspólnych lunchów i przyjęć. Udawać przed samą sobą, że prowadzi w pełni satysfakcjonujące życie. Nawet jeśli bywały dni, kiedy czuła się, jakby zamknięto ją pod kloszem.

Jednak to już była przeszłość. Od dzisiaj zamierzała stać mocno na ziemi, zacząć wszystko od nowa. Wychodząc ze stacji metra, zdecydowanym gestem poprawiła zakiet. Przynajmniej powinnam wyglądać, jakby tak właśnie było, pomyślała.

Na szczęście nie musiała zaczynać od spotkania z personelem. Dopiero za godzinę zaczęła przychodzić do biura. Przez ten czas powinna przekopać się przez biurko Stevena, wpasować się w jego fotel i sprawiać wrażenie, że to właściwe dla niej miejsce. Być może ta godzina wystarczy, żeby coś wymyślić, zastanawiała się, otwierając drzwi do małego, dość obskurnego biura i hurtowni, mieszczących się w kącie podwórza za kanałem.

Wyjęła klucz z zamka i w tym momencie usłyszała, jak ktoś poruszył się w kantorku, który służył Stevenowi za biuro.

Czyżbym przyłapała kogoś na włamaniu? – przestraszyła się.

Poczuła ulgę, słysząc ciche przekleństwo. Poznałaby ten głos na końcu świata. Z dwojga złego wolałaby już chyba spotkanie z włamywaczem.

Guy wyglądał, jakby siedział tu całą noc. Rozczochrany, nieogolony, błydy ze zmęczenia i wprost niewiarygodnie... seksowny. Tragedia, jaka spotkała ją i Toby'ego, prawdopodobnie znieczuliła ją na tyle, że kiedy zobaczyła go podczas pogrzebu, potrafiła sobie poradzić z szokiem. Niemniej jego widok wstrząsnął jej zmysłami i od tej pory każde jego pojawienie się osłabiało jej mechanizm obronny. Gdy go teraz zobaczyła, poczuła się jak tamtego wieczoru, kiedy stanęła w progu restauracji i straciła serce.

Miała ochotę podejść do Guya, objąć go i pocieszyć, tak jak on to zrobił wczoraj, gdy praktycznie rzuciła mu się w ramiona...

– Co się dzieje, Guy? – spytała, gdy z trzaskiem zamknął szufladę. – Nie mogłeś czegoś znaleźć?

Poczuła wątpliwą satysfakcję, gdy zaskoczony podniósł wzrok. Najwidoczniej nie słyszał, jak wchodziła, i wyraźnie był zażenowany, że przyłapała go na grzebaniu w biurku brata.

– Steve nie był najlepszy w prowadzeniu notatek. Podejrzewam, że robił to celowo. Pewno sam nie chciał wiedzieć, w jakich kłopotach się znalazł. – Guy przetarł twarz dłońmi. – Która godzina?

– Minęła ósma – odparła. Postanowiła nie zastanawiać się, co miała oznaczać uwaga o kłopotach. – Zechcesz mi wyjaśnić, jak się tu dostałeś?

Ledwie zdążyła zadać pytanie, dostrzegła na biurku pęk kluczy.

– Skąd je masz? Dał ci je Tom Palmer? Wydawało mi się, że firma należy do mnie.

– Bo tak jest – odparł ze znużeniem. – Tom mi ich nie dawał.

– No więc? – nalegała. – Sam sobie je wziąłeś z teczki Stevena? Postanowiłeś, że nie będziesz niepokoił zastałego rozumku małej kobietki?

– Nie. Nic...

– Co? Nic nie rozumiem?

Tym razem nawet nie próbował tłumaczyć.

– No więc? – powtórzyła. – Chcesz mi powiedzieć, że jest jeszcze gorzej, niż myślałam? To chyba niemożliwe. – Nagle przyszło jej do głowy, że może się mylić. – Czy zaraz się dowiem, że firmę Stevena też sponsorowałeś?

– Nie. Pomogłem mu tylko w wynajęciu tych pomieszczeń, żeby mógł zacząć.

– Czyli nie tylko dom, ale firma także? Wygląda na to, że Steve był marionetką, a ty jego podporą i filarem. W takim razie dlaczego go zostawiłeś?

– Już mnie nie potrzebował, Francesko. Mówiłem ci przecież. Był całkiem zadowolony, kiedy wyjechałem. Możesz być o to spokojna.

Nie pytała o nic więcej. Nie chciała nawet dopuścić do siebie myśli, że Steven mógł zauważyć jej reakcję, gdy po raz pierwszy spojrziała na Guya i nagle wyobrazila sobie inną przyszłość. Przyszłość, która nie mogła się spełnić...

Poczuła, że nogi się pod nią uginają. Opadła na krzesło sekretarki, które stało przy rogu biurka. W ciszy, która zapadła w pokoju, słyszała wyłącznie głośne bicie własnego serca.

Po chwili, która zdawała się trwać wieczność, Guy przerwał milczenie.

– Czy to już wszystko? Chcesz jeszcze o coś spytać?

– Co? – Potrząsnęła głową. – Przepraszam. Miałeś mi powiedzieć o kluczach.

– Brian Hicks zadzwonił do mnie wczoraj i poprosił, żebym tu do niego przyszedł.

Spojrzała zaskoczona. Kierownik biura?

– Dlaczego nie zadzwonił do mnie? Czemu ty nie zadzwoniłeś? Żadnemu z was nie przyszło do głowy, że chciałabym wiedzieć, co się dzieje?

– To nie tak, Francesko. Brian nie wiedział, co ma robić. Sądził, że potrzebujesz czasu...

– Na co? Na żałobę? Oplakiwałam Stevena, gdy musiałam patrzeć, jak umiera. W tej chwili mogę tylko czuć ulgę, że już więcej nie cierpi. Muszę zacząć myśleć o Tobym, Matty i Connie oraz o wszystkich ludziach, którzy tu pracują i liczą na mnie.

– W każdym razie nie musisz martwić się o pana Hicksa. Oddając klucze, wręczył mi także to. – Popchnął w jej stronę kopertę. – To jego wypowiedzenie. Mówił, że bardzo mu przykro, ale znalazł już inną pracę.

– Tak szybko? – spytała zdumiona.

– Najwidoczniej szukał jej od jakiegoś czasu.

– Cóż, on też musi myśleć o swojej rodzinie. Z pewnością należą mu się jakieś pieniądze. Pensja, wynagrodzenie za urlop. Kiedy pójdę do banku...

– Już mu zapłaciłem.

– O... Cóż, dziękuję. Oczywiście wszystko ci zwrócę.

– To nie będzie konieczne. Chyba pamiętasz, że wszystko ma zostać w rodzinie.

– Nie. – Nie chciała czuć obok siebie niepokojącej obecności Guya. Wystarczy już, że przez trzy lata musiała czuć się winna, bo za każdym razem, gdy zamknęła oczy...

– Tego przecież chciał Steve. Ostatnie życzenie mężczyzny, który cię kochał. Wszystko od razu stanie się prostsze, chociaż zamierzam być wyłącznie cichym współnikiem. Pod każdym względem...

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie wskoczysz do mojego łóżka z takim pośpiechem, z jakim zająłeś moje biuro?

– Mam wrażenie, że nie o to chodziło Steve'owi.

– Przepraszam. To ty powinieneś być wściekły, a nie ja. Ostatecznie ta sytuacja najbardziej obciąża właśnie ciebie.



– Masz wystarczająco dużo powodów, żeby się denerwować. Ja przynajmniej zyskałem rodzinę. – Podniosła na niego zdumione spojrzenie, słysząc w jego głosie nieoczekiwanie ciepłą nutę. Guy jednak wpatrywał się w blok z notatkami. – Wracając do spraw firmy: wygląda na to, że twój personel składa się obecnie z sekretarki i jakiegoś młodego chłopca, Jasona.

– Cóż, to z pewnością obniża koszty. A są jakieś dobre wiadomości?

– Niewiele. Przejrzałem wszystko z Brianem, zanim sobie poszedł. Firma w tej chwili pracuje wyłącznie na odnawianych zamówieniach. Potrzebny będzie nowy towar. Trzeba też będzie ograniczyć odpływ pieniędzy, żeby interesy mogły się rozwijać. Wszystko ci tu rozplanowałem. – Kiwnął głową w kierunku leżącego na biurku notatnika i odchylił się w fotelu. – Jednym z problemów jest to, że firma nie ma konkretnego kierunku działania. Steve importował wszystko, co wpadło mu w oko, niestety nie zawsze wybierał trafnie. Zbyt często zdarzało się, że musiał sprzedać towar ze stratą, żeby się go pozbyć. Podejrzewam, że w obecnym stanie rzeczy bank nie będzie chciał wydać zgody na przedłużenie debetu.

– Mówiłeś, że niewiele jest dobrych wiadomości, ale to by znaczyło, że jednak jakieś są.

– Prawdę mówiąc, zależy to od punktu widzenia. Magazyn jest pełen towarów. Większość rzeczy leży tam od lat, sądząc z ich stanu. Myślę, że to znakomita okazja, żebyś poćwiczyła swoje marketingowe umiejętności.

– A ty nie zamierzasz mi w tym pomóc?

– Ty się na tym znasz, Francesko. Ja muszę zająć się swoją pracą. W gruncie rzeczy jestem ci wdzięczny, że podarłaś bilety na Santa Lucię. Znacznie wygodniej jest wybrać się do miejscowego urzędu stanu cywilnego.

– Wielkie dzięki! Akurat takiej informacji było mi trzeba. Nie mam domu ani siedziby dla firmy, za to mnóstwo rupieci, których Steven nie mógł się pozbyć. Do szczęścia brakuje mi jeszcze taniego pospiesznego ślubu, który ułagodzi bank.

– Miałem na myśli cichy ślub, ale ani przez myśl mi nie przeszło, żeby miał być tani – odparł Guy.

Franceska zaczerwieniła się.

– Nie wyjdę za ciebie po to, żeby zachować dom!

– Ależ nie. Wyjdiesz za mnie, żeby zgodnie z życzeniem jego ojca zapewnić Toby'emu dach nad głową. Nie wspominając już o twojej kuzynce i pani Constantinopoulos.

– Zadałeś sobie tyle trudu, żeby sprawdzić, jak się nazywa?

– Jej nazwisko było mi potrzebne, żeby móc wprowadzić ją na listę płac mojej spółki. Powinnaś tymczasem zlecić Jasonowi inwentaryzację towarów, żebyś mogła je sprzedać, zanim dorwą się do nich wierzyciele.

Ona? Czyżby istotnie zamierzał pozwolić jej prowadzić firmę?

– Jest coś jeszcze?

– Owszem. Tych dwóch typów, którzy zawracali ci głowę tuż po pogrzebie. Wcale nie chodziło im o pieniądze. Wygląda na to, że Steve przekonał jakąś chińską spółdzielnię, żeby dał mu wyłączność na import ich towarów. Chyba chodzi o wyroby z jedwabiu. Ci dwaj gotowi są sporo zapłacić, żeby odkupić prawa do importu, ale teraz, gdy... – urwał. – Właśnie szukałem jakichś dokumentów na ten temat.

– Coś takiego znalazłam w jego teczce. W każdym razie te papiery są napisane po chińsku. Pomyślałam, że trzeba je oddać do tłumaczenia.

– Im szybciej, tym lepiej. Sprawdź dobrze, co to za wyroby, zanim się ich pozbędziesz.

Jedwab. Jak, to miło brzmi...

Nagle uświadomiła sobie, że ściska w rękę zapasowy zestaw kluczy.

– Wydajesz się bardzo zmęczony – zauważyła, wrzucając klucze do torby. – Jak długo tu siedzisz?

– Zbyt długo, ale mój zegar biologiczny jest w tej chwili do niczego.

– Ciesz się, że w twoim organizmie tylko zegar biologiczny źle funkcjonuje – rzuciła ostro.

– Masz rację. To było nietaktowne z mojej strony, biorąc pod uwagę to, co się stało ze Stevem, a także wszystkie twoje problemy.

– Przepraszam! – wykrzyknęła, ogarnięta wyrzutami su – mienia. – Zachowuję się, jakbym wyłącznie ja straciła kogoś bliskiego. Ja tylko... – Nie wiedziała, jak określić to, co właściwie czuje. Była trochę zagubiona, dezorientowana, lecz przede wszystkim zupełnie pusta. Wszyscy spodziewali się, że będzie pogrążona w żalu, a tymczasem ona czuła się, jakby jej uczucia stępiono silnym środkiem znieczulającym. – Powinieneś przespać się trochę – dokończyła wreszcie. Pochyliła się i położyła dłoń na jego ręce. – Idź do domu, Guy.

– Do domu? – Zabrał rękę i potarł palcami nasadę nosa, jakby chciał odeprzeć zmęczenie. – Nie mam domu. Mam tylko wielki jak stodoła apartament, który kupiłem jako lokatę kapitału. Mam tam wszystkie wygody, prócz... ciepła. – Zamyślił się na chwilę. – Przypuszczam, że nie zgodzisz się zjeść ze mną śniadania... Ten jeden raz w życiu nie chcę jeść samotnie.

Oparła się pokusie, żeby ulec jego zaproszeniu.

– Powinam tu zostać i rozejrzeć się trochę, zanim ktoś się pojawi. Ale nie ma powodu, żebyś jadł w samotności. Jedź na Elton Street. Skoro wciągnąłeś Connie na listę płac swojej firmy, sądzę, że mogłaby przygotować ci kanapkę. Mówi jako tako po angielsku, tylko nie potrafi czytać. Czy Marty opowiedziała ci jej historię?

– Wspominała tylko, że jej kanapki mogą okazać się trochę ryzykowne.

– Matty się czepia. Ostatecznie każdy może się pomylić... – urwała. Guy z pewnością nie miał ochoty słuchać historii o ich domowych sprawach.

– Gdzie ją spotkałeś?

A więc jednak chciał się czegoś dowiedzieć.

– W parku. Zobaczyłam, jak karmi kaczki. Zaczęłam z nią rozmawiać. Jest Greczynką. Przyjechała tu kilka lat temu i wyszła za męża za właściciela baru, który wykorzystywał ją jako darmową siłę roboczą, aż któregoś dnia zostawił ją ze stosem rachunków. Nie była w stanie ich spłacić, przerażali ją poborcy podatkowi, spakowała więc to, co zdołała unieść, i uciekła. Przez pewien czas kręciła się w kółko, aż wylądowała w schronisku dla bezdomnych. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam jej pomóc, tylko nie bardzo wiedziałam jak. W końcu pewnego dnia, gdy straciła przy mnie przytomność, zrozumiałam, że muszę wreszcie podjąć decyzję.

– Zabrałaś ją do domu? – zdumiał się. – Jak Steve to przyjął?

– Rozumiał, że nie mogłabym odesłać jej do tego koszmarnego przytułku – odparła krótko, nie chcąc wspominać, jak próbował ją przekonać, że tak właśnie powinna postąpić. Jaki był zły, że w ogóle zaczęła rozmawiać z jakąś bezdomną żebraczką. – Słuchaj, naprawdę powinienes już iść. Jeszcze chwila, a głowa opadnie ci na biurko.

– Jestem poruszony twoją troską, – Jednakowo martwię się o bezdomne żebraczki, zabłąkane psy czy też mężczyzn zmęczonych długą podróżą. Takie pogotowie ratunkowe. Ale teraz przede wszystkim boję się, że jeśli zaśniesz z głową na biurku, nie będę mogła się do niego dostać. Przyjechałeś tu samochodem?

– Nie, zostawiłem auto w swoim biurze.

– To dobrze. Z pewnością nie powinienes siadać za kierownicą. – Wyciągnęła z torby klucze do domu. Przyszło jej do głowy, że nawet nie jest pewna, czy samochód Stevena był jego własnością. Papiery wozu powinny być gdzieś tutaj...

– Czy musisz tu siedzieć? – spytał Guy. Podniósł się zza biurka,

przerywając jej rozmyślania. – To z pewnością ciężkie przeżycie...

W jego oczach dostrzegła współczucie, niepokój i coś, co wyglądało jak rozpacz... To pewno wyczerpanie, uznała. Zapragnęła nagle położyć dłoń na jego policzku, pocałować go w czoło, otoczyć ramionami i przytulić się choć na chwilę.

– Dam sobie radę – odezwała się w końcu. Podniosła klucze i włożyła mu je do ręki. – Weź taksówkę. Connie pokaże ci, gdzie możesz się położyć. Znajdziesz tam przybory Stevena do golenia. O interesach porozmawiamy sobie później.

– No dobrze. Tylko nie zrób czegoś... – przerwał, najwidoczniej zdając sobie sprawę, że nie powinien mówić tego, co przyszło mu do głowy.

– Głupiego?

– Musiałabyś mnie torturować, abym się przyznał, że to chciałem powiedzieć. Masz rację. Chyba faktycznie muszę się trochę przespać. Zobaczymy się później, Francesko.

Drgnęła, gdy dotarł do niej trzask zamykanych drzwi. Co się ze mną dzieje? – zdenerwowała się. Czemu nagle zaczęłam się o niego martwić? Nie potrzebował jej współczucia. Nic mu nie jest potrzebne! To przecież Guy Dymoke...

Guy dotarł w końcu na Elton Street. Jakoś udało mu się nie zasnąć w taksówce. Pewno dzięki temu, że rozpamiętywał moment, w którym Francesca dotknęła jego ręki. Zrobiła to, jakby naprawdę się o niego martwiła. Niestety nie miał złudzeń. Jeśli rozważała, czy wyjść za niego, chodziło jej wyłącznie o to, żeby zabezpieczyć siebie i armię swoich podopiecznych.

Dlatego uznał, że musi pierwszy przerwać ten kontakt fizyczny. Zanim Francesca poczuje zażenowanie z powodu swojej uprzejmości.

Connie nie było w domu, ale to nie miało znaczenia. Wspomniał o śniadaniu, bo miał nadzieję, że będzie mógł spędzić trochę czasu z Fran. Nie miał ochoty na jedzenie, wszedł więc na górę, skierował się prosto do pokoju gościnnego i puścił wodę do wanny. Musiał zastanowić się nad tym całym bałaganem, który zgotował mu los... i Steve.

Sprytnie to wymyślił. Dobrze go znał i wiedział, że cokolwiek się stanie, będzie dbał o jego rodzinę. Kiedy zasugerował, że powinni się pobrać, zdawał sobie sprawę, że w takiej sytuacji Guy nie będzie mógł wyjawić Francesce swoich uczuć.

Chciał się z nią ożenić. To była sprawa honoru... a także jego najgorętsze pragnienie. Jednak musiał zachować to dla siebie.

Gdyby jej to powiedział, pomyślałaby, że chce jej po prostu ułatwić decyzję. I nigdy nie dowiedziałyby się, czy nie zgodziła się wyłącznie z rozpaczy...

Fran przyglądała się liczbom, nad którymi Guy spędził całą noc. Niestety miał rację. Nie wyglądało to dobrze. Trzeba ostro wziąć się do pracy, pomyślała. Jeśli Guy pozwoli jej na odrobinę samodzielności, postara się, żeby przedsiębiorstwo wyszło zwycięsko z kłopotów. Zrzuciła żakiet, włożyła brązowy fartuch, żeby osłonić ubranie przed kurzem, i włączyła światło w małym pomieszczeniu magazynowym. Blask świetlówek bezlitośnie ujawnił, czemu firma znalazła się w kłopotach.

Usłyszała, że drzwi do biura się otworzyły. Po chwili Jason zajrzał do magazynu.

– Dzień dobry, pani... panno...

– Panno Lang. A najlepiej po prostu Fran.

– Tak, oczywiście. Nie spodziewaliśmy się, że tutaj przyjdiesz.

– Niestety Brian Hicks zrezygnował z pracy, odeszli też pracownicy tymczasowi. W tej chwili zostaliśmy tylko my: ty, ja... – znów dało się słyszeć otwieranie drzwi – ... i Claire – dokończyła z wyraźną ulgą. – Orientujesz się, co jest w tych kartonach? – Wskazała pudła ukryte w zakamarkach schowka. Nazywanie tego pomieszczenia hurtownią byłaby grubą przesadą nawet w ustach najbardziej wygadanego agenta nieruchomości. Jason pokręcił głową.

– Stały tu już, kiedy zacząłem pracować. Odetchnęła głęboko.

– No dobrze. Chcę, żebyś zrobił inwentaryzację wszystkich towarów i przyniósł mi na biurko ich próbki.

– Wszystkie?

– Tak, Jason. Wszystkie. Do każdej z nich dołącz informację, ile sztuk mamy na składzie.

– Może najpierw wstawię wodę na kawę? – spytał Jason. – Steve zwykle...

– Nie. Chcę, żebyś od razu zabrał się do pracy. Sama przyniosę ci kawę. – Za jakiś czas, dodała w duchu. – Tymczasem sprawdź wszystkie towary z jedwabiu. Chodzi o import z Chin.

– Dwie kostki cukru – rzucił Jason, zanim odeszła.

Przywitała się z Claire i poprosiła ją o odszukanie papierów samochodu. Sama tymczasem usiadła do rachunków, próbując dopasować je do towarów, które leżały w magazynie. Mogła właściwie zostawić tę pracę specjalistom od wyceny, ponieważ jednak nie było dla niej nic

innego do roboty, uznała, że w ten sposób przynajmniej będzie miała wrażenie, że robi coś pożytecznego.

Jak się okazało, prawie nowy samochód Stevena był wzięty w leasing. Zadzwoiła do towarzystwa, z którego został wynajęty, i uzgodniła, że przyjadą odebrać auto. Znacznie taniej będzie jeździć taksówkami, uznała. A jeszcze lepiej, gdyby zaczęła korzystać z autobusu.

Z biurka, na którym leżały przedziwne artykuły znoszone przez Jasona – papierowe wachlarze, szkaradne ceramiczne żaby, wyjątkowo brzydkie lampy – zebrała przygotowane przez Guya papiery, zostawiła Jasona i Claire, aby dokończyli remanent, i autobusem wróciła do domu. Chciała jak najszybciej oddać do tłumaczenia dokument, który znalazła w papierach Stevena.

Zostawiła torbę w hołu i wbiegła po schodach, po drodze ściągając żakiet i rozpinając spódnicę. Trzeba będzie zastanowić się nad biurową garderobą, pomyślała. Na razie powinna zrezygnować z ciemnych kostiumów i jedwabnych bluzek.

Odłożyła spódnicę i żakiet na łóżko, z niesmakiem obejrzała brudne mankiety i ruszyła do łazienki, żeby wrzucić bluzkę do kosza z bielizną.

Ledwie otworzyła drzwi, zupełnie zapomniała o chińskim dokumencie, który zaprzętał jej myśli.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Franceska stanęła jak wryta. W wannie spał Guy. Napięcie zniknęło z jego twarzy, ciało wydawało się zupełnie odprężone. Po raz pierwszy od chwili jego przyjazdu dostrzegła w nim tego samego mężczyznę, który trzy lata temu patrzył na nią z drugiego końca zatłoczonej restauracji, sprawiając, że przez moment czuła się, jakby była jedyną kobietą na świecie.

Przesunęła wzrok wzdłuż jego ciała i nagle zamarła. To z pewnością tylko falowanie poruszanej jego oddechem wody, pomyślała. Z bijącym sercem przeniosła spojrzenie na jego twarz. Była niemal pewna, że przypatrywał się jej drwiąco...

Nie, na szczęście spał mocno. Teraz, gdy jego rysy wygładziły się i z twarzy zniknęły głębokie bruzdy, wydawał się znacznie młodszy i bardziej przystępny.

Powinna go chyba obudzić. Jeśli zrobił sobie kąpiel zaraz po przyjeździe – nie rozumiała tylko, czemu postanowił skorzystać z jej łazienki – woda musiała być całkiem zimna. Nie wyobrażała sobie jednak, że mogłaby tak po prostu dotknąć jego opalonej ręki...

Nerwowo przełknęła ślinę.

Najlepiej będzie, jeśli wycofa się z łazienki, ubierze się, zejdzie z powrotem na dół, a potem głośno trzaśnie drzwiami i donośnie zawoła Connie. To go z pewnością obudzi, a wtedy już sam zdecyduje, czy iść do łóżka, czy też zejść na dół.

W pierwszej chwili był pewien, że to sen. Nie zdziwił się specjalnie, bo przecież ciągle o niej snił. W nocnych marzeniach nigdy jednak nie leżał w kąpielni, a Franceska nie stawała przy wannie ubrana wyłącznie w biustonosz i stringi.

Przemknęło mu jeszcze przez myśl, że we śnie woda nie powinna być zimna.

Całą siłą woli zmusił się, aby się nie poruszyć i nie dać po sobie poznać, że się obudził. Chciał jej dać czas, żeby mogła wycofać się z łazienki. W ten sposób oboje będą mogli udawać, że ta sytuacja nigdy nie miała miejsca. Oby tylko wyszła, zanim woda zacznie się nagrzewać od temperatury jego ciała...

Franceska zrobiła krok do tyłu, nie spuszczając wzroku z twarzy Guya. Musiała mieć pewność, czy ciągle ma zamknięte oczy...

Jeszcze jeden krok... Łzy stanęły jej w oczach, gdy uderzyła łokciem

we framugę. W tym momencie Guy uznał, że nie ma sensu udawać dalej.

– Trzeba patrzeć, gdzie się idzie – zauważył.

– Dziękuję za radę – warknęła. – Następnym razem, kiedy znajdę w swojej wannie mężczyznę, postaram się o tym pamiętać.

– Chciałem być uprzejmy.

Prawdę mówiąc, chciał znacznie więcej. Wziąć ją w ramiona i pocałunkami ukoić jej ból. Sprawić, żeby w jego objęciach zapomniała o całym świecie...

– Udawałeś, że śpisz? – spytała, patrząc na niego ze złością.

Zamierzał zaprzeczyć, ale zdecydował się powiedzieć prawdę.

– Uznałem, że oszczędzi to nam obojgu zażenowania – powiedział. – Chociaż nie spodziewałem się, że upłynie tyle czasu, nim stąd wyjdiesz.

– Ja... – Zapomniała o bólu, próbując znaleźć jakieś wiarygodne wyjaśnienie. – Po prostu mnie замуrowało.

– To tak jak mnie, tyle że w moim przypadku to zrozumiało.

– Słucham? O ile wiem, zaproponowałam ci pokój gościnny...

– No właśnie.

– ... który jest na końcu korytarza – dokończyła. – I ma własną łazienkę. Dość małą, ale całkiem wygodną. A w ogóle dlaczego nie zamknąłeś drzwi?

– Nawet mi to do głowy nie przyszło. Kiedy jestem w terenie, nie używam drzwi, bo ich tam nie ma, a w domu nie muszę się przed nikim kryć. – Próbuje zachować panowanie nad sobą, co w tej sytuacji było wyjątkowo trudne, poprosił: – Podaj mi ręcznik, dobrze?

– Sam sobie weź! – warknęła.

– Jasna sprawa. – Chciał dobrze, ale skoro tak... Kiedy jednak usiadł, Francesca dostrzegła, że popełniła błąd.

– Poczekaj! Już ci daję. – Sięgnęła do stosu ręczników leżących na półce i odwracając wzrok, wyciągnęła rękę.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego tu jesteś – powiedziała, kiedy już owinął biodra ręcznikiem i wyszedł z wanny. – Connie z pewnością nie zaprowadziła cię do mojego pokoju. I dlaczego nie rozrzuciłeś swoich rzeczy po całym pokoju jak każdy normalny mężczyzna?

– Bo je powiesiłem. – Sięgnął ponad jej głowę do wieszaka na drzwiach łazienki.

– Będziesz świetnym mężem – zakpiła. Po jej minie widać było, że wolałaby ugryźć się w język.

– Obawiam się, że wieszanie ubrań na miejscu nie jest wystarczającą rekomendacją. – Uznał, że lepiej będzie zmienić temat. – Przepraszam, że



wtargnąłem do twojej łazienki, ale Connie gdzieś wyszła, a kiedyś pokój gościnny był właśnie tutaj. – Zrobił krok w stronę drzwi, Francesca jednak nawet nie drgnęła. – Pewno przybory do golenia będą w tamtej łazience? – spytał, bojąc się podejść bliżej. Na tej niewielkiej przestrzeni było zbyt wiele nagości. Czuł, że jego ciało dłużej nie zniesie takiej tortury. – Na końcu korytarza, tak?

Zmarszczyła brwi, jakby nagle ocknęła się z długiego zamyślenia.

– Tak, .. Znajdziesz tam też ubrania Stevena. Możesz wziąć, na co tylko masz ochotę...

Nagle uświadomiła sobie, że jest trochę za skąpo ubrana, aby składać takie deklaracje. Zaczerwieniła się po korzonki włosów.

– To znaczy czyste koszule, skarpetki – pospieszyła z wyjaśnieniem. – Szczoteczka do zębów leży w szafce pod...

– Dziękuję. Na pewno wszystko znajdę.

– No tak... To ja już... – Odwróciła się gwałtownie i czym prędzej umknęła z łazienki.

Odczekał chwilę, żeby zdążyła ewakuować się z pokoju. Poniewczasie przypomniał sobie, że powinien spytać, czy z łokciem wszystko w porządku. Kiedy jednak spojrzął za nią, widok jej opalonych na złoto pleców wyparł wszystkie inne myśli.

Nie czekała, żeby go spytać, czy zamierza pójść spać. Chwyciła pierwsze ubrania, jakie się nawinęły pod rękę, i uciekła. Z holu zabrała papiery, które przyniosła z biura, i ukryła się w gabinecie.

Ubrała się w workowate dzinsy i luźną bluzkę, która gruntownie ukrywała jej figurę. Przy Stevenie nigdy nie nosiła tych rzeczy, bo gderał, że wygląda w nich nieporządnie, teraz jednak było za późno, aby się przebierać. Niestety, także za późno, żeby próbować coś ukryć, zakpiła z siebie w duchu.

Guy zobaczył już wszystko, co było do obejrzenia. Zamiast wyjść z łazienki natychmiast, gdy zorientowała się, że nie jest sama, wdała się w rozmowy, jakby przyszła na przyjęcie. Zupełnie nie potrafiła zrozumieć, co w nią wstąpiło, że utknęła tam, gapiąc się jak kompletna idiotka. W końcu uznała, że najlepiej się stanie, jeśli na razie w ogóle nie będzie o tym myśleć...

A jeszcze lepiej, jeżeli natychmiast wyjdzie z domu. Chwyciła teczkę Stevena, upewniła się, że ma w niej wszystkie papiery, łącznie z chińskim dokumentem, i po cichu zeszła na dół. Chciała jeszcze wejść do kuchni i poinformować Connie o ich gościu.

Toby właśnie jadł lunch. Uściskała synka, zjadła kęs paluszka rybnego, którym chciał się z nią podzielić, i wyszła z domu przez kuchenne drzwi.

Idąc w stronę furtki, zauważyła Matty pochyloną nad swoją deską kreślarską. Prawdopodobnie nadrabiała zaległości, które narosły, gdy podczas choroby Stevena spędzała czas z Franceską, próbując podtrzymać ją na duchu.

– Już poszedł – oznajmiła Connie, kiedy po powrocie do domu Franceską spytała o Guya. – Miałam mu zrobić lunch, jak kazałaś, ale zobaczył paluszki rybne i zjadł je razem z Tobym.

– Boże święty! Na pewno były już zimne. Connie rozłożyła ręce.

– Mówił, że takie są dobre i zrobił sobie kanapkę.

– Kiedy wyszedł?

– Niedawno. Mówił, że ma dużo pracy i żebyś się nie martwiła, bo wszystkim się zajmie. A potem poszedł do Matty. Może ciągle jest u niej?

Matty? Niemiłe uczucie, uderzająco podobne do zazdrości, odebrało jej oddech. Przypomniała sobie, jak swobodnie z sobą rozmawiali, jak uśmiechał się do jej kuzynki, chociaż dla niej nigdy nie miał uśmiechu.

Ależ jestem wstrętna, zawstydziła się. Jak mogła być zazdrosna o kuzynkę? Powinna się cieszyć...

Bo przecież się cieszyła. Żałowała po prostu, że nie zastała Guya. I tyle... Powiedział jej dzisiaj, że zaproponowano znaczną sumę za prawa importu jednego towaru, więc chciała się dowiedzieć, o jaką kwotę chodzi, musiała się go poradzić...

Chociaż może lepiej, że poszedł do domu. Za bardzo zaczęła na nim polegać. Dał jej jasno do zrozumienia, że firma to jej problem, więc sama musi wszystko rozważyć.

Zresztą było też wiele innych naglących spraw. Jeżeli nie zamierzała wyjść za niego, powinna porozumieć się z agentem nieruchomości reprezentującym właściciela i omówić warunki wynajmu.

Tylko jak miałyby go przekonać? Niestety nie dysponowała zbyt mocnymi argumentami.

Jednak im prędzej to załatwi, tym lepiej.

– No dobrze. Idę do gabinetu. Connie oparła ręce na biodrach.

– A kiedy będziesz jeść? Może mi powiesz, co?

To pytanie padało codziennie od kilku tygodni. Dziś jednak Fran miała na nie odpowiedź.

– Zjadłam zupę, kiedy wyszłam do miasta.

– Ha! To znaczy, że moja zupa już nie jest dla ciebie dobra, tak?

– To był lunch w interesach, Connie.

Właściciel pobliskiej chińskiej restauracji poczęstował Fran rosółem, gdy tymczasem jego nastoletni syn tłumaczył znaleziony przez nią dokument. Wszyscy byli dla niej tacy mili, że zmusiła się nawet, by przełknąć kilka łyżek zupy.

Na Connie „lunch w interesach” najwyraźniej nie zrobił wielkiego wrażenia.

– Załatwiasz interesy w takim stroju? Co powiedziała by Steven, gdyby zobaczył, że wychodzisz tak ubrana?

– Stevena już z nami nie ma. Od tej chwili będę musiała wszystko robić po swojemu. – I chyba najwyższa pora zaczynać. – Będę na górze, gdybyś mnie potrzebowała.

Najpierw zadzwoniła do Claire, żeby dowiedzieć się, jak sprawy stoją.

– Skończyliśmy inwentaryzację, znalazłam też większość papierów.

– Świetnie, zostaw mi je na biurku. Słuchaj, powiedz mi coś o towarach z jedwabiu, które Steven zaczął importować. Wśród tych rzeczy, które Jason rozpakowywał, nie było nic takiego.

– Nie, bo całe dostawy natychmiast były sprzedawane.

– Nie ma żadnych próbek? Ani katalogu?

– Nie, katalogu nie ma...

– Przecież musi być coś, co można pokazać klientom?

– No... właściwie było kilka sztuk...

– I co się z nimi stało?

– Kiedy Steven nie... To znaczy... Pomyślałam, że to zbrodnia, aby kurzyły się w szafie.

– Chcesz powiedzieć, że je sobie wzięłaś? – zdumiała się Fran.

– Jeden ze szlafroków oddałam mamie, ale drugi ciągle mam u siebie. Pewno chcesz je dostać z powrotem?

– Nie, Claire. Możesz je zatrzymać, ale muszę zobaczyć, jak wyglądają. Bardzo cię proszę, pojedź teraz do siebie i przywieź mi tutaj ten szlafrok.

– Teraz? Ależ to zajmie mnóstwo czasu, a ja mam...

– Claire!

– Będę możliwie najszybciej.

Kiedy Francesca zobaczyła prześliczną migotliwą tkaninę, jakość wykonania, piękny fason, zrozumiała, czemu Claire zabrała szlafrok do domu i dlaczego tamci dwaj mężczyźni gotowi byli sporo zapłacić za odkupienie prawa do importu.

Właściwy kierunek... Towar przewodni... Tego według Guya brakowało firmie. Ale Steven w końcu to znalazł. Dla niego już było za późno. Jednak nie dla niej.

W poniedziałek z samego rana zamierzała pójść do banku i udowodnić, że jest odpowiedzialnym klientem, który może zarządzać finansami swojej firmy oraz prosić o pomoc w kredytowaniu jej planu biznesowego.

Niestety bank zdążył ją uprzedzić. W sobotę rano nadszedł list z informacją, że na jej rachunku nie ma funduszy na pokrycie bieżących zleceń. Do listu dołączono zaproszenie na poniedziałek na dziesiątą rano w celu omówienia jej sytuacji.

Poczuła, jak wściekłość i rozgoryczenie chwytają ją za gardło. Pewno by się rozpląkała, lecz nie był to najlepszy czas na uzalanie się nad sobą. Jeszcze do dzisiaj jej sytuacja, chociaż ponura, nie wydawała się aż tak katastrofalna. Co prawda nie potrafiła wykrzesać z siebie entuzjazmu na widok żab i lamp, których nigdy nie ustawiłaby w swoim domu, to jednak jedwabne szlafroki wzbudziły w niej nadzieję na sukces.

Postanowiła przejrzeć pudło z makulaturą i poszukać w gazetach stron adresowanych do kobiet. Redaktorzy tych działów byli w stanie zainteresować produktem miliony klientek. A przecież zbliżały się święta...

– Idę na górę – powiedziała do Connie.

– Będziemy z Tobym robić ciasteczka. Później przyniesiemy ci herbatę.

Przydałby się nam jakiś cud, pomyślała, zamykając drzwi maleńkiego gabinetu. Rzuciła okiem na błyszczące jedwabne szlafroki, które powiesiła na krześle.

Będzie musiała opracować strategię, która pozwoli odrobić straty, a w dalszej perspektywie zapewni przyszłość – jej i Toby'emu. Na razie jednak potrzebowała żywej gotówki, i to szybko. Inaczej, żeby ratować rodzinę i przyjaciół, będzie musiała wyjść za Guya. A wówczas związek, który kiedyś był jej najskrytszym marzeniem, mógł stać się najbardziej przerażającym koszmarem.

Nie zrobię tego, póki nie sprawdzę wszystkich innych możliwości, przysięgła sobie. Na pewno jest jakiś prostszy sposób.

Sięgnęła po blok papieru i narysowała pionową linię pośrodku kartki. Jedną kolumnę zatytułowała „aktywa”, drugą „pasywa”.

Czym dysponowała? Przede wszystkim była jej biżuteria. Może udałoby się również sprzedać ubrania od znanych projektantów. Mieli też kilka ładnych mebli...

Uświadomiła sobie z przerażeniem, że to wcale nie jest jej własność. Poza kilkoma rzeczami, które sama nabyła, dom był umeblowany, kiedy Steven go „kupował”.

Teraz tylko brakowało, żeby brylanty, którymi Steve obsypywał ją przy każdej okazji, okazały się cyrkoniami. Może się jeszcze dowiedzieć, że jest w takim samym położeniu jak Connie, zanim ją przygarnęła.

Bezdomna i bez grosza przy duszy...

Tyle że nią nikt się nie przejmie. W tym momencie pojawiła się uporczywa myśl o Guyu, ale odepchnęła ją pospiesznie i wróciła do swojego bilansu. Poczowała ulgę, gdy dzwonek telefonu przerwał jej spisywanie pasywów.

– Francesko? Mówi Guy.

No, może przesadziła z tą ulgą.

– Tak? – wykrztusiła.

– Cieszę się, że cię zastałem. Zastanawiałem się, czy masz na dzisiaj jakieś plany.

– Robię porządek w gabinecie Stevena – wyjaśniła szybko. – Mam dużo pracy.

– W takim razie nie będziesz chyba miała nic przeciwko temu, że zabiorę gdzieś Toby'ego.

– Toby'ego?

No jasne... Chciał zaprzyjaźnić się ze swoim bratankiem. Skąd jej przyszło do głowy, że to ją zamierzał gdzieś zaprosić? Miał się z nią tylko ożenić...

– Na przykład do zoo – uzupełnił.

– Do zoo? No nie!

– Masz coś przeciwko temu? Czy może w ogóle nie chcesz, żeby wychodził ze mną? Nie martw się, zrozumiem to oczywiście. Przecież ledwo mnie znasz.

– I mimo to spodziewasz się, że za ciebie wyjdę?

– Och, to zupełnie co innego, przecież wiesz. Zwyczajny interes, a poza tym...

– Już raz to zrobiłam? To chciałeś powiedzieć? Dziękuję, że mi przypomniałeś. Mam nadzieję, że z tobą łatwiej będzie się rozwieść.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– Oczywiście – powiedział w końcu. – Gdy tylko staniesz na nogi. Nieskonsumowane małżeństwo łatwo unieważnić.

Nieskonsumowane... Świetnie. Znakomicie.

– To co masz przeciwko zoo? – wrócił do swojej propozycji.

– Chyba nic. Tylko... – Przypomniała sobie, co mówiła Matty. Toby będzie potrzebował towarzystwa mężczyzny.

– Nie musisz go nigdzie zabierać, żeby się z nim zobaczyć. Zawsze

możesz po prostu przyjść do nas.

– Dziękuję. Doceniam to, ale pozwól mi dzisiaj z nim wyjść. Dopiero się uczę, jak być wujkiem, a przecież kilka dni temu były jego urodziny. Z takiej okazji należy mu się specjalna atrakcja, prawda? Jakies hamburgery, lody i czekolada. Czy jest coś, co sprawiłoby mu szczególną przyjemność?

– Może zabierz go na London Eye. Na pewno mu się spodoba.

– A ty? Nie chciałabyś się wybrać z nami? – Jego głos zabrzmiał niespodziewanie ciepło.

Ucieszyła się, że zaproponowała przejażdżkę na tym olbrzymim kole. Mogła być pewna, że nic jej nie skusi, aby zmienić zdanie.

– W ten sposób cel tej męskiej wyprawy zostałby zaprzepaszczone, nie sądzisz? – Usłyszała dzwonek do drzwi.

– Przepraszam cię, muszę kończyć. O której możemy się ciebie spodziewać? Nie chciałabym mówić Toby'emu za wcześnie, bo będzie zbyt podekscytowany.

– Zaraz będę – obiecał.

Odłożyła słuchawkę i przez chwilę siedziała nieruchomo, próbując odzyskać spokój. Dzwonek przy drzwiach zabrzmiał ponownie.

– Fran, możesz otworzyć? – zawołała Connie.

– Oczywiście! – odkrzyknęła. Zerwała się na nogi i pobiegła na dół.

Guy stał z komórką przy uchu oparty o najnowszy model saaba. Po chwili schował telefon, sięgnął do auta, wyjął piłkę Toby'ego i wtedy spostrzegł, jak Francesca otwiera drzwi.

Powoli zamknął samochód i wszedł na schodki.

– Myślałem już, że kiedy mnie zobaczyłaś, uciekłaś tylnym wyjściem – powiedział.

– Nie... fa...

Na szczęście w tym momencie z kuchni wypadł usmarowany mąką Toby.

– Przyjechałeś pograć ze mną? – zawołał. Francesca zdołała go chwycić, nim rzucił się w ramiona Guya.

– Może zagramy później – odparł Guy, kucając przed chłopcem. – Najpierw sobie gdzieś pójdziemy. Masz ochotę?

– Mamusia też pójdzie?

– Wujek Guy zabierze cię na London Eye – wtrąciła Fran pospiesznie, zanim Guy zdążył odpowiedzieć. – Pojedziecie tylko we dwóch. Najpierw jednak muszę cię doprowadzić do porządku. Maszeruj na górę.

– Na pewno nie chcesz wybrać się z nami? – spytał Guy, gdy sprowadziła Toby'ego na dół. Buzia chłopca lśniła czystością, włoski miał

uczesane. – Mam wrażenie, że przydałoby ci się trochę odpoczynku.

– Nie noszę żaloby, ale to nie znaczy, że jestem gotowa na...

– A przynajmniej powinnaś odetchnąć świeżym powietrzem – uciał, zupełnie jakby zdawał sobie sprawę, że to wyłącznie wymówka – i pozbyć się tej chorobliwej bladości.

– To akurat mogę osiągnąć, siedząc spokojnie w ogrodzie, kiedy ty będziesz umacniał więzi z bratankiem. Kiedy już dowiesz się, jak to jest być wujkiem, poćwicz się trochę w prawieniu komplementów. – Zanim zdążył jej udowodnić, że tę umiejętność ma nieźle opanowaną, zakończyła: – No dobrze. Macie przestrzegać trzech zasad. Żadnych napojów gazowanych, czekolady ani frytek – wyliczała na palcach.

– Śmiać się wolno? – spytał drwiąco.

– Proszę bardzo, możesz mu kupić, co tylko chcesz. Mam nadzieję, że będzie ci wesoło, kiedy zwróci wszystko na ciebie.

– Żadnych musujących napojów, czekolady, frytek. Masz to jak w banku. Tobie, pożegnaj się z mamusią – powiedział, otwierając drzwi.

– Pa, mamusiu – powiedział chłopiec, kiedy Guy posadził go na tylnym siedzeniu. Chętnie podbiegłaby do auta i zabrała synka. Wcale nie miała ochoty tracić go z pola widzenia.

– Pa, kochanie – odparła, przywołując na usta uspokajający uśmiech. – Baw się dobrze.

– Och, zapomniałbym ci powiedzieć – odezwał się Guy znad pasa, którym przypinał Toby'ego. – W przyszłym tygodniu przyjdzie tu inspektor budowlany. Oczywiście najpierw zadzwoni, żeby się z tobą umówić.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

– Inspektor budowlany? Guy obszedł samochód.

– Nie ma się czym przejmować. Rzuciłem okiem na dobudowane mieszkanie i mam wrażenie, że jest bardzo solidnie zrobione, wolałbym jednak zasięgnąć opinii fachowca.

– Co cię obchodzi, czy przybudówka jest solidnie zrobiona? – zdumiała się Fran.

– Musi mnie to obchodzić, bo kupiłem dom. Mówiąc to, usiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwiczki i zanim Francesca odzyskała panowanie nad sobą i zdołała zamknąć usta, był już w połowie uliczki.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Powinna w tej chwili zatrzymać pierwszą przejeżdżającą taksówkę i wydać dramatyczne polecenie:

– Za tym autem!

Guy nie miał prawa obwieszczać takiej nowiny i zaraz potem odjeżdżać. Chciała usłyszeć z jego ust jakieś wyjaśnienie. Musiała natychmiast dowiedzieć się, co on do cholery wyprawia! Jakimś cudem, a tego właśnie oczekiwała, na ulicy pojawiła się wolna taksówka. Niestety, kiedy Fran wróciła z torebką, samochód Guya zniknął z pola widzenia i mogła jedynie poprosić:

– Pod London Eye, jak najszybciej pan może. To wyjątkowa sytuacja.

Ledwie zdążyła to powiedzieć, uzmysłowiła sobie, jak głupio to musiało zabrzmieć. Kto w wyjątkowej sytuacji wybiera się na przejażdżkę najnowszą londyńską atrakcją? Na szczęście taksówkarz, który pewno niejedno już widział, odparł tylko:

– Już się robi, proszę pani. – Po czym ruszył energicznie w stronę wielkiego koła, które wznosiło się wysoko ponad Tamizą.

Niestety w wolno posuwającym się sznurze samochodów energia kierowcy nie na wiele się zdała. Taksometr poruszał się znacznie szybciej niż samochód, a kiedy utknęli w wąskim gardle na Hyde Park Corner, Francesca uznała, że marnuje nie tylko czas, ale też pieniądze. Znacznie szybciej dojechałaby metrem.

Guy i Toby bez wątpienia będą sto pięćdziesiąt metrów nad ziemią, zanim dotrze na miejsce. Prawdę mówiąc, im dłużej przedzierali się przez zatłoczone ulice, tym bardziej żałowała, że ruszyła w pościg. Co niby zamierzała zrobić? Powiedzieć, że nie miał prawa kupować jej domu? Że mu na to nie pozwoli? To nie był jej dom i Guy mógł robić, na co miał ochotę.

– Jesteśmy, proszę pani – odezwał się taksówkarz.

– Słucham? Ach, tak... – Pragnienie, żeby znaleźć się tutaj, malało wprost proporcjonalnie do klikania taksometru. Wiedziała, że jeśli natychmiast nie wróci do domu, zrobi z siebie piramidalną idiotkę. Najpierw musi spokojnie wszystko przemyśleć...

Wystarczył jeden rzut oka na licznik, żeby powstrzymać się od zawrócenia taksówki. Trzeba będzie pojechać komunikacją miejską, pomyślała, sięgając po portmonetkę.

– W porządku, ja zapłacę.

Zaskoczona podniosła wzrok. Guy płacił taksówkarzowi, otwierał



drzwiczki... Zupełnie jakby czekał na nią, jakby się jej spodziewał.

– Mamusia! Wujek Guy mówił, że przyjedziesz! – rozległ się radosny okrzyk Toby ego.

– Naprawdę? – Guy stał pod słońce, jego twarz była ukryta w cieniu. – Tak mu powiedziałaś?

– Domyślałem się, jak trudno ci się teraz rozstawać z synkiem. Pospiesz się, bo już wchodzimy.

Podniosła wzrok na wielkie koło.

– Już? Przecież jest kolejka.

– Zarezerwowałem miejsca telefonicznie.

Toby chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę pomostu, z którego wchodziło się do kapsuły.

– Chodź, mamusiu!

– Nie mam biletu – zaprotestowała, nie ruszając się z miejsca.

– Kupiłem trzy. – Powinna się tego spodziewać. Miała wrażenie, że patrzy na nią pobłaźliwie. – To ci dobrze zrobi – mówił. – Już jesteś trochę mniej blada.

Nie miała wątpliwości, że na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Tyle że wcale nie były wynikiem świeżego powietrza.

– No, chodź – rzucił niecierpliwie, gdy – wciąż stała w miejscu. – Chcesz mnie przecież o coś spytać. Kiedy już wsiądziemy, zdam się na twoją łaskę.

– Mamusiu, proszę!

Co za zabójcza zgodność, pomyślała kpiąco. Nie było wyjścia. W tej sytuacji nie mogła powiedzieć „nie”.

Wszystko będzie dobrze, jeśli nie będę patrzeć w dół, powtarzała sobie, wsiadając z resztą grupy do przezroczystej kapsuły.

Toby od razu pognał w drugi koniec gondoli, żeby jak najwięcej zobaczyć.

~ Ojej! – wołał. – Wujku, popatrz! Mamusiu, spójrz!

Kiedy zaczęli się wolno wznosić, Guy pokazywał chłopcu różne budowle Londynu. Odwróciła się wtedy plecami, udając, że niezwykle zainteresowało ją coś po drugiej stronie.

W końcu Guy zostawił malca, któremu najwyraźniej wystarczało samo oglądanie miasta z góry – Może usiądziemy? – zaproponował. – Ale Toby...

– Nic mu nie będzie.

Doskonale o tym wiedziała. Jednak nie zmniejszyło to lęku wysokości.

– Chciałaś mnie spytać o dom – mówił Guy. Delikatnie rozprostował

jej zaciśnięte na uchwycie palce i trzymając ją za rękę, poprowadził w stronę ławeczki. – Przecież po to tu przyjechałaś.

– Tak? Myślałam, że powodem była moja nadopiekuńczość – udała zdziwienie. Guy nie odpowiedział. I bardzo dobrze. Widać podejrzewał, że grała na zwłokę. No, to zaraz wyprowadzi go z błędu! – Rzeczywiście kupiłeś dom? – spytała.

– Tak, ale to niewiele zmienia. Boże święty! A więc to prawda!

– Przysięgam ci, że nie odczujesz mojej obecności.

– Obecności? – Kątem oka dostrzegła w dole Tamizę i poczuła znajomy skurcz w żołądku. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Planuję przerobić strych na samodzielne mieszkanie, z którego mógłbym korzystać podczas pobytów w Londynie.

Niewiele brakowało, żeby spytała, co dało mu prawo do takich planów. Na szczęście w porę się opanowała. Powinna przecież widzieć w nim przyjaciela.

– Chyba będzie ci trochę ciasno po luksusach, jakie masz w swoim apartamencie.

– Na pewno nie będzie mi go brakować.

– Brakować? – Niemile uczucie w żołądku nie miało nic wspólnego z lękiem wysokości. – Proszę, nie mów mi tylko, że musiałeś go sprzedać, aby móc kupić dom?

– Przykro mi, że postawiłem cię w przymusowej sytuacji – mówił, nie odpowiadając na jej pytanie. – Na szczęście dość rzadko przyjeżdżam do Londynu.

– Czy nie wyszłoby taniej, gdybyś płacił czynsz, póki nie załatwię wszystkich spraw? Skoro już martwiłeś się, że Toby zostanie bez dachu nad głową...

– W pierwszej chwili zamierzałem to zrobić – odparł. – Chciałem ci tego oszczędzić, ale przypierasz mnie do muru... Cztery miesiące temu właściciel domu wręczył Steve'owi półroczne wypowiedzenie. Za dwa miesiące musiałabyś się wyprowadzić.

O dziwo, w ogóle jej to nie zaskoczyło. Rewelacje ostatniego tygodnia sprawiły, że już nic nie mogło jej zdziwić.

– Biedny Steven – odezwała się w końcu. – Wyobrażam sobie, jak bardzo musiał cierpieć. Nic dziwnego, że poprosił cię, abyś się ze mną ożenił. Po prostu nie widział innego wyjścia.

Guy pobladł. Jej współczujący ton pozbawiał go złudzeń. Mimo tragicznej sytuacji nie potrafiła winić Steve'a za wszystkie nieszczęścia, które na nią ściągnął. Powinna przecież na niego pomstować, a tymczasem

próbowała go zrozumieć.

– Czy to możliwe, że stres przyspieszył jego śmierć? – spytała. – Jego stan tak szybko się pogarszał. Pytałam go, czy nie powinnam się z tobą skontaktować, ale wszyscy sądziliśmy, że ma jeszcze dużo czasu... Byłam wdzięczna, że nie cierpi, ale...

– Francesko... – zaczął niepewnie. Nie mógł pozwolić, żeby za błędy męża zaczęła winić siebie. – Nie mogłabyś nic zrobić. Steve po prostu taki był. Nie umiałbym zliczyć, ile razy zdołał mnie nabrać. Dobrze wiedział, że nie można mu się oprzeć.

Prawie się uśmiechnęła.

– Starasz się być uprzejmy. Nie musisz.

– Wcale nie. Najzwyczajniej w świecie jestem realistą. Nie powinnaś się obwiniać, naprawdę.

Przez chwilę patrzyła na niego z uwagą, po czym kiwnęła głową.

– Dziękuję. Przepraszam, że zostałeś wciągnięty w kłopotliwą sytuację. Naprawdę nie musisz kupować domu. Jakoś sobie poradzimy.

– To...

– I nie mów, że już to zrobiłeś. Nieruchomości nie kupuje się z godziny na godzinę. Na to trzeba tygodni, jeśli nie miesięcy.

– Tylko wtedy, gdy są jakieś prawne niejasności. Tom Palmer miał wszystkie dokumenty dotyczące domu, a przez dziesięć ostatnich lat nic się nie zmieniło...

– Poza rozbudowę.

– No tak, poza rozbudowę – przytaknął. – Na szczęście właściciel nic o niej nie wiedział. A w tej sytuacji wystarczy, załatwię wszystko w urzędzie urbanistyki.

– Nie potrzebowaliśmy zgody na rozbudowę. Steven powiedział. .. – urwała raptownie. – No tak... Oczywiście.

Delikatnie dotknął jej dłoni, ale gdy podskoczyła jak oparzona, błyskawicznie cofnął rękę.

– Przepraszam... – rzucił sucho. Uznał, że być może Francesca zdoła go zaakceptować, jeśli stanie się ledwie dostrzegalny i po prostu wykona swój obowiązek. – Już w porządku. Możesz przestać się martwić o los Matty i Connie, I tak już zbyt wiele na ciebie spadło.

Miała wrażenie, że mówi to całkiem obojętnie, jakby nie pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji. Czy to zawsze tak wyglądało? Steven coś zawałał, a Guy wyciągał go z tarapatów?

– Spróbuj zrozumieć, to dla nas wszystkich najrozsądniejsze rozwiązanie – podjął Guy. – Ja nie potrzebuję wielkiego apartamentu, tym

bardziej że przez większość czasu stoi pusty. Z kolei wam wszystkim potrzebny jest dom. O przyszłość też nie musisz się martwić. Po śmierci Steve'a sporządziłem nowy testament. Wszystko zapisałem tobie.

– Guy... – Głos uwiązał jej w gardle.

– Uważam, że należy załatwiać takie sprawy, zanim zrobi się za późno. Trzeba brać pod uwagę różne przypadki, które mogą nam się przytrafić.

To prawda, pomyślała. Kiedy poznała Stevena, wydawało jej się, że znalazła księcia z bajki, z którym spędzi długie, wolne od trosk życie.

A potem przekroczyła próg pewnej restauracji i odkryła, że życie nie jest takie proste.

Ten ułamek sekundy, kiedy spojrzała na Guya Dymoke'a i zrozumiała, co naprawdę znaczy „długo i szczęśliwie”, był oczywiście wyłącznie złudzeniem. Wizja rozplynęła się błyskawicznie i Francesca wróciła do rzeczywistości. Parę chwil później Guy sprawiał wrażenie zupełnie innego człowieka. Chłodny, daleki, tak doskonale pasował do charakterystyki Stevena, że bez najmniejszego wysiłku zapomniała o swoich doznaniach. I całe szczęście. Podjęła przecież decyzję, od której nie było odwrotu.

Tyle że Steven kłamał. Na swój temat, na temat swojego brata... Ona także kłamała. Zdaje się, że w ich związku tylko Toby był prawdziwy. Spojrzała na malca, który z wielką uwagą wpatrywał się w coś pod nimi.

– Nie zostawiaj majątku mnie. Zapisz go Toby'emu – powiedziała, gdy w końcu odzyskała głos. – On jest twoim najbliższym krewnym. Przynajmniej w tej chwili.

– Jesteś jego matką i to ty będziesz się nim opiekować. A jako moja żona możesz odziedziczyć wszystko i nie oddawać doli ministrowi skarbu.

– No, nie! Chyba nie mówisz poważnie. Chcesz się ze mną ożenić, żebym uniknęła podatku?

– To naprawdę ma sens. Gdybym na przykład wpadł pod autobus, musiałabyś sprzedać dom, żeby zapłacić podatek spadkowy.

– To miałyby sens, gdyby nie brać pod uwagę uczuć, ale skoro mówimy o niespodziewanych wydarzeniach, trzeba zagłębić się w sytuację. – Spojrzała na niego, czekając na odpowiedź.

– Co masz na myśli?

– Zaraz ci wytłumaczę. Weźmiemy ślub, ty zamieszkas w swoim małym mieszkanku na górze, ja i stowarzyszenie kulawych kaczątek zajmiemy resztę domu. Tak to widzisz, prawda?

– Zgadza się.

– Właśnie. A teraz powiedz mi, co będzie, kiedy spotkasz dziewczyna swoich marzeń i się zakochasz? Będziemy musieli się wyprowadzić?

Musiała zadać to pytanie, chociaż na myśl, że miałby się zakochać, poczuła się, jakby wbijano jej nóż w serce.

– To jedna z tych rzeczy, które nigdy się nie wydarzą, Francesco.

Zadrzała, słysząc, z jaką pewnością to mówi, lecz mimo to nie rezygnowała.

– Wiem, że większość życia spędzasz gdzieś na odludziu, ale od czasu do czasu wracasz do cywilizacji. I proszę, nie próbuj mi wmówić, że jesteś gejem. To, co zobaczyłam w łazience...

O cholera! Czerwona po korzonki włosów, zakryła twarz dłońmi.

Guy nie odezwał się ani słowem. Nie rzucił nawet żartobliwej uwagi o jej zarumienionych policzkach.

– To się nie wydarzy, Francesco – powtórzył, Kiedy zapominając o swoim zakłopotaniu, zmarszczyła brwi, dodał: – Spotkałem już tę jedyną kobietę, z którą chciałbym się ożenić. Niestety ona kochała innego.

Wiedziała, że mówił prawdę. Instynktownie czuła, że kiedy Guy kogoś pokocha, będzie to miłość na całe życie. W momencie gdy to sobie uświadomiła, zgasła ta maleńka iskierka nadziei, którą tak starannie pielęgnowała.

– Przepraszam... Nie miałam pojęcia. – Tylko tyle zdołała powiedzieć.

– Nauczyłem się z tym żyć. Steve wiedział o tym i dlatego prosił, żebym się z tobą ożenił. To przecież nic takiego, ale jeśli spadnę w jakąś przepaść albo pożre mnie krokodyl, ty będziesz zabezpieczona.

Co za ironia! Wprost idealny układ. Oboje kochali kogoś, kto nigdy nie odwzajemni uczucia. Byli naprawdę wyjątkowo dobraną parą.

– No to jak? Mogę zacząć działać?

– Co? Tak... Tak sądzę – odparła, w końcu się poddając. – Kiedy to ma się odbyć?

– Najbliższy wolny termin w urzędzie stanu cywilnego mają w czwartek za dwa tygodnie, o jedenastej piętnaście. Uroczyste stroje nie są wymagane. Zdaję sobie sprawę, że to bardzo szybko, ale nie mogę dłużej czekać. Jeszcze tego samego wieczoru mam samolot.

– Samolot?

– Muszę wracać do pracy.

– Rozumiem, dlaczego wyjeżdżasz, miałam jednak nadzieję, że jako twoja żona dowiem się, w jakich rejonach będziesz przebywał.

– Czy... czy tam nie toczy się właśnie wojna domowa? – spytała przerażona, gdy wyjaśnił dokładnie, dokąd jedzie.

– Widzę, że czytasz gazety. Nie muszę ci więc wyjaśniać, dlaczego powinienem załatwić wszystkie sprawy przed wyjazdem ani czemu jadę

tam sam.

– Bo wszyscy inni mają rodziny, tak? A czym my dla ciebie jesteśmy?

– Nie musiał odpowiadać. Dobrze wiedziała, czym są: kłopotem, niedogodnością, ciężarem. – Guy, proszę... Nikt nie powinien tam teraz jechać.

– Będziesz zamożną wdową.

– Myślisz, że tego pragnę? – Podniosła się z ławki. Nie Ma w stanie dłużej znosić jego bliskości. Ani tego, że potrafił sprawić, by piękny, szlachetny gest wydał się nagle taki odrażający. – Idź do diabła!

Nie chciała nawet na niego patrzeć. Kiedy się odwróciła, stwierdziła, że rozciągająca się pod nimi panorama Londynu zainteresowała wyłącznie dzieci. Pozostali pasażerowie byli zbyt zajęci podsłuchiowaniem ich rozmowy, aby zwracać sobie głowę oglądaniem widoków.

Na szczęście Toby, który od chwili, gdy kapsuła zaczęła wznosić się do góry, oglądał wszystko z zachwytem, nagle zawołał:

– Mamusiu, popatrz! Tam jest statek!

I wtedy, zadowolona, że może zająć myśli czymś innym, spojrzała w dół.

Przez moment widziała tylko rzekę zakręcającą w stronę Tower Bridge i szary kadłub słynnego krążownika „Belfast” który z tej wysokości wyglądał jak dziecięca zabawka... a chwilę później uświadomiła sobie, gdzie się znajduje.

– O Boże... – Machała rękami, rozpaczliwie szukając jakiegoś oparcia.

– Proszę, nie...

Guy w mgnieniu oka znalazł się przy niej. Przytulił ją do swej szerokiej piersi, powstrzymując atak paniki. Dopiero kiedy się uspokoiła, rozluźnił uścisk i poprowadził do ławki. Jednak nawet wtedy nie wypuścił jej z ramion, odgradzając ją od przerażającej pustki.

– Przepraszam – mruknął z ustami tuż przy jej włosach. – Czemu mi nie powiedziałaś? Ależ ze mnie idiota...

Franceska trwała w milczeniu, bezpiecznie wtulona w jego pierś, czekając, aż jej puls zwolni i zrówna się ze spokojnym, miarowym biciem jego serca.

Chwilę później podszedł do nich Toby. Kiedy wdrapał się na ławkę, Guy wyciągnął rękę i jego także przyciągnął do siebie.

– Macie państwo obrączki?

Obrączki! Nawet o tym nie pomyślała...

Natomiast Guy pamiętał o wszystkim. Wyjął z kieszeni parę prostych,

klasycznych obrączek i położył je na aksamitnej poduszeczce. Chwilę później podniósł mniejszą z nich, ujął dłoń Fran i wsuwając obrączkę na jej palec, powiedział:

– Biorąc wszystkich obecnych za świadków, ja, Guy Edward Dymoke, biorę ciebie, Franceskę Elizabeth Lang, za żonę...

Słuchała, jak niskim, mocnym głosem wypowiada słowa przysięgi i wciąż nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Nie wychodziła za mąż, aby zapewnić rodzinie dach nad głową... Robiła to wyłącznie dla siebie. Uczepiła się nadziei, że małżeństwo z Guyem okaże się czymś więcej niż rozwiązaniem problemów bytowych i finansowych. Czymś rzeczywistym i szczerym...

Zorientowała się, że urzędnik patrzy na nią wyczekująco.

Otworzyła usta, lecz nie zdołała wydobyć głosu.. Nie dam rady, pomyślała. Nie mam prawa...

– Francesko? – Twarz Guya była poważna, jego oczy patrzyły badawczo.

W końcu z bijącym sercem i rumieńcami na twarzy sięgnęła po drugą obrączkę. Kręciło jej się w głowie, czuła się jak zamoczona, a jej głos zdawał się docierać z daleka, gdy wsuwając obrączkę na jego palec, powoli, ważąc każde słowo, powtarzała przysięgę:

– Biorąc za świadków wszystkich tu obecnych, ja, Franceska Elizabeth Lang, biorę ciebie, Guyu Edwardzie Dymoke’u, za małżonka...

Wierzyła w każde wypowiedane słowo i być może dlatego miało to dla niej tak doniosłe znaczenie.

I chociaż Guy prawdopodobnie nigdy się o tym nie dowie, jej przysięga płynęła prosto z serca.

Wkrótce było po wszystkim. Franceska przybrała znudzoną minę, jakby traktowała całą uroczystość jako nieistotne wydarzenie. No dobra, co teraz? – zdawały się pytać jej oczy – Może pan pocałować pannę młodą – odezwał się urzędnik z wymownym uśmiechem, odpowiadając na jej nieme pytanie.

Nie... Tak... Przez moment trwała bez ruchu, a potem Guy pochylił głowę.

Kiedy ich usta przylgnęły do siebie, płomień ogarnął nie tylko jej ciało, lecz również duszę. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje ze szczęścia, a może z rozpacz – tego nie potrafiłaby powiedzieć – więc żeby się nie zdradzić, z cichym westchnieniem odsunęła głowę.

Podczas gdy Guy podpisywał akt małżeństwa, odwróciła się, aby podziękować dwóm kobietom, które zechciały na kilka minut oderwać się

od pracy i wystąpić w roli świadków. Zarumieniona jak prawdziwa panna młoda, przyjęła ich życzenia.

– Francesko? – Guy podał jej pióro i teraz ona złożyła drżący podpis w księdze. On tymczasem odebrał świadectwo ślubu, włożył dokument do wewnętrznej kieszeni marynarki i podziękował urzędnikowi za życzenia. A potem, trzymając półprzytomną Franceskę pod ramię, wyprowadził ją z ratusza.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

– Francesko? Nic ci nie jest?

Nie była w stanie wydobyć głosu. Pokręciła tylko głową, chwytając gwałtownie powietrze.

– Przepraszam. To było... – Nawet nie próbowała dokończyć zdania. I tak nie znalazłaby słów, żeby wyrazić, co w tej chwili czuje. Że przez chwilę prawie już miała to, czego pragnęła najbardziej na świecie. Choć w rzeczywistości nigdy nie będzie mogła tego dostać...

– Wiem – powiedział.

– Nie, Guy – zaprotestowała. – Zapewniam cię, że tym razem nie wiesz.

Przez ułamek sekundy odniosła zdumiewające wrażenie, że w jego spojrzeniu pojawił się ból. Przypomniała sobie, jak mówił o kobiecie, której nigdy nie będzie mógł zdobyć, bo kochała kogoś innego.

– Przepraszam – powiedziała, dotykając jego ręki. – Powinnam się bardziej starać.

Opuścił wzrok na jej jasną dłoń, odcinającą się od ciemnego rękawa marynarki, i na obrączkę, która błyszczała w słońcu.

– Rozumiem, jakie to dla ciebie ciężkie przeżycie. Zdziwiłem się, że nie przyszedłeś z Matty i Connie. Myślałem, że zechcesz je mieć za świadków.

Pozwoliła, żeby wziął ją za rękę i poprowadził do auta.

– Nic im nie powiedziałam – odrzekła, kiedy usiadł za kierownicą. Już w tej chwili brakowało jej dotyku jego dłoni, jego ciepła i siły... – Na razie poinformowałam je tylko, że kupiłeś dom i wprowadzisz się na górę, kiedy strych zostanie przerobiony na mieszkanie.

Doskonale pamiętała wyraz ulgi na twarzy kuzynki.

– Zgodziłeś się przejść przez to wszystko tylko ze względu na nie, prawda? – spytał. – Pewno inaczej nie dałabyś się przekonać.

Popatrzyła na niego spod oka. Ciekawe, co by zrobił, gdyby teraz wyznała mu prawdę. Pewno odskoczyłby przerażony...

– Co byś zrobił, gdybym odmówiła?

– To była ostatnia prośba Steve’a. Nie sądzę, żebyś potrafiła mu odmówić. – Na krótką chwilę oderwał wzrok od jezdni. – Zresztą nie pozwoliłbym na to.

– Nie? – rzuciła drwiąco. – Cóż, pewno nie. Steven mi opowiadał, że wycofałeś się tylko raz w życiu. Co to było, Guy? Szarżujący nosorożec?

– Chodziło o coś równie nieprzejednanego – odpowiedział. – O ludzkie

serce. Coś, co z naszą sprawą nie ma nic wspólnego... – Zadrżała, słysząc jego lodowaty ton. Kiedy zatrzymali się na światłach, na chwilę odwrócił się do niej i dodał: – Dlatego właśnie, pani Dymoke, odmowa w ogóle nie wchodziła w rachubę.

– Panno Lang – odpaliła. – Bez względu na wszystko pozostanę panną Lang...

Spuściła wzrok na złoty krążek, który błyszczał na jej palcu, zupełnie jak wypalone piętno. Chciała jak najszybciej pozbyć się obrączki, kręciła nią i szarpała, ale pierścionek nie chciał przejść przez kostkę.

Guy zatrzymał samochód i przytrzymał jej rękę.

– Zostaw, Francesko. – Coś w jego głosie sprawiło, że przez krótką chwilę zaświtała jej nadzieja. – W domu zdejmiesz ją bez kłopotu, jeśli posmarujesz palec mydłem.

– W żadnym wypadku nie wrócę z tym do domu! – Kiedy cofnął głowę, jakby uderzyła go w twarz, natychmiast pożałowała swoich słów. – Nie chcę, żeby Matty i Connie się zorientowały – dodała, licząc na to, że ją zrozumie. – Tak szybko po tym, jak Steven... Nie zrozumiałyby tego...

– Nie? Chyba nie masz racji. Myślę, że wierzą w ciebie bardziej niż ty sama. – I znów jego głos stał się niespodziewanie łagodny. – Ale to oczywiście nie mój interes. A skoro mowa o interesach... – Pochylił się nad jej kolanami, otworzył schowek i wyciągnął dużą kopertę. – Tu są twoje karty kredytowe.

– Ale...

– Może w ramach terapii pójdziesz do jakiegoś dobrego centrum handlowego? Jestem przekonany, że w toalecie będzie wystarczająco dużo mydła, abyś mogła zmyć z siebie tę ostatnią godzinę.

– Przestań, proszę cię!

Starł łzę, która toczyła się po jej policzku.

– Jesteś moją żoną i wszystko, co posiadam, należy także do ciebie – powiedział, podając jej elegancką kopertę. – Weź to.

Był tak blisko. Przez chwilę miała wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę, by pokonać dzielącą ich otchłań i znaleźć się w jego ramionach.

– Naprawdę muszę już iść – oznajmił, kładąc kopertę na jej kolanach.

– Iść? – Zapomniała o obrączce. – Dokąd iść? – I nagle zrozumiała, że miał na myśli wyjazd, samolot, podróż do jakiegoś odległego miejsca na świecie. – Już? Bez pożegnania z Tobym?

– Pożegnałem się z nim wczoraj. Obiecałem mu, że wrócę, jak tylko będę mógł.

– I lepiej, żebyś to zrobił... – Z trudem powstrzymała płacz. – Mali

chłopcy nie rozumieją, kiedy ludzie odchodzą i nie wracają. Tłumaczyłam mu, że tatuś poszedł do nieba, ale obawiam się, że dla niego to znaczy tyle, co kolejna podróż w interesach, z której Steven wróci po tygodniu lub dwóch.

Guy bał się, że dłużej tego nie zniesie. Na krótką chwilę zdobył to, na czym mu najbardziej zależało. Zamierzał zaprosić ją na lunch, żeby przedłużyć czas, kiedy nosiła na palcu jego obrączkę, i udawać, że naprawdę należy do niego.

Nic z tego... Francesca kochała Steve'a. I pewno do końca życia wytrwa w tym uczuciu.

– Nie zawiodę Toby'ego – przyrzekł. – Masz na to moje słowo.

Przymknęła na chwilę powieki, po czym wyjrzała przez okno i spojrzała na wysoki apartamentowiec.

– To tutaj mieszkasz? – spytała.

– Mieszkałem. Ktoś odbierze stąd moje rzeczy i przewiezie je na Elton Street. Przechowasz je do końca remontu?

– Oczywiście.

– Muszę tam jeszcze wejść, żeby zabrać bagaż, a potem podrzucić klucze do biura. Możesz od razu zabrać samochód. – Podał jej kluczyki. – Jest ubezpieczony na twoje nazwisko.

– Jak się chcesz dostać na lotnisko? – Wysiadła z auta i nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: – Co ja gadam? Sama cię odwiozę. – Uśmiechnęła się z trudem. – To chyba zwykle robią żony, mam rację?

Mimo najlepszych chęci nie zdołał się powstrzymać.

– Czy na pewno chcesz wnikać w to, co robią żony? – spytał, patrząc na nią ponad dachem auta. Kiedy się zaczerwieniła, zrobiło mu się jej żal i szybko dodał: – Prawdę mówiąc, chyba nie jesteś typem kobiety, która zrywałaby się o świcie, żeby każdego ranka w płaszczu narzuconym na piżamę odwozić męża na stację.

– Tak myślisz?

Miała na sobie jasnoszary elegancki kostium, pantofle na wysokich obcasach, jasne włosy były fantazyjnie upięte. Steve widział w niej swój ideał. Chciał, żeby pozostała kobietą, która nie musi zmywać talerzy ani prasować koszul. Wystarczyło, że wyglądała pięknie. Jednak jej spojrzenie zdawało się opowiadać inną historię... I nagle Guy całkiem wyraźnie wyobraził sobie, jak z potarganymi włosami, bez makijażu, miętka i ciepła Francesca leży w jego ramionach...

Czuł, że jest u kresu wytrzymałości.

Przed momentem przeżył emocjonalny wstrząs. Kobiecie, którą kochał,

ślubował miłość aż do śmierci, a jednocześnie musiał ją przekonać, że przysięga nic dla niego nie znaczy. To było wielkie poświęcenie, bo w przeciwieństwie do Franceski wierzył w to, co mówił. W każde słowo. Podczas gdy ona nie mogła się doczekać, aby się go pozbyć, on cierpiał, że musi ją opuścić. Był pewien, że Steve patrzy teraz z góry i śmiejąc się, mówi: „Dobrze ci tak!” Drażnił się z nim, podsuwając mu to, czego Guy pragnął nad życie, a przecież od początku musiał wiedzieć, jak to się skończy...

Zdał sobie z tego sprawę tamtego dnia w kapsule London Eye, gdy na krótko poddała się i pozwoliła, żeby wziął ją w ramiona. Wtedy właśnie z goryczą uświadomił sobie, że jednocześnie zwyciężył i przegrał. W chwili gdy pieniądze stały się podstawą ich związku, prysła nadzieja na miłość. Gdyby teraz zdradził swoje uczucia, Francesca nie uwierzyłaby w jego zapewnienia. Podejrzewałaby, że korzysta z okazji i za pieniądze, które zainwestował w ich związek, chce dostać więcej, niż mu obiecała.

Dotyczyło to zresztą ich obojga. Gdyby Francesca mu uległa, wcale nie byłby pewien, czy nie robi tego wyłącznie z litości...

Trudno, musiał czekać. Może któregoś dnia wreszcie mu zaufa... Może coś do niego poczuje. Wierzył, że starczy mu cierpliwości. Przeżył przecież trzy lata w przekonaniu, że nic się nie zmieni. Teraz, gdy dostrzegał promyk nadziei, gotów był czekać nawet całe życie...

Dlatego też nie próbował się jej narzucać. Zamiast tego spędzał czas z Tobym, odwiedzał Marty, jadł to, co specjalnie dla niego przygotowywała Connie... Chciał mieć w nich wszystkich przyjaciół... i sprzymierzeńców. Natomiast Francesce zostawiał czas, którego najwyraźniej potrzebowała.

Jednak w tej chwili, wbrew temu, co tak rozsądnie potrafił sobie wytłumaczyć, miał ochotę wyładować swój żal na jakimś przedmiocie, wałnąć w coś pięścią, wyc z rozpaczony jak zranione zwierzę. Udawał spokój i opanowanie, a tymczasem był bliski wybuchu...

Zrobiła z nim coś, co nigdy jeszcze nie udało się żadnej kobiecie. Pozbawiła go rozsądku.

– Nie ma potrzeby, żebyś mnie odwoziła na lotnisko – rzucił szorstko. – Wezmę taksówkę do biura, a stamtąd ktoś mnie już odwiezie.

– Twoja sekretarka?

Miał wrażenie, że w jej głosie pojawiła się jakaś ostra nuta.

– Jest kimś więcej niż tylko sekretarką. Czy to takie ważne?

– Jest ładna?

– Catherine? – Spojrzał na nią zdumiony. Czyżby była zazdrosna? Niby dlaczego? Cóż, był tylko człowiekiem, dlatego odparł: – Jest wysoką,

zmysłową blondynką. – Nie skłamał. Rzeczywiście była wysoka, miała blond włosy... i namiętnie kochała swoją pracę. – Wypytyjesz mnie jak zazdrosna żona – powiedział. – Tak samo zachowywałaś się wobec Sterea?

Spojrzała na obrączkę, którą włożył jej na palec, po czym podniosła niewiarygodnie długie rzęsy.

– Nie byłam jego żoną, Guy. Lepiej zdejmę to, zanim zapomnę. – Kiedy się nie odezwał, spytała: – Pewno masz w domu trochę mydła? Czy może już wszystko zostało spakowane?

Zrozumiał, że nie zamierzała ustąpić. Przeciągnął kartę przez magnetyczny zamek, przytrzymał Francesce drzwi i przywołał windę. W milczeniu wjechali na ostatnie piętro.

Stała w progu niewyobrażalnie obszernego salonu i nagle zabrakło jej słów.

Wiedziała, że Guy jest zamożny. Steven powtarzał jej to wystarczająco często. Jednak gdy zobaczyła ten elegancki, prześliczny i kosztownie urządzony apartament, zrozumiała, że jej mąż był wprost niewiarygodnie bogaty.

Wygodne skórzane meble kusiły, żeby się w nie wtulić. Na jasnej błyszczącej podłodze leżały kolorowe wschodnie dywany, ściany zdobiły obrazy i półki z książkami.

Guy powiedział, że mieszkanie było mu potrzebne podczas krótkich pobyków w Londynie. Mówił także, że traktuje je jako inwestycję, ale na początku na pewno było inai czej. To wewnątrz urządzał człowiek, który włożył w to dużo serca... który chciał z kimś dzielić swój dom. Instynktownie czuła, że musiał je meblować z myślą o ukochanej kobiecie.

Dotknęła skózanego grzbietu książki, przyjrzała się obrazowi... Nie mogła uwierzyć, że na ścianie wisi coś tak cennego. Próbowwała wyobrazić sobie kobietę, którą tak bardzo wielbił. – Pójdę po bagaż – odezwał się.

– Czeka! – Odwróciła się do niego. – Co ty zrobiłeś, Guy? Tu jest zupełnie inaczej, niż próbowałeś mi wmówić. To prawdziwy dom, pełen pięknych przedmiotów.

– Nie twierdziłem, że jest brzydki, tylko że już mi nie jest potrzebny.

– I sprzedałeś go? Ot tak, po prostu? Żeby w zamian kupić mój dom?

– Francesko...

– Proszę cię, nie traktuj mnie protekcyjnie – przerwała mu. – Te obrazy są warte fortunę. Wystarczyłby jeden, żeby wszystko załatwić.

– Prawdopodobnie masz rację – odezwał się po chwili milczenia. – Nie sprzedałem mieszkania. Wynająłem je wraz z wyposażeniem

amerykańskiemu bankowi dla jednego z ich wiceprezesów.

– Wynająłeś? – powtórzyła, rozglądając się po salonie. – Ale... dlaczego?

– Wyjaśniłem ci to przecież. Kupiłem ten apartament jako inwestycję i opłaciło się. Jego cena trzykrotnie przekroczyła nakłady, jakie poniosłem.

Pieniądze? Ani przez chwilę nie wierzyła, że apartament to tylko korzystna lokata.

– Miałam na myśli raczej to, dlaczego mnie okłamałeś?

– Nie kłamałem. Z góry założyłaś, że musiałem sprzedać mieszkanie, a ja po prostu nie zaprzeczyłem.

– Dlaczego? – nie ustępowała.

Ponieważ byłem głupi, odpowiedział w myślach. Bo chciał jej pomóc na wszystkie sposoby, udostępnić jej wszystkie możliwe środki, dać jej nie tylko dom, lecz wszystko, czego tylko mogła potrzebować... Ponieważ ją kochał.

– Cóż, jeśli chcesz kogoś przycisnąć, najlepiej wzbudzić w nim poczucie winy – odezwał się, próbując nie myśleć o tym, co zamierzał powiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że za chwilę zerwie tę delikatną więź, którą przez kilka ostatnich dni próbował z nią nawiązać. Biorąc ślub z Franceską, miał nadzieję, że któregoś dnia zdobędzie jej sympatię, zaufanie, miłość... A teraz z każdym wypowiedzianym słowem zaprzepaszczał szansę na realizację tych marzeń.

– To chyba właściwy moment, aby poinformować cię, że Tom Palmer przygotowuje dokumenty adopcyjne Toby'ego. Chcę mieć pewność, że Toby nie zniknie z mojego życia, gdy sobie kogoś znajdziesz.

– Czyś ty zwariował? Jak to – znajdę sobie kogoś? Od śmierci Stevena nie minął nawet miesiąc! – Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi. – Czy to było w Uście Stevena?

Jak łatwo byłoby teraz skłamać, zrzucić winę na brata.

– Nie, nie przyszło mu to do głowy. Ale zawsze byłem większym realistą niż Steve. Toby jest moją jedyną rodziną. – Prawdę mówiąc, jedyną rodziną, jaką kiedykolwiek będę miał, uzupełnił w myśli. – Nawet nie próbuj walczyć ze mną w tej sprawie. Gdyby ci to przyszło do głowy, pamiętaj o swoich zobowiązaniach.

– Ty sukinsynu! Ja... natychmiast wystąpię o unieważnienie małżeństwa.

Widział, że czuje się zupełnie bezsilna. Tak bardzo pragnął ją uspokoić, lecz zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu ustąpić.

– Na jakiej podstawie? Trudno ci będzie udowodnić, że nie zostało

skonsumowane, jeśli ja tego nie potwierdzę.

1 zrobię to, ale dopiero wtedy, gdy dostanę to, czego chcę.

– Myślisz, że będę czekać? Od razu wracam do ratusza. Powiem im prawdę... – Ruszyła w stronę drzwi.

Pragnął wyłącznie, żeby przestała oglądać obrazy, które kupował z myślą o niej, bo instynkt mu podpowiadał, że jej się spodobają. Żeby nie dotykała książek, które chciał x nią czytać, nie przesuwiała dłoni po oparciu sofy, wystarczająco szerokiej, by pomieścić dwoje ludzi.

Chciał tylko, żeby przestała zadawać pytania, na które nie mógł odpowiedzieć, nie ujawniając swoich uczuć.

Rozgniewać ją do tego stopnia, żeby go zostawiła. Może wtedy zdołałby odzyskać spokój.

Jednak nie chciał, żeby odeszła w taki sposób.

– Francesko, poczekaj...

Nie zamierzała go słuchać. Nie zwracając na niego uwagi, przeszła obok. Zrozpaczony chwycił rękaw jej zakietu. Szła szybciej, niż się spodziewał i gdy ją próbował zatrzymać, odwróciła się gwałtownie, omal nie tracąc równowagi. Pewno by upadła, gdyby nie złapał jej w ramiona.

– Nie...

Oddychała ciężko, policzki miała zarumienione, z włosów wysunęły się szpilki. Wydawała się zraniona, jej oczy wypełniły się łzami, a mimo to wciąż się nie poddawała. Stała z wysoko uniesioną brodą, odgarniając włosy z twarzy, zupełnie jakby uznała, że poprawienie fryzury pomoże jej odzyskać poczucie godności.

Kiedy podniosła powieki i spojrzała na niego, miał wrażenie, że czas się cofnął i przeniósł go w inne miejsce. I nagle jej oczy, jeszcze przed chwilą zimne jak lód, gwałtownie pociemniały...

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Opuściła wolno ręce i jej włosy opadły swobodnie na ramiona. W jesiennym słońcu wpadającym przez okno w dachu wyglądały jak złoto. Z początku myślał, że to sen, lecz gdy przytulił dłoń do jej policzka, poczuł na palcach ciepło jej skóry. A kiedy przytrzymał ją mocniej w talii, jej ciało przylgnęło do niego, jakby było jego brakującą połówką. Pochylił głowę, a wtedy rozchyliła gorące, słodkie jak miód usta.

Tyle razy śnił o tej chwili. Tak często wyobrażał sobie, jak weźmie ją na ręce, zanieśie do sypialni, powoli zdejmie z niej ubranie i nie spiesząc się, będzie ją pieścił... W głębi serca wierzył, że bez względu na to, co się wydarzy później, nigdy nie zapomną tych cudownych przeżyć.

Tymczasem w rzeczywistości był to pospieszny, gwałtowny, czysto

fizyczny akt dwojga ludzi ogarniętych dzikim pożądaniem. Żadnych czułych słów, obietnic, żadnych delikatnych pieszczot. A mimo to wydawał się doskonały, ponieważ oboje tego właśnie pragnęli i spontanicznie . poddali się zmysłom. Nastąpiło spełnienie, którego ciało Guya domagało się od chwili, kiedy trzy lata temu spojrzał w jej oczy. Wiedział, że jej pożądanie jest równie gorące. Kiedy doszedł do szczytu, przyłgnęła do niego, wtulając twarz w jego ramię, z ustami na jego szyi, a wtedy z głośnym okrzykiem oddał jej wszystko. Teraz należała do niego. A ona miała jego, tak całkowicie, jak tylko kobieta może osiąść mężczyznę...

Od początku wiedział, że była jedyną kobietą na świecie, dla której mógł stracić głowę. Teraz już nie miał co do tego wątpliwości. Kiedy tak się do niego tuliła, a on trzymał ją mocno w ramionach, znów pojawiła się nadzieja.

A gdy podniosła głowę i zobaczył jej wielkie błyszczące oczy i miękkie usta, wydawało mu się, że jego marzenie wreszcie się spełniło. Dopiero po chwili spostrzegł, że to nie miłość błyszczy w jej oczach...

A więc miał rację. Nigdy nie uda im się o tym zapomnieć. Tyle że z zupełnie innych powodów.

Zwolnił trochę uścisk, odsuwając ją od ściany i przytrzymał, póki nie odzyskała równowagi. Serce mu krwawiło, gdy patrzył na łzy, które płynęły po jej policzkach nieprzerwanym strumieniem. Kiedy wyglądała ubranie i poprawiała spódnicę, próbował coś powiedzieć... Jednak wiedział, że nie znajdzie słów, które oddałyby cały jego żal i wstyd.

Jak miał ją błagać o wybaczenie, skoro sam sobie nie potrafiłby wybaczyć?

Bez słowa schylił się po jej zakiet.

– Gdzie jest łazienka? – spytała tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

– Tutaj. – Otworzył drzwi do sypialni. Miał wrażenie, że nietknięte łóżko naigrywa się z niego. – Znajdziesz tam wszystko, czego możesz potrzebować.

Mydło i gorącą wodę, żeby zmyć każdy ślad po nim.

Bez słowa przeszła przez pokój i zniknęła za drzwiami łazienki. Mógł teraz doprowadzić się do porządku... i zastanowić nad przyszłością, która rysowała się znacznie bardziej ponuro niż przed tygodniem... nawet przed godziną. Wtedy jeszcze miał marzenia i nadzieję.

Kiedy chciał zapiąć koszulę, odkrył, że guziki są poobrywane. Zwinął ją w kłębek, lecz zamiast cisnąć do kosza, podniósł ją do twarzy i przez chwilę wdychał zapach Franceski, po czym wetknął ją głęboko do



spakowanej torby.

Fran nie rozebrała się ani nie weszła pod prysznic. Gdyby zdjęła ubranie, musiałaby znów je włożyć, a nie zamierzała nosić go nigdy więcej. Wszystko wyląduje w koszu, gdy tylko wróci do domu. Wyrzuci zarówno kostium od Jaspera Conrana, jak i buty od Manola Blahnika, czyli każdą rzecz, którą miała na sobie, gdy rzuciła się na Guya jak dziwka. Jedyłą pociechę mogła czerpać stąd, że nigdy nie będzie mógł powiedzieć o niej „tania”

Ochlapała twarz zimną wodą, umyła ręce, wyciągnęła szpilki, które jeszcze zostały we włosach. Dopiero teraz spojrzała w lustro.

Jej usta były opuchnięte, oczy lśniące i pociemniałe. Przy żakiecie brakowało guzika, w pończochach leciały oczka. Wyglądała właśnie tak, jak musiał o niej myśleć...

Na kobietę, która w przyływie urażonej dumy omal nie odrzuciła właściwego wyboru, a teraz użyła najstarszej na świecie sztuczki, żeby się ratować.

A przecież wcale tak nie było. W rzeczywistości miała wrażenie, jakby cofnęła się w czasie do chwili, gdy ujrzała go po raz pierwszy i w ułamku sekundy rozpoznała w nim tego jedyne na świecie mężczyznę, który nigdy nie będzie należał do niej. Dzisiaj nie było nic, co mogłoby ją powstrzymać. Wszystkie od dawna tłumione tęsknoty znalazły ujście w wybuchu namiętności. Niepohamowanej i pięknej, ponieważ absolutnie prawdziwej. I zupełnie niezrozumiałej, bo przecież odwzajemnionej...

Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale teraz nie było na to czasu. Bez względu na to, jakie było wyjaśnienie, na razie musiała zebrać siły i spojrzeć Guyowi w oczy.

Znalazła go w kuchni. Siedział zgarbiony przy stole, z głową opartą na rękach, patrząc w przestrzeń takim wzrokiem, jakby miał przed oczami wrota do piekła.

– Guy? Dobrze się czujesz?

– Co? – Podniósł na nią nieprzytomne spojrzenie.

– Może coś ci podać?

– Nie. Naprawdę powinienem już jechać. Ale ty się nie musisz spieszyć...

– Przecież ustaliliśmy, że pojedę z tobą na lotnisko – odparła.

– Fran...

Tak lubiła, gdy nazywał ją Franceską, kiedy wymawiał jej imię swoim niskim, ciepłym głosem. Teraz nagle je skrócił...

– Nie, Guy! Proszę... Nic nie mów. – Błagam, nie mów, że jest ci przykro, prosiła w myślach. – Stało się. Po prostu zapomnijmy o tym. – Przez chwilę ich oczy spotkały się i zrozumiała, że jest tak samo wstrząśnięty. Z pewnością czuł do siebie nienawiść, że zbezczeszczył pamięć Stevena. – Proszę...

– Skoro tego sobie życzysz. – Podniósł się z krzesła. – Chodźmy.

Duży ruch i zbierające się deszczowe chmury w banalny sposób udaremniły wszelkie próby podjęcia rozmowy. To gorsze niż zwykłe milczenie, myślała Franceską. Chciała mu tyle powiedzieć, a przecież nie mogła tego zrobić... Ożenił się z poczucia obowiązku. Nie oczekiwał, że wpadnie w objęcia napalonej kobiety, która rzuci się na niego przy pierwszej sposobności.

Guy zatrzymał samochód przed lotniskiem. Wysiadła razem z nim i patrzyła, jak wyjmuje bagaż.

– Będziesz dbał o siebie? Obiecuj, że nie zrobisz żadnego głupstwa. – Nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Trochę za późno na takie ostrzeżenia, nie uważasz?

– To nie...

– Wiem. – Przegarnął palcami włosy. – Przepraszam... Pokręciła głową.

– Guy, Toby...

– Jest twoim synem. Nic się nie stanie bez twojej zgody. Kiedy mówiłem...

– Chciałam powiedzieć, że będzie za tobą tęsknił – wyjaśniła. I ja także, dodała w myśli. – Nie pozwól, żeby to, co się wydarzyło... To znaczy, nie zapomnij o nim przez to.

– Ja też będę za nim tęsknił – odpowiedział. Nic jednak nie przyrzekł. – Jeśli będziesz czegoś potrzebować, zadzwoń do mojego biura albo idź do Toma. On się wszystkim zajmie.

Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć jej policzka, ale gdy przypomniał sobie, co się stało, gdy zrobił to wcześniej, zwinął dłoń w pięść i sięgnął po torbę.

– Jeśli zechcesz przekazać mi jakąś wiadomość, w biurze wiedzą, jak się ze mną skontaktować.

– Twoja zmysłowa sekretarka?

– Właśnie. – I zanim zdążyła odpowiedzieć, podszedł do drzwi, które otworzyły się bezszelestnie, i zniknął w tłumie ludzi w hali odlotów.

– Guy! – zawołała z rozpaczą. Ale już było za późno. Drzwi zdążyły się zamknąć, a gdy zrobiła krok w ich kierunku, spostrzegła strażnika, który

znaczaco popatrzył na jej samochód.

– Nie może pani zostawić tu auta. Zaraz je odholują.

– Ale... Już odjeżdżam.

I tak chyba będzie najlepiej. No bo co mogłaby mu powiedzieć?  
Kocham cię?

Nie w tej sytuacji. Zresztą po tym, co się dziś wydarzyło, nie chciałby tego usłyszeć niezależnie od okoliczności.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Fran miała wrażenie, że jej żaloba zaczęła się od nowa.

Wjechała do garażu i w końcu dała upust łzom, które powstrzymywała od śmierci Steyena. Płacz oczyścił jej umysł z poczucia winy i straty, a kiedy ustał, uświadomiła sobie całą sytuację. Teraz już była pewna, że to nominalne małżeństwo było przede wszystkim korzystne dla niego, a nie dla niej.

Sporo go to kosztowało, ale nie chodziło tu wcale o pieniądze, tylko o wpływy. Toby był jego jedyną rodziną, nosił jego nazwisko, był jego spadkobiercą. Małżeństwo było najprostszą i najskuteczniejszą metodą, aby ją powstrzymać od zaangażowania się w związek z kimś innym, kto dałby chłopcu swoje nazwisko.

Zbyt późno zorientowała się, że Guy po prostu zamydlił jej oczy. Kupił dom, żeby zatrzymać ją na miejscu, a potem – zanim zdążyła otrząsnąć się z szoku i była zbyt skołowana, żeby myśleć trzeźwo – poprowadził ją do ślubu.

Teraz jeszcze postanowił przerobić strych na mieszkanie i wkroczyć w ich życie...

A seks? Czy to też zaplanował?

Potrząsnęła głową, próbując się skupić.

Z pewnością nie myślała trzeźwo. Najpierw wyprowadziła ją z równowagi ceremonia ślubna, potem zobaczyła, że jego apartament wcale nie jest bezosobowy i pozbawiony domowego ciepła, jak sugerował. To raczej starannie przygotowane gniazdko, które miał nadzieję dzielić z ukochaną kobietą. Niemal czuło się jej obecność w tym pięknym mieszkaniu.

Kiedy sobie to uświadomiła, poczuła się tak zraniona, że gotowa była powiedzieć lub zrobić wszystko, byleby go dotknąć. Lecz wtedy Guy na nią spojrział..

Nigdy jeszcze nie posiadał kobiety w taki sposób. Bez zastanowienia, bez jakiegokolwiek kontroli nad sobą, bez uwzględnienia konsekwencji.

Nigdy też nie spotkał się z takim gwałtownym, pozbawionym wszelkich hamulców oddźwiękiem.

Jednak fakt, że była gorliwą i chętną partnerką, wcale go nie usprawiedliwiał. Zobowiązał się przecież, że będzie o nią dbał. Była roztrzęsiona i zdenerwowana, ale gdy na niego spojrzała, w jej oczach dostrzegł coś całkiem innego. Patrzyła na niego, jakby... Jakby...

Musiał natychmiast położyć kres tym pożałowania godnym figlom, jakie platała mu podświadomość. Czy to ma znaczenie, jak na niego spojrziała? Zdradził nie tylko ją, ale także siebie i wszystko, co sobą reprezentował.

Nie dość, że dał się ponieść emocjom, to w dodatku odjechał, nie próbując jej nawet przeprosić ani nic wyjaśnić. Chociaż co mógł jej powiedzieć? Wyznać prawdę? Powiedzieć, że ją kocha?

Dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie chce słuchać jego żalonych przeprosin. Pragnęła jedynie, by jak najszybciej zniknął z jej życia.

A już zdawało mu się, że doskonale wie, co to znaczy samotność...

– Fran?

Miała wrażenie, że upłynęło kilka godzin, gdy dotarł do niej głos Matty. Rzuciła okiem na zegarek.

– Fran, co się stało? Gdzie jest Guy?

– Pojechał – odpowiedziała.

– Ale chyba wróci?

– Tak, wróci. – Wysiadła z samochodu i wyciągnęła rękę, na której tkwiła wiele mówiąca obrączka.

– O Boże... Co ty zrobiłaś?

Opowiedziała kuzynce, co się wydarzyło. I dlaczego. Wyznała jej wszystko, całą prawdę. A gdy skończyła, Matty po prostu ją przytuliła. Bo nic innego nie można już było zrobić.

Właściwie brakowało jej czasu, żeby roztrząsać to, co się zdarzyło. Na głowie miała firmę, która pochłaniała każdą wolną chwilę. Co tydzień dzwoniła do niej „zmysłowa” Catherine, której Guy najwyraźniej polecił, żeby sprawdzała, czy Fran ma wszystko, czego jej trzeba – chyba na wypadek, gdyby nie wystarczyły jej karty kredytowe – i jak postępują przygotowania do adaptacji strychu. Albo żeby upewnić się, czy nie zabrała jego pieniędzy i nie zniknęła ze swoim synem... Jego dziedzicem...

A kiedy tygodnie przeciągnęły się w miesiące, przekazała im prezenty gwiazdkowe od Guya. Pamiętał nawet o Connie, która aż piszczała z radości, gdy ze świątecznej paczki, którą dostarczył pracownik eleganckiego magazynu, wyjęła torebkę.

Dla niej przysłał książkę, biografię kobiety, którą podziwiała. Kiedyś mu powiedziała, że chciałaby jej dorównać. Książka była bestsellerem i chociaż wybór prezentu wydawał się oczywisty, Francesca nie próbowała się oszukiwać, że Guy sam zdecydował o tym podarunku.

Kiedy minęła zima i pokazały się pierwsze żonkile, telefony Catherine sprawiały jej ulgę, bo dzięki nim wiedziała, że nic mu się nie stało w niebezpiecznym kraju.

Zbliżała się Wielkanoc. Fran oglądała w wieczornych wiadomościach relacje o zamieszkach i rozruchach społecznych, które z każdym tygodniem wydawały się bardziej niepokojące, gdy nagle usłyszała dzwonek. Pewna, że Connie pójdzie otworzyć, nie ruszyła się z miejsca. Podniosła wzrok, dopiero kiedy cicho uchylły się drzwi salonu.

W progu stała wysoka jasnowłosa kobieta.

– Pani gospodyni powiedziała, że mogę wejść... – powiedziała z wahaniem. – Aż trudno uwierzyć, że się do tej pory nie spotkałyśmy – ciągnęła, gdy nie doczekała się odpowiedzi. – Mam nieodparte wrażenie, że tak dobrze panią znam.

– Catherine? – Rozpoznała głos, ale wygląd kobiety w ogóle nie zgadzał się z jej wyobrażeniem. Wysoka blondynka. .. w wieku jej matki.

– Czy mogę wejść?

Zdała sobie sprawę, że wpatruje się w gościa z otwartymi ustami, i gwałtownie zerwała się na nogi.

– Przepraszam – powiedziała, ujmując wyciągniętą dłoń. – Byłam myślami bardzo daleko...

– Oglądała pani wiadomości. Niezbyt pocieszające, prawda?

Serce podskoczyło jej do gardła.

– Czy dlatego pani przyszła? Powiedzieć mi...

– Nie, skądże. Przepraszam. Nie zamierzałam pani przestraszyć. Mam coś dla pani synka. Pomyślałam jednak, że powinna mieć pani szansę, aby zaprotestować. Czy on gdzieś tu jest? To znaczy Toby?

– Nie, jest na dole, u Marty.

– W takim razie przyniosę to z auta.

Po chwili wróciła z kartonowym pudłem, które postawiła na podłodze. Kiedy je otworzyła, z wnętrza wyłoniła się brązowo-biała główka spaniela. Szczeniak wyplątał się z koca i zapiszczał, domagając się pieśczot.

Franceska zaniemówiła. Możliwe, że Guy pozostawił Catherine robienie zakupów gwiazdkowych, jednak to z pewnością był jego wybór. Miała teraz dowód, że o niej myślał... Poprawiła się natychmiast. Myślał o Tobym.

– Hodowca przystał na to, że go oddam, jeśli pani nie zgodzi się na taki prezent. Mężczyźni miewają czasami dziwne pomysły.

– Kiedy? Kiedy Guy prosił panią o kupienie pieska?

– Och, całe miesiące temu. Dzwonił jeszcze z lotniska. Toby miał go dostać na Gwiazdkę, ale trzeba było poczekać. – Wzruszyła ramionami, jakby przepraszając. – Sam wybrał hodowlę, a pies musiał koniecznie być brązowo-biały.

– Tak, to się zgadza... – Widząc, że Catherine unosi brwi, wyjaśniła: – Steven kiedyś miał takiego właśnie szczeniaczka. – No, to wszystko jasne. Niestety, psia mama nie umówiła się z Mikołajem. W każdym razie hodowca chętnie przyjmie go z powrotem, gdyby niespodzianka okazała się nietrafiona – mówiła Catherine, najwyraźniej przekonana, że wyraz przerażenia, który dostrzegła na twarzy Franceski, został wywołany nieoczekiwanym popiskującym prezentem.

– Nie, jest wspaniały – powiedziała Fran, klękając na podłodze i głaszcząc czubkami palców łepkę szczeniaczka. – Cześć, Harry Drugi. O nie. Nie jesteś mój. Pierwsze pieszczoty należą się Tobyemu. – Otuliła pieska kocem i odwróciła się do Catherine. – Chce pani zobaczyć uszczęśliwioną buzię małego chłopca?

– Tego właśnie brakowało Guyowi – mówiła Catherine pół godziny później, przyglądając się zabawie chłopca z psem. – Rodziny, do której mógłby wracać. Przez ostatnie kilka lat pracuje w terenie, ale to dobre dla młodych ludzi. Czy robotnicy przystąpili już do remontu?

– Nie, jeszcze nie – odparła Fran. – Architekt musi najpierw uporządkować sprawę rozbudowy parteru.

– Ale dekorator wewnątrz już się do pani zgłosił? Miał się zająć przeróbkami w sypialni?

– O tak! Do dziś go błogosławię.

– Jest taki dobry?

– Oczywiście, ale nie to miałam na myśli. Ten uroczy człowiek prawie podskoczył z radości, kiedy zobaczył szkaradną ceramiczną żabę, którą przyniosłam z magazynu, żeby przytrzymywać nią drzwi garażu. Z miejsca zamówił całą partię. Kiedy przyjechał odebrać je z magazynu, kupił jeszcze całą ciężarówkę równie paskudnych lamp. A już myślałam, że będę musiała komuś zapłacić, aby je stamtąd wreszcie wywiózł.

– A jak idą interesy? W listopadowym numerze „Couriera” widziałam świąteczną reklamę tych cudownych jedwabnych szlafroków – powiedziała Christine.

– Miałam szczęście. Posłałam szlafrok do redaktorki działu, a ona mnie odwiedziła. Bardzo jej się podobało to, co jej pokazałam. W przyszłym tygodniu ma się ukazać reportaż na mój temat. Wie pani, opowieść o dzielnej matce, która na strychu założyła firmę... Na szczęście materiał

zbiegnie się w czasie z transportem lekkich szlafroków na lato i równie prześlicznych piżam. Inaczej nie mogłabym sobie pozwolić na taką reklamę.

– Właśnie chciałam spytać, czy ma pani coś nowego. To świetny prezent, gdy się trafią jakieś urodziny.

– W styczniu byłam w Chinach na rozmowach w spółdzielni, która wyrabia te rzeczy.

– Sama?

Nie było przecież nikogo innego. Jak to mówił Guy, są rzeczy, których nie można powierzyć komuś innemu.

– Musiałam pojechać sama.

– Pewno tak, ale w pani...

– Czy wspominała pani o tym Guyowi? – wpadła jej w słowo Fran. – To znaczy o firmie?

– To nie moja sprawa, jestem wyłącznie posłańcem.

W ten sposób taktownie dała mi do zrozumienia, że Guy o mnie nie pyta, pomyślała Fran.

– A chce pani, żebym mu powiedziała?

– Och, nie. – Roześmiała się, jakby to była jakaś błahostka. – Chyba wystarczy mu własnych kłopotów.

– W takim razie pewno będzie lepiej, jeżeli nie wspomnę, że spodziewa się pani dziecka.

Guy otarł rękawem pot z czoła, podłączył laptop i za pośrednictwem satelity ściągnął swoją pocztę. Od razu rzuciła mu się w oczy informacja od Toma Palmera. Wstrzymując oddech, otworzył załącznik. Na szczęście nie był to wniosek o unieważnienie małżeństwa, którego spodziewał się od kilku miesięcy.

Tom przesłał mu reportaż o Francesce, który ukazał się w „Courierze”. Dziennikarka pisała o niebywałym sukcesie, jaki osiągnęła jej niedawno utworzona firma wysyłkowa. Kiedy czytał materiał, miał wrażenie, że słyszy głos Franceski.

Fotograf uchwycił ją w chwili, gdy odrzucając głowę do tyłu, ze śmiechem wirowała, demonstrując jedwabny szlafrok.

Przybrała na wadze, jej włosy miały bardziej intensywny kolor. Wyglądała dokładnie tak samo, jak wówczas, gdy ujrzał ją po raz pierwszy...

Nie.

Zerwał się na nogi, z trudem łapiąc oddech.



Nie całkiem tak samo... Wtedy nie dało się poznać, że spodziewa się dziecka. Teraz jednak, mimo że jej figura ukryta była pod luźnym domowym strojem, wyraźnie widział, że jest w zaawansowanej ciąży. Nie musiał zgadywać. Nie miał wątpliwości, ile miesięcy, dni, godzin minęło od chwili, gdy dał jej dziecko, które nosiła.

Poczucie winy kazało mu trzymać się od niej z dala. Ale w tej chwili jego uczucia już się nie liczyły. Musiał natychmiast wracać. Powinien być przy niej, wspierać ją emocjonalnie, a także finansowo. Rozsądek podpowiadał mu, że Francesca nie życzy sobie jego obecności, ale nie zamierzał się poddać. Wiedział, że jest jej potrzebny i gotów był znosić jej gniew, oskarżenia, obelgi. I nic go już nie powstrzyma od wyznania uczuć. Tym razem powie jej całą prawdę, od początku do końca. A jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie to powtarzał tak często, aż w końcu mu uwierzy.

– Fran, oglądasz wiadomości?

Zatopiona w myślach, machinalnie odebrała telefon.

– Nie, Marty... Prawdę mówiąc, zastanawiam się, czy powinnam rozszerzyć asortyment. – Oprócz pikowanych szlafroków firma oferowała także piżamy, bogato zdobione szale i haftowane jedwabne szkatułki, które z pewnością będą cieszyć się ogromnym powodzeniem. – Właśnie dostałam ofertę świec zapachowych...

– Chodzi o Guya, mówią o nim w telewizji...

Nie usłyszała końca zdania. Rzuciła słuchawkę, złapała pilota i nerwowo przerzucała kanary, aż trafiła na serwis informacyjny.

„... uzasadnione obawy o miejsce pobytu zaginionego geologa, który w zeszłym tygodniu opuścił obóz z zamiarem udania się do stolicy. Wiadomo, że oddziały rebeliantów, które ostatnio zajęły ten obszar, w przeszłości brały do niewoli obywateli innych państw, żeby zmusić rząd do ustępstw. Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a także firma pana Dymokea odmówiły komentarza, czy takie żądania... „

Przy drzwiach wejściowych rozległ się dzwonek. Długi, natarczywy dźwięk poderwał ją na nogi. W progu stała Catherine.

– Miałam nadzieję, że dojadę, zanim usłyszysz w wiadomościach...

– Powiedz, czy...

– Właściwie nic nie wiem. Miał wrócić dopiero za półtora miesiąca, ale nagle przekazał pilną wiadomość, żebym mu zarezerwowała samolot i najwidoczniej zaraz potem wyjechał z obozu. Ale nie dotarł na lotnisko...

Fran ciężko usiadła na schodach.

– Błagałam go, żeby nie jechał.

Catherine siadła obok i otoczyła ją ramieniem.

– Nic mu nie będzie. Jest nie do zdarcia.

– Ale nie jest kuloodporny.

– Martwy nikomu się nie przyda. Jeśli trzymają go rebelianci, będą chcieli coś uzyskać.

– Tylko jak długo to będzie trwało? – Miesiące. Albo lata. – Co on, do cholery, sobie myśli, że tak ryzykuje? – wybuchła. – Powinnam powiedzieć mu o dziecku. I wyznać, że go kocham...

Szum windy zapowiedział nadejście Matty. Obrzuciła wzrokiem siedzące na schodach kobiety i zaproponowała:

– Zaparzę herbatę.

– Herbatę? Powiedz lepiej, gdzie trzymasz whisky.

– Ukryłam ją bezpiecznie na dole, gdzie nie zagraża twojemu ciśnieniu.

Lepiej idź się położyć...

– Przestań traktować mnie jak inwalidkę! – Kiedy zadzwonił telefon, zerwała się na nogi i gwałtownie podniosła słuchawkę. – Tak?

– Francesko... – Guy...

Ledwo go słyszała. Głos był tak zniekształcony, że z trudem go rozpoznała. Ale to musiał być on. Nikt inny nie nazywał jej Franceską. Było to jedyne słowo, które dotarło do niej w całości. Wśród trzasków i syków słyszała jakieś dźwięki, ale mogła się tylko domyślać ich znaczenia.

– Dobrze... Do domu...

W końcu przerwała te męczarnie.

– Guy, nie mam pojęcia, co mówisz, więc przestań do diabła marnować czas i wracaj tu! Natychmiast! Słyszysz, co mówię?

W telefonie panowała cisza. Słysząc było wyłącznie głuchy pogłos. Czy to znaczy, że się rozłączył? Z przerażeniem wpatrywała się w słuchawkę.

– To był Guy? Nic mu nie jest? – zażądała wyjaśnień Matty. – Co powiedział?

– Zadzwonił do mnie... Boże, co ja zrobiłam! On do mnie zadzwonił, a ja na niego nawrzeszczałam. Nie do wiary! Przecież miałam mu powiedzieć, że go kocham...

Przez dwa dni siedziała kołkiem w domu, nie ruszając się od telewizora i nie odstępując telefonu. Czekwała na wiadomości, liczyła, że może do niej zadzwoni Telewizja podawała wiele informacji, w większości bardzo niejasnych i sprzecznych. Ciągle był więziony. Nie uprowadzono go, tylko zaginął. Został zabity...

– Fran? – Do pokoju zajrzała Connie. – Już wychodzimy Dasz sobie radę?

– Wychodzicie?

– Toby idzie na urodziny kolegi.

– Prawda... – Z trudem odwróciła wzrok od telewizora. – Zapomniałam.

– Może sama powinnaś pójść? – mruknęła Connie. – Dziecku przydałaby się zmiana otoczenia.

Dziecku potrzebny jest tatuś, pomyślała, przenosząc spojrzenie na ekran.

– Wrócimy około szóstej.

– Bawcie się dobrze – pożegnała ich. – Cholera! – krzyknęła, gdy usłyszała trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Zła na siebie, wyłączyła telewizor i wstała z kanapy. Mogą minąć miesiące, nim zdołają go uwolnić. Nie mogła spędzić tego czasu przed telewizorem, czekając na strzępy informacji.

Przechodząc przez hol, spojrzała przelotnie w lustro. Powinna wziąć prysznic, umyć włosy przebrać się, zacząć wreszcie myśleć o pracy. I o swojej rodzinie...

Kiedy sięgnęła do szuflady z bielizną, jej wzrok padł na jedwabną szkatułkę, gdzie leżała obrączka, którą dał jej Guy. Otworzyła pudełeczko, wsunęła ją na palec... i nagle poczuła ulgę. Jak gdyby Guy był bliżej. I zamiast zabrać się do pracy, przeszła do wyremontowanej sypialni, gdzie stały rzeczy, które obiecała mu przechować.

Otworzyła staroświecki skórzany kufer i zaczęła go rozpakowywać. Koszule, swetry, garnitury. Przytuliła policzek do rękawa marynarki, którą miał na sobie podczas ślubu.

Wstawiła buty na półki, bieliznę i skarpetki powkładała do szuflad. W ten sposób próbowała się przekonać, że wkrótce będzie w domu.

Zaklejone koperty z dokumentami przełożyła do małej komódki. Na koniec wyjęła dużą wyściełaną kopertę zaadresowaną do Stevena. Koperta była otwarta, na wierzchu widniał napis „Zwrot do nadawcy”. Nic nie mogło jej powstrzymać, żeby nie zajrzeć do środka.

Przez długą chwilę wpatrywała się w srebrną grzechotkę. Tę cenną rodzinną pamiątkę Guy przysłał dla Toby ego, a Steven mu ją odesłał. Chciał usunąć swojego brata z ich życia. Ale dlaczego?

Odłożyła kopertę na bok i skończyła rozpakowywanie kufra. Wyjęła kilka książek i kiedy kładła je na szafce przy łóżku, z jednej z nich wyfrunęła kartka papieru. Schyliła się, żeby ją podnieść, i wtedy

rozpoznała charakter pisma.

List Stevena. Opadła ciężko na łóżko. Wiedziała, że tu są wszystkie odpowiedzi...

Ciągle jeszcze wpatrywała się w kartkę, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. To z pewnością Catherine. Obiecała, że wpadnie po pracy. Nie sądziła, że już zrobiło się tak późno. Ze zdumieniem spojrzała na zegarek. Wcale nie było późno...

I nagle wiedziała. Popędziła w dół po schodach, przez chwilę szarpała się z drzwiami, a kiedy je w końcu otworzyła, na schodach nikogo nie było. Rozejrzała się niepewnie. Czy możliwe, że wyobraziła to sobie? Wyszła na zewnątrz i spojrzała na ulicę. Jakiś człowiek płacił za taksówkę, która stała kilka metrów dalej. Włosy miał długie i zaniedbane, na twarzy kilkudniowy zarost, ubranie nadawało się wyłącznie do wyrzucenia. Wyglądał tak, jakby nie mógł sobie pozwolić na bilet autobusowy, a co dopiero na taksówkę. A kiedy się odwrócił i podniósł głowę, zobaczyła jego twarz. Nad prawym okiem miał ranę z byle jak założonymi szwami, na policzku wielki siniec, ręka spoczywała na prowizorycznym temblaku...

Guy.

Wstrząs pozbawił ją oddechu. Gwałtownie łapała powietrze, próbując wymówić jego imię. Schodziła na dół po schodach, gdy wzrok Guya przesunął się z jej twarzy na brzuch, gdzie pod jej sercem rosło dziecko.

Guy był zmęczony i obolały, lecz widok ukochanej kobiety stojącej w świetle lampy wyzwolił w nim nową energię. Ogarnęła go przemożna wdzięczność, że zdecydowała się zachować dziecko. A przecież nie mogłby jej winić, gdyby postanowiła wziąć pigułkę...

Stał jak oniemiały z głupawym uśmiechem na ustach.

– Zdaje się, że zniweczyłem twój zamiar unieważnienia małżeństwa.

Przez ułamek sekundy bała się, że serce jej pęknie. A więc tylko tyle to dla niego znaczyło?

Matty delikatnie zasugerowała zażycie pastylki, ona jednak zdecydowała, że urodzi dziecko. Chroniła je wbrew zdziwionym spojrzeniom sąsiadów i plotkom wśród znajomych Stevena. Dbała o nie z miłością i nadzieją na przyszłość, a Guy dostrzegał wyłącznie to, że powstrzymał ją od rozwiązania ich małżeństwa.

Jednak chwilę później dostrzegła wzbierające w jego oczach łzy i zrozumiała, że była w błędzie. Powiedział to, bo bał się odrzucenia. Teraz już wiedziała, co znaczyło tych kilka słów z listu Stevena, które przeczytała, zanim rozległ się dzwonek.

„... gdy za nią stanąłem, wyglądałaś jak rażony gromem... „

A więc to wzajemne porozumienie, kiedy ich oczy spotkały się na ułamek sekundy, nie było wyłącznie złudzeniem...

Dlatego postanowił wyjechać, dlatego też Steven odesłał mu grzechotkę. Gdyby pokazał jej prezent, napisałaby list z podziękowaniem, a Steven nie chciał, żeby nawet w taki sposób kontaktowała się z jego bratem.

To samo wydarzyło się w jego mieszkaniu. Zupełnie jakby wciąż trwali w tamtej chwili sprzed trzech lat, ze wstrzymanym oddechem czekając, aż ich porozumienie zostanie dopełnione w ten jedyny możliwy sposób.

Wyciągnęła rękę, ujęła jego zdrową dłoń i położyła ją na swoim brzuchu, żeby mógł poczuć ruchy dziecka, któremu dali życie. Obrączka na jego palcu błyszczała w świetle latarni.

– Już dobrze, Guy – powiedziała. – Ja wiem... Otworzyła ramiona, przyciągnęła go do siebie i przytuliła policzek do jego twarzy. A potem go pocałowała.

Jego usta wydawały się zimne i przez jeden straszny moment pomyślała, że popełniła błąd, ale w tej samej chwili Guy wykrzyknął jej imię i zaczął żarliwie całować, tuląc ją do siebie tak mocno, że poczuła, jak mieszają się ich łzy.

– Zamierzacie tu sterczeć całą noc, całując się jak para dzieciaków?

Guy oderwał od niej usta.

– Witaj, Connie. Brakowało mi twojej kuchni, – Ty mi lepiej nie schlebiaj. Gdzieś ty był? Fran tu się zamartwia na śmierć...

– Naprawdę się martwiłaś? – spytał. – Nie chciałaś zostać bogatą wdową? – Chyba znał już odpowiedź, bo nawet nie czekał, aż się odezwie.

– Cześć, Toby. Byłeś na przyjęciu?

– Aha. – Chłopczyk oddał Connie balonik i pokazał torebkę. – Mam ciastko.

– Podzielisz się? Umieram z głodu...

– Później. Teraz czas na kąpiel – wtrąciła Fran. – Zajmiesz się Tobym, Connie?

– Mogę zaopiekować się nimi oboma – rzuciła gosposia. – Nie? Nie chcesz, żeby Connie pomogła? – Weszła do środka, chichocząc. – Zawiadomię Matty, że pan Guy wrócił do domu.

– Od czego wolisz zacząć? Chcesz drinka? Coś do jedzenia? Czy kąpiel?

Otoczył ją ramieniem i razem weszli po schodach do domu.

– Wszystko, czego mi trzeba, już mam. Niczego więcej nie potrzebuję, kochanie.

– Kochanie?

– Tak długo czekałem, żeby ci to wreszcie wyznać.

– Wtedy byłoby za wcześnie. Dzisiaj jest najważniejszy moment.

– A więc mi wierzysz? Bałem się, że będę musiał powtarzać to co najmniej przez dziesięć lat, zanim zdołam cię przekonać.

– Spodziewam się, że będziesz mi to mówił znacznie dłużej. Prawdę mówiąc, przez całe życie. Na razie jednak powinienes wziąć kąpiel, a kiedy wejdiesz do wanny, możesz opowiedzieć mi dokładnie, co się z tobą działo.

– Tom Palmer przysłał mi wiadomość – zaczął kilka minut później, gdy już rozkoszował się gorącą kąpielą w świeżo wyremontowanej łazience. – Reportaż ze zdjęciem zdumiewającej młodej kobiety, która prowadzi firmę na własnym strychu. Młodej kobiety w zaawansowanej ciąży.

– O...

– Pomyślałem... Właściwie nie wiem, co pomyślałem... Wiedziałem, że muszę jechać do domu. Wrócić do ciebie, pomóc ci, zrobić cokolwiek, wszystko, tylko nie odjeżdżać. Czemu mi nie powiedziałaś, Fran?

– Jak mogłam ci powiedzieć, skoro nie miałam pojęcia, co czujesz? Pragnęłam, żebyś wrócił, ale nie z poczucia winy. Chciałam, aby ci zależało na tym, żeby tu być...

– Myślisz, że ja tego nie chciałem? Nie potrafię opisać, jak marzyłem, żeby być przy tobie. Sądziłem, że mnie nienawidzisz. Dałem ci wszelkie powody...

– Wiem, dlaczego tak postąpiłaś. – Uklękła przy wannie, ujęła jego dłoń i podniosła ją do ust. – Zaczęłam już się zastanawiać, czy będę musiała zwolnić Catherine z obietnicy, którą na niej wymogłam...

– Dzięki Bogu nie dotarłaś do Toma. Nigdy nie związałem obozu tak prędko, ale zanim wyruszyłem, zrobiło się ciemno i zaczęło lać jak z cebra. Jechałem jak wariat i zbyt późno zauważyłem, że deszcz rozmył drogę. Na szczęście znaleźli mnie jacyś wieśniacy i zabrali do najbliższego szpitala. Łączność stamtąd była prawie niemożliwa. Lecz wiadomość odebrałem...

– Wiadomość?

– Jak to szło? Coś jakby: „... Wracaj tu. Natychmiast... „ Bardzo przekonujące.

– Ach, tę wiadomość. – Uśmiechnęła się. – Nie zamierzałam na ciebie krzyknąć, ale w dziennikach wciąż powtarzali, że zostałeś uprowadzony, zaginął, zabito cię... Byłam zrozpaczona. Chciałam ci wtedy powiedzieć, jak bardzo cię kocham... – Spojrzała w jego uśmiechniętą twarz i dodała: –

Skoro już o tym mowa... Od tej chwili będziesz siedział w domu. Nie obchodzi mnie, jak ważny jest ten projekt, nad którym pracujesz. Niech go skończy ktoś inny.

Znacznie później, kiedy już ułożyli Toby'ego do snu i usiedli przytuleni do siebie na sofie, Fran odezwała się:

– Steven wiedział, co czujesz, prawda? – Obróciła się, żeby spojrzeć na Guya. – Dziś przed wieczorem zabrałam się do rozpakowywania twoich rzeczy i znalazłam grzechotkę. A także jego list. Nie przeczytałam go, ale kilka zdań rzuciło mi się w oczy...

– Istotnie, wiedział. Kiedy wpadłaś do restauracji, zupełnie mnie zaskoczyłaś. Gdybym wiedział, czego się spodziewać, pewno zdołałbym się jakoś przygotować... – Przez chwilę na nią patrzył, po czym pochylił się z uśmiechem i pocałował ją. – Nieprawda. Nic by mnie nie uratowało...

– Mam wrażenie, że coraz lepiej sobie radzisz z komplementami – zaśmiała się.

– W każdym razie nie miał pojęcia, że ciebie to też dotknęło. Ja zresztą również tego nie wiedziałem.

– I potem to wykorzystał, żeby cię od nas oddzielić?

– Obawiał się, że nie zdoła cię zatrzymać. Tak bardzo brakowało mu pewności siebie... Bał się, że jeśli będę w pobliżu, jeśli zapragnę cię zdobyć... – Pokręcił głową.

– Nie miał racji. Do głowy by mi nie przyszło, żeby wchodzić między was. Nosilaś jego dziecko. W tej sytuacji moje uczucia były nieistotne. I miałem rację. Gdyby nie jego śmierć, pobralibyście się.

– On mnie kochał. I był dobrym ojcem.

– Cieszę się, że był szczęśliwy.

– I że wpadł na pomysł, aby w swojej ostatniej woli przekazać mnie tobie. Dać ci drugą szansę...

– No tak... – mruknął. Nie chciał pozbawiać jej złudzeń.

– A co byś zrobiła, gdybym po powrocie chciał wprowadzić się do mieszkania na strychu?

– Niepotrzebne ci to mieszkanie. A ja, kiedy bank odmówił mi dalszego kredytowania, musiałam ograniczyć koszty do minimum. Strych okazał się idealny. Akurat wystarczająco duży dla Claire, Jasona i dla mnie. A dla ciebie przerobiłam dużą sypialnię. Wiem, że nie całkiem o to ci chodziło, ale jest bardzo wygodna...

– Jest znakomita, Francesko. Ale masz rację. Nie potrzebuję samodzielnego mieszkania. Skończyliśmy już z pozorowanym

małżeństwem, prawda? Chyba że ty.

– Przecież wiesz – odparła z uśmiechem. – Kiedy składałam w ratuszu przysięgę, traktowałam ją jak najpoważniej. Myślałam, że ty robisz to wyłącznie z poczucia obowiązku i dlatego tak to przeżywałam.

– Tak myślałaś? – Zdjął z jej palca obrączkę i pokazał inskrypcję wewnątrz pierścionka. Były tam tylko dwa słowa: „Na zawsze”.

– Nie wiedziałam... – zaczęła, łapiąc z trudem oddech. – Nie zauważyłam...

– Chciałem, żeby to wygrawerowano, choćbym miał pozostać jedyną osobą na świecie, która będzie o tym wiedzieć. Czy miałabyś ochotę zrobić to jeszcze raz? We właściwy sposób?

– Nie rozumiem...

– W kościele, w pięknej sukni, z przyjęciem w ogrodzie, w obecności wszystkich bliskich nam ludzi.

– Mówisz o ślubie? – Niewiele brakowało, żeby znów się rozplakała, lecz tym razem byłyby to łzy szczęścia. – Dobrze, ale pod jednym warunkiem.

Guy patrzył na nią wyczekująco.

– Skoro mam wystąpić w sukni ślubnej, chcę to zrobić w chwili, gdy tylko suknia będzie okazała...

W pewną sobotę, tuż po ceremonii chrztu Stephanie Joy Dymoke, jej rodzice złożyli uroczystą przysięgę, ślubowali sobie miłość i szacunek, w zdrowiu i chorobie, do końca swoich dni.

Marty, która siedziała w wózku udekorowanym białymi i srebrnymi wstążkami, trzymała w objęciach swoją małą córkę chrzestną.

Toby z dumną miną podawał obrączki. Natomiast Connie zalewała się łzami, opowiadając każdemu, kto chciał jej słuchać, że Francesca jest najwspanialszą kobietą na ziemi.

Lunch odbył się w biało-żółtym weselnym namiocie. Kiedy już wzniesiono toasty, Guy ujął dłoń Franceski i przy aplauzie przyjaciół i rodziny triumfalnie poprowadził ją do tańca.

– Czy wiesz, że tańczymy z sobą pierwszy raz? – spytała.

– Przed nami wiele jeszcze rzeczy, które będziemy robić po raz pierwszy. Pierwszy miesiąc miodowy...

– Właściwego miesiąca miodowego nie można mieć więcej razy – zaprotestowała.

– Ale później możemy sobie robić niewłaściwe – zaśmiał się.

– Pierwsze rodzinne wakacje...



– Nad morzem. Spacery brzegiem, zamki z piasku, brodzenie po wodzie – uzupełnił.

– Toby’emu to się spodoba. Harry Drugi także będzie szczęśliwy – uznała. – Nasza pierwsza wspólna Gwiazdka. Ubieranie drzewka, kupowanie prezentów...

– Pierwszy dzień szkoły Toby ego...

– A zanim się zorientujemy, będzie naszym pierwszym nadąsanym nastolatkiem...

– I obdarzy nas pierwszym wnukiem... Roześmiała się głośno.

– No dobra, wygrałeś. Chyba nie chcę już dalej przewidywać.

Guy przerwał taniec.

– Kocham cię tak mocno, że aż trudno mi to znieść. Czy wiesz o tym, Francesko Lang?

Wiedziała, Ona także tysiące razy mówiła, że go kocha i na tysiące sposobów okazywała mu swoją miłość. Tylko jednego jeszcze nie powiedziała. Teraz nadszedł na to właściwy czas.

– Już nie Xang – szepnęła. – Dymoke. Pragnę, żeby cały świat wiedział, że od tej chwili jestem Franceską Dymoke, żoną Guya. – I aby mieć pewność, że do wszystkich dotarła ta informacja, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go.